

# KAMRACI

*KAMRACI*

**Opowiadania po latach**

**Mieczysław Walków**

**Współpraca Zdzisław „Olek” Zaleski**

(wydanie II - styczeń 2012r.)

*Mojej żonie Alince  
w podzięcie za  
cierpliwość i wsparcie*

Szczecin 2004r.

## Przyjaciele

*Szanując wspomnienia ,postanowiłem zebrać je i przelać na papier. Oczywiście zamierzałem wydobyć z pamięci najciekawsze epizody z naszego życia studenckiego i przypomnieć Moim Przyjaciołom jacy byliśmy często zabawni i jaka była nasza **młodość**. Zakładałem, że w tym opracowaniu wystąpi każdy z nas, który ukończył studia w Szczecinie i ten , który wcześniej opuścił nasze szeregi, ale zapisał się barwnie w naszej pamięci. Zadanie nie było łatwe i nie mogło być wykonane w stu procentach. Pół wieku zrobiło swoje. Zatarły się w pamięci niektóre wesole „momenty”, a nawet twarze. Wielka to strata.*

*Do napisania tych wspomnień zachęciliście mnie sami, komplementując „ A TO MY”. Sami zatem skazaliście siebie na czytanie zebranego „materiału”.*

*Zapewniam, że nie będziecie żałować tego kroku. Kiedy weźmiecie do ręki to opracowanie. powtórnie przeżywać będziecie okres swojej młodości z lat 1952-1957, przypomniecie sobie kolegów, profesorów i asystentów; ludzi mądrych, rzetelnych, wymagających, a przy tym wspaniałych, których przywary tylko wzbogaciły wspomnienia. Czy udało mi się wydobyć na światło dzienne ducha tamtych czasów, ocenicie sami.*

*Wasza pomoc przy tworzeniu tego wspomnienia była nieoceniona, dlatego serdecznie dziękuję: Jankowi Czajce, Zbyszкови Gniewoszewskiemu, Staszкови Jardziochowi, Julkowi Kacprzakowi, Heniowi Krenke, Staszкови Neumannowi, Januszowi Skibińskiemu, Gabrysiowi Stępniewskiemu, Gienkowi Zdunowi i innym.*

*Szczególne podziękowania kieruję do **Zdziška Zaleskiego**, który wydobył ze swojej doskonałej pamięci wiele ciekawych i dowcipnych epizodów, bez których wspomnienia byłyby uboższe.*

*Proszę Was o wyrozumiałość za to, że pokazałem naszą  
młodość bez osłonek.*

*Wszystkich moich Przyjaciół, żyjących i nie żyjących,  
szanowałem i szanuję, darzyłem i darzę gorącą sympatią, bo  
byliście i jesteście wyjątkowymi ludźmi.*

*Taki zespół ludzi zdarza się raz na wiele lat o czym świadczą  
kolejne nasze spotkania.*

*Wasz kolega i przyjaciel: Mieczysław Walków*

*Szczecin, dnia 1.01.2004r.*

## ***Rozdział 1. UCZELNIA***

### ***Kamil Wendeker.***

Profesor urodził się 30. 07. 1896 r. w Sieniawie, pow. Jarosław. Gimnazjum klasyczne ukończył w 1914r. w Samborze. W czasie I wojny światowej służył w wojsku austriackim (1914-1916r.). W niewoli rosyjskiej przebywał od 1916 do 1918r. W latach 1918-1920 r. był kapitanem saperów w tworzącym się wojsku polskim. Studiował na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lwowskiej. W 1930r. otrzymał dyplom inżyniera mechanika i został zatrudniony na stanowisku starszego asystenta w Katedrze Mechaniki i Wytrzymałości Materiałów.

Od 1936r. aż do wybuchu wojny pracował w Mechanicznej Stacji Doświadczalnej Politechniki Lwowskiej w Sosnowcu na stanowisku kierownika ekspozytury. We wrześniu 1939r. przedostał się do Turcji, gdzie pracował w zakładach przemysłu lotniczego jako konstruktor. W 1946r. powrócił do kraju i osiadł w Szczecinie. Współtworzył Państwowe Liceum Techniczne, a następnie nim kierował. (*Liceum później przeniesiono na ul. ks. Racibora i znane było jako „PST na Racibora”. Kształciło doskonałych techników i przyszłych inżynierów. Przyp. MW).*

Na Wydziale Mechanicznym Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie, późniejszej Politechniki Szczecińskiej pracował od 1947r. do 1954r. Był dziekanem Wydziału w 1948r. Prowadził wykłady na wszystkich pięciu wydziałach uczelni, przyczynił się do organizacyjnego i kadrowego wzmocnienia Wydziału przez przeniesienie doświadczeń z Politechniki Lwowskiej. Gromadził rozproszonych po kraju doskonałych nauczycieli

akademickich. W 1954r. przeniósł się do Szkoły Inżynierskiej w Częstochowie. Zmarł w 1956r.

### ***Nasz Kamil***

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, do domu daleko, a ferie takie krótkie. Profesor przyszedł na wykład i mówi: „Przychodzą do mnie różni, żeby to im , a to ćwiczenia, a to wykłady przekładał. Ja mam to, wyraźnie zabronione. Żadnych zbiorowych zwolnień... Ale indywidualnie, proszę bardzo!”

Zrozumieliśmy! Doczekaliśmy do końca wykładu i..... do mamusi!

### ***Skromność***

Profesor był doskonałym wykładowcą i niezwykle oryginalnym człowiekiem.

Na każdy swój wykład przychodził z ogromnym budzikiem. Stawiał go na stole, a ten tykał tak, że słyhać go było w ostatnim rzędzie sali 24.

Głośność zegara wzmocniona była drewnianym podwyższeniem, na którym stał stół.

Remek Gmitrowicz, siedzący w pierwszym rzędzie, kiedyś pod nosem mruknął, że profesor powinien kupić sobie zegarek na rękę. Ten by tak nie hałasował.

Kamil, dotychczas zajęty tablicą, odwrócił się i „wypalił”.

– Pan nie ma racji. Ludzie skromni muszą mieć coś takiego, co za nich samych jest głośne. A po cichu wam powiem, że jeszcze nie dorobiłem się zegarka na rękę, bo czasy są ciężkie i zegarków mało w sprzedaży.

## ***Szachiści***

Z profesury zawzięcie grali w szachy tylko Kamil Wendeker i Piotr Otton Laure. Zawsze oczekiwaliśmy na takie spotkanie ,z uwagi na nietuzinkowe teksty, prowadzone przez grających.

–To jest debiut, panie Piotrze? Wiejska dziewczica by lepiej zadebiutowała.

–A, to jest posunięcie, panie Kamilu? Niech pan zapyta którąś ze swoich studentek jak należy się....

–Koń, powiada pan? Mam wrażenie , że w kawalerii to pan nie służył?

–Goniec ? Myślałem , że pan awansował!

## ***Kamil i Olga***

Przychodzę do profesora Wendekera, opiekuna roku – mówi Olga Michalska, aby uzgodnić z nim rodzaj literatury technicznej, z którą mogę zapoznawać studentów. A ten z krzykiem na mnie.

– Co pani sobie myśli! Już dawno jest po terminie! Ja dla pani nie będę robił wyjątków! Każdy by tak chciał, itd. itp..

A kiedy na chwilę zatkało go, mówię nieśmiało, że jestem lektorką z języka rosyjskiego i dlatego się zwracam.....

– Pani? Pani taka ładna i młodziutka, nie poznałem , myślałem, że to znowu jakaś studentka! Bardzo przepraszam! A jego oczy mówiły : „jak ja się doskonale bawię”

## ***Sympatia***

Profesor Wendeker bardzo lubił ścisnąć rączki lektorce języka rosyjskiego. Robił to wówczas kiedy wychodził z wykładu i miał ręce wymazane kredą, a „rusycystka” wchodziła na zajęcia. Tak długo ścisnął ręce

Olgi, aż stawały się również białe. Resztę kredy wycierał o jej bluzkę, prawiąc przy tym przeurocze komplementy.

### ***Gensek pomógł***

Język rosyjski dla wielu kolegów był przedmiotem trudniejszym od nauk ścisłych. Nie mogli zrozumieć na czym polega akcentowanie, a do tego jeszcze, ta cyrylica i bardzo wymagająca Olga Michalska. Bez zaliczenia tego przedmiotu, studia mogły być tylko marzeniem. Janek Popielski i Leszek Wyżykowski uczyli się metodą wielokrotnego powtarzania: słów, zdań i całego tekstu.

Bohdan Tomaszewski nauczył się wierszyka:

*Alfawit uże my znajem*

*Uże piszem i czytajem*

*I wsie bukwy*

*Po poriadkie nazywajem*

Z tymi „bukwami”(literami) nie było tak łatwo jak w wierszyku, a najgorzej było z „udarenijem”(akcentem), ale jakoś zaliczył.

Julkowi Kacprzakowi, twarda Olga nie chciała zaliczyć, bo twierdziła, że Julka stać na to, aby ten przedmiot opanował w stopniu dobrym. Julek wyczuwał melodię języka i dobrze akcentował. Postanowił, że musi zaliczyć i.... nauczył się na pamięć fragmentu przemówienia sekretarza generalnego KPZR, Nikity .Chruszczowa, wygłaszanego na ważnym Zjeździe.

W czasie zaliczeń, kiedy Olga zapytała Julka co przygotował? Julek wstał, przybrał pozę genseka i zaczął wygłaszać przemówienie, gestykułując jak Chruszczow. Wszyscy oniemieliśmy z wrażenia, bo Julek mówił po rosyjsku i z dobrym akcentem. Olga była zachwycona. Julkowi postawiła stopień pozytywny i powtarzała, że ćwiczenia czynią mistrza.

### ***Cholernie nie lubię***

Władze uczelniane nakłaniały prof. K. Wendekiera do wizytacji studentów mieszkających w domu akademickim.

Profesor był opiekunem Roku.

Nasz Kamil wzbraniał się tłumacząc, że młodzieży należy wierzyć, bo jest ona dorosła i sama doskonale wie po co studiuje.

–Młodzież jest odpowiedzialna– upierał się Kamil.

A władze, swoje, że musi, bo to jego obowiązek!

Wtedy użył argumentu.

–Nie pójdę! Bo jak przyjdę, a tam grają w brydża, a jak już grają to czwartego nie potrzebują, a ja cholernie nie lubię być kibicem!

### ***Anatomia, a rzeczywistość***

Prof. Wendeker ogłosił: „Wszystkie nieobecności proszę usprawiedliwiać na piśmie.

–U mnie w drzwiach jest taka szpara na listy i tam proszę wrzucać”.

Ja – wspomina Olek– pisałem, że usuwałem zęby. Na koniec roku podsumowałem (te które usunąłem i te które pozostały) i okazało się, że anatomia nie ma racji! Mnie wyszło, że człowiek może mieć 53 zęby.

### ***Cezary i Cezar***

Do Profesora, jak zwykle do mieszkania, na egzamin przyszedł Cezary Ciszewski. W drzwiach powitali go: Pan Kamil i Cezar– pies rasy niemieckiej ( owczarek).

Cezary nie był mocny w „temacie”, a tu jeszcze ten „zboj”, który groźnie patrzył i dokładnie obwąchiwał.

Profesor studentowi kazał usiąść przy stole, zadał kilka zadań, i uświadomił psa:” Cezar, to jest pan Cezary i należy go



dobrze pilnować”. Sam udał się do drugiego pokoju na poobiednią drzemkę.

Czarek próbował, przy pomocy poradnika i ściągawki, rozwiązać zadania, ale niestety nie mógł znaleźć sposobu na ruszenie z miejsca.

Pies wyczuł, że student jest zdenerwowany i zaczął coraz wyraźniej pokazywać garnitur swoich wspaniałych zębów, groźnie warcząc. Czarek zrezygnował z rozwiązywania zadań i postanowił pertraktować z cerberem, by jak najszybciej umknąć z pokoju. Nic z tego. Pies dobrze wykonywał swoje zadanie.

Po długich minutach przyszedł Kamil i... Cezara pochwalił, a Cezaremu wpisał *:niedostatecznie!*

### ***Panny w rozkroku***

Nasz Kamil tłumacząc rozkład sił posłużył się przykładem łódki na wodzie.

–Przy wsiadaniu z brzegu do łodzi najczęściej wpadają do wody mężczyźni, a panny nigdy.” I patrząc w oczy Lidce Rączce, dokończył: – Bo panny w rozkroku mają miarę w kroku.

### ***Widmo***

Lidka Rączka była bardzo szczupła i złośliwi nazywali ją „widmem” .

Kiedy wróciła z praktyki wakacyjnej, Profesor długo jej się przyglądał, by wreszcie zapytać:

– A pani to gdzie była na praktyce? I nie czekając na odpowiedź stwierdził:

–Na pewno w Hucie Bobrek, bo tylko tam mają zgniatacz!

### ***Pyta o temperaturę***

Trwał egzamin z wytrzymałości materiałów. Upał jak w Afryce, a Gutek (Zbyszek Strzałkowski) poszedł pierwszy jako „lodołamacz”.

My siedzieliśmy na „wyspie” tj. na „gieldzie” (jedyna w ówczesnej Polsce) i coś tam jeszcze wkuwaliśmy.

Gutek od profesora wyszedł rozpromieniony, a my:

– Powiedz stary, o co pyta?

– Mnie zapytał o temperaturę. Powiedziałem, że jest około 30 stopni, a profesor zapytał czy jestem pewny?

Odpowiedziałem, że prawie.

–Gdyby pan był pewny– powiedział profesor– to bym panu dał piątkę, a tak, tylko czwórkę.

No dobrze Guciu, ale powiedz o co pyta?!

– Jak to o co? O temperaturę.

### ***Cholera, ale trafiłem!***

Heniek Jachimowicz podawał profesorowi indeks ale nie był pewny, czy jest już po egzaminie czy w trakcie egzaminu?

Profesor coś zaczął pisać i powiada: „ Proszę wyciągnąć rękę. Kciuk odgiąć w kierunku osi „Z”, wskazujący w kierunku osi „Y”, a środkowy w kierunku osi „X”.

–Cholera –pomyślał Heniek– musiałem trafić na Coriolisa?

Profesor w tak rozczapierzoną rękę włożył, zaskoczonemu studentowi, indeks i napomniął:

– Proszę dobrze zacisnąć , bo atrament może się rozmazać.

### ***Zgadł pan***

Każdy kto wchodził do Kamila na egzamin, pytany był z hipotezy wyteżeniowej Hubera. Wyniki były różne w zależności od ..... tylko profesor wiedział od czego.

Wystartował Rysiek Wittig. A, że był na „W”, miał czas (na giełdzie) dobrze przygotować się do ewentualnej odpowiedzi. Wchodzi do pokoju, a profesor:

– Pan chyba nie zgadnie, o co chciałbym pana zapytać?

– Na pewno o hipotezę Hubera- odpowiada Rysiek.

– Zgadł pan, proszę .

Rysiek na to: – Maksymilian Tytus Huber w roku 1910, na łamach Wiadomości Technicznych, ogłosił swoją hipotezę wyteżeniową, która brzmi...

– Dziękuję , u mnie ma pan piątkę.

### ***Co lubią panie?***

Profesor przez cały czas był kawalerem i nie mógł pogodzić się z faktem, że na wydziale mechanicznym studiują kobiety.

Przy każdej okazji docinał biedaczkom ,ku uciezce płci odmiennej.

Przy omawianiu różnych napędów, patrząc na nasze koleżanki siedzące w pierwszym rzędzie, powiedział:

– Wałki proszę pań, są krótkie i długie..... Panie lubią te drugie!

Panie pokraśniały, a nasz „pogromca bab”, z zadowoleniem spojrział na rozbawioną część męską i dalej z temperamentem prowadził swój wykład o częściach mechanizmów.

## ***Coriolis i mucha***

Profesor od wielu minut tłumaczył zasadę Coriolisa. Zagadnienie było trudne i wymagało dobrej koncentracji oraz wyobraźni studentów, *bo dodatkowe przyspieszenie poruszającego się ciała jest wynikiem ruchu obrotowego układu odniesienia, a jedna z sił bezwładności uwzględnia ruch...*

Mocno się starał, ale nie widać było aby studenci to rozumieli. Mieli wprawdzie otwarte usta, ale twarze mówiły, że nic, a nic nie „kapują”.

Wpadł więc na pomysł i mówi: „To tak jakby mucha chodziła mi po tyłku, a ja chcę się uwolnić od niej”. Zaczyna robić ruchy obrotowe unosząc jednocześnie nogę i pokazuje kalesony. Spodnie od połowy były rozprute. Ale o tym nasz Kamil, jako zatwardziały kawaler, nie wiedział.

## ***Zwykła belka ... ..***

Profesor prowadził wykład z wytrzymałości materiałów. Temat trudny, a wykład był ważny. Cały skład jego asystentów również słuchał tego wykładu. Słuchał... za wyjątkiem jednego, który śpiąc leciutko chrapał. Nasz Kamil przy tablicy, wyprowadzając zawiłe wywody, nagle wykład przerywał i chwilę słuchał. Powoli odwrócił się i .....

- A więc!
- A więc !!
- A więc!!!!

Asystent zbudził się, my w śmiech, a Kamil: –No i z czego śmiejecie się? Po prostu zwykła belka na trzech podporach.

### ***Egzamin oblałem***

Wiesio Turek dreptał pod drzwiami prof. Wendekera i narzekał, że nic nie pamięta i głowa go boli jak diabli.

Słuchaj- powiedział Olek- mam fiolkę kofeiny. Nie wiem jak to działa na ból głowy, ale jak chcesz to....

Wiesio połknął i poszedł zdawać. Po pewnym czasie wyszedł rozpromieniony. Myślmy, że zdał, a on :

– Egzaminu nie zdałem, ale to co mi dałeś jest fantastyczne.

Głowa mnie nie boli, czuję ogromną koncentrację i mam wyraźną jasność umysłu!

### ***Nigdy nie przepuścił***

Wykładowca matematyki Stefan Kula miał zwyczaj przedłużać wykład o przerwę. Później mocno się spieszył, aby udostępnić salę następnemu wykładowcy. Najczęściej w drzwiach wpadał na Wendekera, który nie darzył go wielką sympatią. Przygwaźdżał mgr Kulę swoim wydatnym brzuszkiem do ościeżnicy i niezmiennie powtarzał:

–O , to pan? Bardzo przepraszam!

### ***Bez „pojęcia”***

Na egzamin ustny z mechaniki teoretycznej, do mieszkania Profesora przyszedł Janek Czajka. W drzwiach niezmiennie powitał studenta Pan i jego owczarek – Cezar. Janek miał duszę na ramieniu, bo żeby rozwiązać zadanie, na egzaminie pisemnym, musiał pominąć jedną z danych.

Po prostu doszedł do wniosku , że asystent pisząc na tablicy zadanie musiał się pomylić.

Profesor wpuszczając studenta do mieszkania cały czas mówił do psa „ No, widzisz Cezar tego studenta bez pojęcia? Bez pojęcia, Cezar!” Później kazał Jankowi usiąść i poprosił o

indeks. Coś tam wpisał i nakazał rozczapierzyć palce. Wsadził indeks do dłoni z przestrogą: „ uważać by nie rozmazalo się”, a do psa powiedział „wyprowadź Cezar tego bałwana”.

Janek wyszedł, a na schodach jak zwykle na „giełdzie” siedzieli następni. Hanka Głowacka zapytała :–Jasiu, jak ci poszło? O co pytał? Dlaczego jesteś taki blady?

Janek , trzymając indeks między zaciśniętymi palcami, nawet nie śmiał spojrzeć na stopień. Był przekonany, że będzie ...poprawka.

Chyba oblałem, bąknął. Wtedy Hanka prawie siłą wyrywała indeks z ręki, przeczytała wpis i krzyknęła:

–Ty durniu . Piątkę ci wpisał. Czym się martwisz?!

### ***Działacz , egzamin i co dalej***

Na egzamin z wytrzymałości materiałów przyszedł działacz młodzieżowy. Działacz był wyjątkowym „cieniasem” i zaczął niemal błagać profesora o zaliczenie egzaminu, bo jak nie zda, to będzie musiał tłumaczyć się na egzekutywie.

Wendeker otworzył swój słynny czarny zeszyt, pokazał nazwisko z trójką na siedmiu szynach i powiedział:

–Gdybym panu postawił trójkę, to tego człowieka cholernie bym skrzywdził.

### ***Na „Z” zawsze na końcu***

Olek, jako ostatni na liście, miał wyznaczony egzamin na godzinę 20-tą.

Przyszedł trochę wcześniej, by na „giełdzie” posłuchać wieści i poduczyć się. Poprzednik wyszedł o godzinie 19-tej z minutami. Profesor wyrzwał i zapytał: –Kto jeszcze jest na egzamin? Olek na to, że on. A profesor: –A na którą miał pan wyznaczony egzamin?

–Na 20-tą, odpowiedział Olek.

–No to ma pan czas, aby pójść na kawę i przyjść o 20-tej.  
Zamknął drzwi przed nosem zaskoczonego studenta i poszedł  
drzemać.

### ***Nazwisko***

Panie Pichet (*Władysław Pichet*)- zapytał raz kolegę,  
Wendeker:– Dlaczego ma pan takie francowate nazwisko ?

### ***Wielki Oryginał***

*Kamil Wendeker*, kiedyś przed rozpoczęciem  
wykładu, po nakręceniu budzika, powiedział:  
–Jeszcze nie zaczynamy, bo nie ma jeszcze pana  
Kononowicza.  
Po chwili otwarły się drzwi sali 24 i wjechała najpierw  
„damka”(rower cudo z drewnianymi oškami) , a za nią Mirek.

### ***Podobieństwo***

Na egzamin do K. Wendekera przyszedł Kazik  
Taczała.  
–Pan już u mnie zdawał!?  
–Jeszcze nie, panie profesorze.  
–No, to ktoś bardzo podobny.  
Zaczął szukać po papierach i mówi:  
–Pan oczywiście, nazywa się Zaleski.  
–Nie, ja nazywam się: Taczała. Kazimierz Taczała.  
–No proszę. To pan mógłby na jego legitymację chodzić do  
kina, a nawet jeździć tramwajem! Ale nie namawiam.

### ***Pełne zrozumienie***

Zdzisiek Zaleski zwany Olekiem zdawał u  
Wendekera, egzamin z mechaniki..  
–Dlaczego pan ma inny wynik niż poważna grupa?

- Nie wiem, ale ja mam dobrze.
- Wiem. Wolałbym aby było odwrotnie.
- A ja, nie!– odpowiada Olek.
- Doskonale rozumiem pana!

### ***Pan nie ma prawa***

Profesor Wendeker egzaminował naszego kolegę i jednocześnie przeglądał jego wyniki egzaminu pisemnego. Zauważył błąd w liczeniu i zapytał:

Ile jest  $4 \times 6$ ?

Dwadzieścia cztery– odpowiedział student, zdziwiony, że profesor takich prostych rachunków nie zna.

–Też tak myślałem, bo jakiś bałwan , jakiś „W..”, pisze mi tutaj, że jest to 36.

Ja jestem „W..”, panie profesorze.

Pan? Pan nie może być tym „W..”. Pan nie ma prawa być tym „W..”. Pan przecież wie ile jest  $4 \times 6$ .

### ***Jacyno-asystent***

Zdawaliśmy egzamin poprawkowy (pisemny) z części maszyn, a pilnował nas z przymrużeniem oka, Pan Jacyno-asystent.

Pisaliśmy z Antkiem– wspomina Olek, korzystając z notatek, które przy nawrocie asystenta chowaliśmy do kieszeni kolejarzkiego munduru, ale zeszyt wystawał.

– Panie Karczewski, ten zeszyt był poprzednio w prawej kieszeni.

– Ależ skąd, panie asystencie! On zawsze jest w lewej , bo ja jestem leworęczny.

– Pisze pan prawą.

– Bo jak piszę lewą, to mi się zamazuje.

– Wobec tego, niech on już, zawsze będzie w lewej!



## ***Walik ruchajetsa***

Teorię mechanizmów, bardzo ważny przedmiot dla inżyniera mechanika, zaczął wykładać repatriant z Mandżurii, mgr inż. Ryszard Makarewicz, który nie znał dobrze języka polskiego, ale koniecznie chciał w tym języku prowadzić wykłady.

Był to człowiek ogromnie pracowity. Każdy wykład przygotowywał ze słownikiem rosyjsko– polskim w rękę. Z tego tłumaczenia wychodziły bardzo komiczne teksty. Jeszcze większa komiczność polegała na tym, że często były mieszane słowa polskie i rosyjskie w jednym zdaniu, np. –Walik ruchajetsa na konto osi „X” ( wałek obraca się względem osi „X”).

Na jednym z wykładów, profesor dowodził, że są „ śruby prawo i lewo okrętowe” ( prawo i lewo skrętne).

Słuchaliśmy tych wykładów i wyławialiśmy wiadomości z gęstwiny fantastycznych „makaronizmów”(sic!). Zaczęliśmy prosić wykładowcę, by wykładał w języku rosyjskim. W ten sposób, znający ten język lepiej zrozumieją temat i przekażą pozostałym. Ale nasz tytan pracy nie dał się namówić na taki system i nadal odwał heroiczna pracę tłumacząc rosyjski na podobno polski.

Pewnego dnia omawiał napędy. Jako przykładem, posłużył się samochodem , twierdząc: „Każdy samochód posiada walizkę biegów”.

Kiedy gruchnęliśmy gromkim śmiechem, profesor nie mógł zrozumieć dlaczego śmiejemy się z urzędnika służącego do przekazywania napędu.

Zaczęliśmy tłumaczyć, że urządzenie to, nie nazywa się „walizka” tylko skrzynia, napędowa lub skrzynia przekładniowa albo po prostu skrzynia biegów. Profesor upierał się, że rosyjska „korobka” to polska walizka. Tak napisano w słowniku.

Przy końcu roku, kiedy zdawaliśmy egzaminy, profesor był bardzo wymagający. I co ciekawe, nawet zwracał uwagę na poprawne polskie nazewnictwo.

### ***Przebil!***

Egzamin z teorii mechanizmów zdawał Rysiek Zambrzycki.

–Student rozkaże o „kriwce”, zwrócił się do Ryśka prof. Makarewicz.

Język rosyjski nie był mocną stroną Ryśka:

–Da, tolko kriwka, biez kriwki nie pojediosz, to znaczy nie ujediosz, wyraźnie akcentując końcówkę „diosz”.

Makarewicz jak to usłyszał, nie mógł wytrzymać. Obśmiał się jak norka, a Rysiowi wpisał stopień zaliczający egzamin.

### ***Sila argumentacji***

Ten sam egzamin z teorii mechanizmów zdawał, u mgr inż. R. Makarewicza, Staszek Skrobisz

–Durak ! Won z instituta! Asistent piszi jemu dwójku!– krzyczał Makarewicz.

–Jak pan mi wpisze dwójkę, to pójdę i się utopię.

–Jak to się utopicie, kiedy rzeka zamarzła?

– Przerębel wyrąbię.

– Woda jest zimna , to się i przeziębicie.

– Jak się utopię, to mi będzie wszystko jedno.

– Przecież wy student, nic nie umiecie.

– Umie! Tylko pan profesor nie umie pytać.

Trójkę, Staszek wywalczył.

### ***Majster mi może...***

W czasie egzaminu z teorii mechanizmów, profesor Makarewicz zadał kolejne pytanie Zdzichowi Szczerbińskiemu:

–Jak skończycie studia i będziecie już inżynierem, przyjdzie do was majster i każe wam narysować ewolwentę to....

–Panu profesorowi ewolwentę mogę narysować, ale majstrowi nigdy. Gdyby się jednak coś podobnego miało wydarzyć, to biedak będzie musiał za karę biegać dookoła hali, bo majster może „kazać” tylko ślusarzowi.

### ***Władysław Marzyski***

*(ps. Tajemniczy Władzio)*

Profesor urodził się 03. 04. 1908 r. w Morawiankach pow. Pińczów. Szkołę średnią ukończył w Pińczowie w 1927r. W 1931 r. ukończył Wyższą Szkołę Budowy Maszyn i Elektrotechniki w Poznaniu uzyskując tytuł technologa. W latach 1931-1934 pracował jako kierownik techniczny w Elektrowni Samorządowej w Pińczowie, a od roku 1934 do 1943, kierował działem mechaniczno – narzędziowym w Warsztatach Głównych PKP Warszawa –Praga. Pracując zawodowo, w latach 1936- 1939, studiował na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej. Dyplom magistra inżyniera mechanika uzyskał dopiero w roku 1946 na Wydziale Mechanicznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Przez krótki okres pracował w PKS w Krakowie. W listopadzie 1947r. rozpoczął pracę w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie. Był wykładowcą, profesorem kontraktowym,

zastępcą profesora, starszym wykładowcą, a od 1968 r. docentem etatowym. Od 1948- 1970r. kierował Katedrą, bądź Zakładem Obrabiarek. Był też prodziekanem Wydziału. Od 1955r. wykładał na Wydziale Leśnym Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu, obrabiarki do drewna. Na Wydziale Mechanicznej Technologii Drewna SGGW w Warszawie, w 1960 r. uzyskał stopień doktora, a w 1966 r.- doktora habilitowanego nauk technicznych. Był autorem wielu publikacji i patentów. Zawodowo pracował do 1982r., wiele lat po odejściu na emeryturę (77r.). Zmarł 14.08.89r.

### ***Micio i „Tajemniczy Władzio”***

Egzamin z teorii obrabiarek, zdawaliśmy w trójkę: Edek Kleszcz, Micio Wróbel i ja– wspomina Olek.

„Tajemniczy Władzio”, zadał pytania i dał czas na przygotowanie. Po chwili przepytał Edka, następnie mnie i zabrał się za Miccia.

–Panie profesorze, ja nie mogę tak szybko jak „kuledzy”. Ja muszę pomyśleć....

–To niech pan myśli....

Poszedł do drugiego pokoju, a Edek szeptem mówi do mnie „zdawajmy szybko i uciekajmy, bo jak Mietek wkurzy Władzia, będzie po nas..”

Po chwili wszedł prof. Marzymski, znany z doskonałego słuchu i inteligencji:

–To może ja najpierw przepytam panów, a pan niech się zastanawia.

Nas przepytął, a Miccia oblał.

### ***Talent***

Genialna orientacja , pamięć i doskonały słuch.

Na egzamin z obrabiarek podzielił salę na szeregi , od A do D, i na rzędy, od 1 do 27.

Olek pomyślał sobie : –To jest niemożliwe aby zapamiętać kto gdzie siedzi. I kiedy zrobił ruch by popatrzeć w bok, usłyszał:

–Panie Zaleski–D21, wolałbym aby pana praca była samodzielna.

–Ja też– mruknął Olek.

### ***Mawiał Szwejk***

Egzamin z obrabiarek. Wśród zdających kręcił się niespokojnie jakiś starszy facet. Zaoczny– pomyśleliśmy, i pytamy czy on także na egzamin?

–Tak. Z tym, że już wcześniej ukończyłem studia, ale obrabiarki zaliczył profesor na słowo. Powiedział, że kiedyś zdam, no i jestem tu już po raz jedenasty.

Przepuściliśmy go, a po wyjściu zapytaliśmy o wynik.

..... Szwejk mawiał , że na tuziny wszystko tańsze. Przyjdę jeszcze raz!

### ***Józef Tatar***

Profesor urodził się 18.01.1890 w Biurkowie Wielkim pow. Miechów Gimnazjum ukończył w Warszawie w 1909r. Podjął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej. Brał udział w wojnie w 1920-1921r. Od 1922 do 1932 r. pracował jako asystent w katedrze Silników Wodnych i Pomp Politechniki Warszawskiej. Dyplom inżyniera mechanika otrzymał w 1932 r. W latach 1932-1939 pracował w Państwowych Wytwórnich Uzbrojenia ( Radom, Warszawa, Kraśnik, Skarżysko) jako konstruktor, inżynier ruchu, kierownik działu. W latach 1940-46 pracował w Radomiu w szkolnictwie zawodowym. Po wojnie pracował m.in. w Fabryce Pomp w Gliwicach (1947-1949) oraz w Biurze Projektów Włókien Sztucznych w Szczecinie (49-53r.)

jako kierownik Pracowni Pomp. W październiku 1949r. rozpoczął pracę dydaktyczną w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie. Jako Zastępca profesora kierował Katedrą Pomp i Turbin Wodnych do 1956r., a następnie do 1961r. Katedrą Maszyn i Urządzeń Energetycznych. Był autorem kilku opracowań na temat racjonalnej eksploatacji turbin wodnych, kilku skryptów z dziedziny konstrukcji pomp wirnikowych. W 1957r. krótko pełnił funkcję dziekana Wydziału Budowy Maszyn PS. Na emeryturę przeszedł w 1961r. Zmarł w Radomiu 14.08.1963r.

### ***Człowiek!***

Na jednym ze Zjazdów naszego Wydziału przemawiał do nas powszechnie szanowany prof. Józef Tatar : „ Dzieciaki kochane, kiedy tak na was patrzę to robi mi się żal was, że musicie żyć w tej pseudo-demokracji! W prawdziwej demokracji nie ma żadnej dyskryminacji. Wartość człowieka ocenia się po jego czynach. A was ludzi mądrych , uczciwych i pracowitych dyskryminuje się na każdym kroku. Ja temu nawet się nie dziwię. Pan Gomułka czy Zawadzki i inni im podobni, mają tylko po sześć klas szkoły wiejskiej i wy dla nich jesteście wielkim zagrożeniem.

Profesor stale walczył (również na uczelni) z głupotą i zakłamaniem , szczególnie kiedy ta była „wysoko partyjna”.

Stawiał też niekonwencjonalne oceny. Np.3 i 3/17, lub prawie 4.

Mieszkał na Pogodnie i do pracy jeździł tramwajem. Pewnego dnia(byli jeszcze wówczas konduktorzy) nie mógł kupić biletu, bo było bardzo tłoczno. Jechał zatem na gapę. Na drugi dzień, dając pieniądze konduktorowi poprosił o dwa bilety. Konduktor znał stałego podróżnego i zapytał dla kogo

ten drugi bilet? Dla mnie – odpowiedział profesor– wczoraj jechałem na gapę.

### ***Bolesław Briks***

Profesor urodził się 5 listopada 1901r. w Kałaharówce, pow. Skalał, woj. Tarnopol. Po ukończeniu gimnazjum w Sanoku, studiował na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lwowskiej, uzyskując w roku 1924 tytuł magistra inżyniera mechanika. Pracował w szkolnictwie zawodowym w Sanoku, Złoczowie oraz w Lublinie, gdzie w latach 1931-35 był naczelnikiem wydziału III w Kuratorium. W latach 1935-39 był dyrektorem Państwowej Szkoły Budowy Maszyn w Grudziądzu.

Pierwsze lata wojny spędził w Warszawie, gdzie między innymi brał udział w tajnym nauczaniu oraz wykładał w szkole im. Wawelberga i Rotwanda. Następnie musiał uciekać z Warszawy i osiadł we wsi Brzozowa w woj. Lubelskim, gdzie kontynuował tajne nauczanie. Był aresztowany przez gestapo i więziony na Zamku Lubelskim.

Po zakończeniu wojny został skierowany do Szczecina, gdzie od lipca 1946 roku był naczelnikiem Wydziału Szkolnictwa Zawodowego tutejszego kuratorium. Równocześnie był współorganizatorem Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie i doprowadził do rozpoczęcia w grudniu 1946 roku, kursu zerowego.

W roku 1949 został dyrektorem Dyrekcji Okręgowej Szkolnictwa Zawodowego. W latach 1952-53 był wykładowcą na wydziale Budowy maszyn Politechniki Szczecińskiej (Katedra Technologii Budowy Maszyn). Od 1955-57 roku pełnił również funkcję prodziekana Wydziału Budowy Maszyn.

Po przejściu na emeryturę ( w 1965r.) kontynuował pracę w szkolnictwie zawodowym, angażując się równocześnie w działalność społeczną w ramach NOT, SIMP oraz ZNP.

Za swoją ofiarną wieloletnią pracę oraz działalność społeczną został odznaczony: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym, Krzyżami Zasługi, Medalem Zwycięstwa i Wolności, Odznaką Tysiąclecia, Złotą Odznaką „Gryf Pomorski”, Medalem Edukacji Narodowej oraz wieloma odznaczeniami stowarzyszeniowymi, wyróżnieniami i dyplomami.

Zmarł dnia 27 stycznia 1988 roku w Szczecinie.

### ***Twarde zasady***

Andrzej Briks, kiedy musiał zdać egzamin z technologii budowy maszyn miał zawsze „przechłapanie”. Egzaminował niezmiennie ojciec, Bolesław Briks. Ojciec w domu kazał studentowi uczyć się, nawet wówczas kiedy ten nie miał na to absolutnej ochoty. Profesor dodawał, że ma się uczyć solidnie z całego materiału, a nawet więcej, bo będzie go traktował na egzaminie surowiej niż innych.

Profesor miał zasady. Nigdy nie dawał taryfy ulgowej egzaminowanym, a co dopiero własnemu synowi! Na egzamin syna, zawsze wybierał trzech studentów, którzy mieli obowiązek zadawać Andrzejowi pytania. Sam słuchał odpowiedzi i je oceniał. A ocena zawsze była o stopień niższa.

Trudno być synem nauczyciela akademickiego, mawiał Andrzej.

### ***Nauce trzeba ustąpić***

Profesor Włodzimierz Radyski prowadził wykład z geometrii wykreślnej w sali z wiszącymi lampami w kształcie wielkich białych kul. Aby wyrobić w studentach zdolność przestrzennego widzenia, wykładowca posługiwał się



wszystkim co było w zasięgu ręki i wzroku. Prosta prowadziła pomiędzy swoją łysą głową i kloszem lampy. Kiedy dotknął klosz wskaźnikiem, który miał być jednym z punktów, ten spadł i roztrzaskał się na drobne kawałeczki. Niedoszły uszkodzony, którego „kula” tylko musnęła, zwrócił uwagę wykładowcy, że właśnie brakuje tego punktu-klosza. Profesor niewzruszenie nadal prowadził wykład, a zwracając się do studenta powiedział:

– Kolego, co znaczy jakiś tam marny klosz, kiedy w grę wchodzi nauka?”

### ***Nauka wymaga poświęceń***

Prof. Radyski roztrząsał temat o przenikaniu się brył – stożka i kuli. Nałożył na swoją łysą głowę stożek z papieru i zapytał studenta, co widzi? Zanim zagadnięty zdążył otrząsnąć się z odrętwienia, z głębi sali padło:” PAJACA”

Na to profesor:

–Pan się myli, to przykład przenikania się kuli i stożka. Za wygłup, profesor się obraził. Zanosilo się na nie lada chryję. Trzeba było długo przeproszać i zapewniać, że winowajca poniesie zasłużoną karę.

### ***Tu nie zebranie***

Na egzamin z geometrii wykreślnej przyszedł student (działacz ZMP) w czerwonym krawacie.

Profesor chwilę patrzył, coś tam mruknął pod nosem, a do studenta działacza czekającego na sakramentalne – proszę siadać i td. powiedział:

– Pan się chyba pomylił ! Tu niema zebrania! Tu odbywa się egzamin z ważnego przedmiotu!

### ***Kłapa od czołgu***

Prof. Radyski egzaminował z geometrii i kazał pokazać ślad rzutu krzywej na płaszczyznach, ślad przenikania się płaszczyzn i tp. Student starał się jak mógł ,ale niewiele mógł. Po prostu nie bardzo rozumiał co profesor wykladał. On tego nie widział. Brakowało mu wyobraźni. Nie chciał iść do dziekanatu po papiery, jak radził profesor tym studentom, którzy „ nie widzieli” . Zaczął odgrywać nieszczęśliwego, pokrzywdzonego przez los człowieka , który ma za sobą kawałek szlaku bojowego.

My, koledzy popieraliśmy biedaka i opisywaliśmy dramaturgię potyczki ogniowej, kiedy to kłapa czołgowa uderzyła studenta po głowie, i od tej chwili, ma on trudności w koncentracji i przestrzennym widzeniu. Wszyscy myśleliśmy, że to nie przejdzie i egzamin kolega ma już z głowy. Studia też.

A nasz Radyski, wziął indeks i wpisał:

„ Studenta kłapa od czołgu uderzyła w głowę –ostatecznie dostatecznie”.

Profesor był człowiekiem bardzo i to bardzo wyrozumiałym dla ofiar wojny.

### ***Łaciata w 6. rzutach***

Prof. Radyski miał zwyczaj mawiać:

–Student , widzi krowę z rogami? Student rysuje krowę z rogami.

Przychodzimy na wykład , a na tablicy narysowana jest piękna łaciata z rogami, w sześciu rzutach.

Nikt nie przyznał się do tego dzieła, ale stale podejrzewaliśmy Zbyszka Gniewoszewskiego albo Jana Wolskiego. (*Zbyszek*

*tego nie zrobił, pytałem. Chyba jednak Janek narysował krowę -przyp. MW)*

### ***Ile ...w ciągu roku?***

„Śinus”(sic!)–Mirek Kononowicz i „Zambrzyc”  
zawiązali spółkę konsumpcyjną – „ZamKon”.  
Na każdej przerwie jeden z nich „latał” do piekarza i nabywał  
dwukilowy bochenek chleba, który natychmiast zjadali,  
najczęściej na następnym wykładzie.

Wzór ogólny na ilość spożywanego kilogramów  
chleba każdego dnia przedstawia się następująco:

$X = n \times 2$     gdzie n- ilość przerw pomiędzy  
wykładami

### ***Ali nie zdążył***

Ali ( Aleksy Mikołajczyk) zawsze miał problemy z  
odnalezieniem się w rzeczywistości. Tym razem przyszedł i  
zobaczył grupkę kolegów przed drzwiami prof. Leona  
Darmochwała.

- Co wy tu robicie, zapytał ?
  - Jak to co, przecież zdajemy egzamin z obróbki  
skrawaniem. Pozostało tylko trzech. Będziesz ostatnim.
  - A, czy ja zdążę nauczyć się jeszcze czegoś?
- Pożyczył notatki i wkuwał. Niestety, nie zdążył!

### ***Jan - pisarz***

Zdawaliśmy sprawozdania z chemii, tylko że były one  
takie cieniutkie! Na pół strony. Tylko Janek Wolski miał  
znacznie dłuższe. Na dwie strony.

–Tu, na wagę się ocenia –twierdził.

Mała Wandzia (bardzo ładna asystentka) zainteresowała się tym wypracowaniem i zaczęła czytać..

..... po dodaniu fenolft... itd otrzymujemy: Litwo ojczyzna moja, ty jesteś jak zdrowie, ile cię...

–Co za bzdury pan tu wypisał?

–O! Przepraszam, byłem chyba zmęczony i musiałem się pomylić. Ja to zaraz poprawię!

### ***Stanisław Prowans***

Profesor urodził się 23.03. 1918r. w Stawiszczach (Ukraina). Gimnazjum im. Batorego w Warszawie ukończył w 1936r. Do wybuchu wojny studiował na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej. W czasie wojny pracował w Fabryce Motorów PERKUN w Warszawie. Studia ukończył w 1947r. W 1949r. pracował w macierzystej uczelni Politechnice Warszawskiej jako asystent w Katedrze Metaloznawstwa. W 1951 r. podjął pracę w Wojskowej Akademii Technicznej jako wykładowca, a w 1953r. przeniósł się do Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie jako zastępca profesora i objął funkcję kierownika Katedry Metaloznawstwa. Uzyskał tytuł naukowy docenta w 1958r., profesora nadzwyczajnego w 1968r. i profesora zwyczajnego w 1977r. Trzykrotnie pełnił funkcję dziekana Wydziału. Rektorem Politechniki Szczecińskiej był dwukrotnie. Był również dyrektorem Instytutu Budowy Maszyn i dyrektorem Instytutu Inżynierii Materiałowej. Naukowo pracował nad wieloskładnikowymi brązami aluminiowymi, wysokostopowymi staliwami i żeliwami odpornymi na ścieranie i korozję wysokotemperaturową, a także nad wytwarzaniem powłok z węglików i azotków na podłożu stalowym. Był autorem kilkudziesięciu artykułów w kraju i za

granicą, 10 skryptów i 6 książek . Wśród jego uczniów jest 8 doktorów, w tym 2 docentów i jeden profesor. Był członkiem wielu organizacji i gremiów naukowych. Pracował naukowo do ostatnich dni swojego życia. Zmarł 25.05.1992r.

### ***Nie wypadalo***

Wchodzimy do „Morskiej”, a przy stoliku siedzi Prof. Stanisław Prowans– dziekan, wspominał Olek. Kłaniamy się i już mieliśmy się ulotnić, a tu Profesor zaprasza nas do stolika i stawia po secie. Byliśmy zaskoczeni i spięci , ale po chwili któryś z nas zapytał.

– Czy pan , panie profesorze nie powinien był być dzisiaj w Warszawie i bronić pracy „na tytuł”: *Kandydat Nauk* ?

–Gdybym się chciał wyrazić dosadnie, to powiedziałbym panom gdzie ja mam ten ich tytuł!

### ***Inżynierska niczym się nie różni***

Krysia Solecka przyszła do inż. Parczewskiego i przyniosła rysunek techniczny do weryfikacji i oceny.

Ten popatrzył i pyta „ A w tym miejscu , co to jest?”

–Dziura - odpowiada Krysia.

–Dziurę to ma baba , a w technice są tylko „*otwory*”!

Krysia nie speszona odpaliła: „ Panie inżynierze, Wyższa Szkoła Inżynierska niczym się nie różni od Państwowej Szkoły Technicznej. Tam też tak twierdzili.

### ***Stanisław Smotrycki***

Profesor urodził się 13.08.1908 r. w Sabarówce Ziemi Kijowskiej. Maturę uzyskał w Liceum Krzemienieckim. Studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lwowskiej ukończył w 1938 r. Do wybuchu wojny pracował jako asystent

w Katedrze Części Maszyn Politechniki Lwowskiej. Podczas okupacji pracował jako mechanik w Stacji Motorowo-Traktorowej we Lwowie. W 1946r. przeniósł się do Szczecina do Biura Odbudowy Portu. Następnie pracował w Szczecińskim Urzędzie Morskim i Stoczni Szczecińskiej. Równocześnie od 1947r. był nauczycielem akademickim Szkoły Inżynierskiej, a następnie Politechniki Szczecińskiej na stanowiskach od asystenta do profesora. Tytuł naukowy docenta uzyskał w 1959r., profesora nadzwyczajnego w 1979r. W latach 1960-1964 był dziekanem Wydziału Budowy Maszyn. Specjalnością profesora S. Smotryckiego była technika przeładunków i maszyny dźwigowe. Rozwinął wiedzę w zakresie wyposażenia pokładowego statków morskich. Był jednym z prekursorów kierunku okrętowego w Politechnice Szczecińskiej. Był autorem skryptów z zakresu Maszyn i Urządzeń Pokładowych oraz książki pt. „Okrętowe Napędy Hydrauliczne”. Promował 5 doktorów, z których jeden jest doktorem habilitowanym i profesorem PS. Od 1978 przeszedł na emeryturę, ale pracował do ostatnich dni życia. Zmarł w maju 1983r.

### *Notatki perforowane*

Profesor Stanisław Smotrycki egzaminował z „dźwignic”. Wychodzący z gabinetu informowali, że profesor wymaga nie tylko wiadomości, ale i notatek. Na studentów padł wielki strach. Notatki prowadzili nieliczni, ale od czego są pomysły? Zaczęli do profesora przychodzić z tymi samymi notatkami. Może wszystko by się udało gdyby umieli je czytać. Profesor zadał pytanie. Student nie umiał na nie odpowiedzieć. Profesor: –O tym mówiłem na wykładzie i niech student znajdzie to w notatkach. Student, nie znał notatek. Zaczynał poszukiwania i nie znajdując twierdził, że tego tematu na wykładach nie było. Profesor wiedział już z jakimi notatkami

przyszedł student. Zabierał notatki, podchodził z nimi do parapetu, przystawiał wielki gwóźdź i uderzał klepką parkietu. W ten niecodzienny sposób notatki były perforowane i nie nadawały się na przechodnie.

Profesor był lepiej przygotowany do akcji „cudze notatki” niż studenci do przedmiotu pt „dźwignice”

### ***Konstanty Miściuk*** (Uczeń wielkiego Mendelejewa)

Profesor urodził się 20. 09. 1881r. Taurogach (Litwa). Gimnazjum ukończył w 1901r. w Mikołajewie ( Ukraina). Na uniwersytecie w Odessie w 1904r. uzyskał stopień kandydata nauk matematycznych, a w 1911r. po ukończeniu Instytutu Górniczego w Petersburgu– dyplom inżyniera metalurga. W latach 1912–1922 pracował w przemyśle metalurgicznym w Rosji. Do kraju wrócił w 1923 i rozpoczął pracę w fabryce „H. Cegielski” w Poznaniu jako kierownik odlewni.

W 1925 r. przeniósł się do Katowic do Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych. Tam aż do wybuchu wojny kierował Wydziałem Hutniczym. W czasie wojny za odmowę pracy w niemieckim przemyśle i tajne nauczanie był więziony przez okupanta co przeplacił zdrowiem.

Bezpośrednio po wojnie współpracował przy restytuowaniu Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych w Katowicach. W 1946r. przeniósł się do Szczecina i podjął pracę w Szkole Inżynierskiej.

Był organizatorem Wydziału Mechanicznego i jego pierwszym dziekanem (15.03.47 - 25.09.48) . Kierował Katedrą Technologii Metali i Chemii Technicznej.

Zorganizował odlewnię doświadczalną i laboratorium analiz chemicznych stopów metali.

Jako jeden z pierwszych podjął współpracę z przemysłem i

rozpoczął działalność naukową w dziedzinie konstrukcji żeliwiaków, technologii topienia żeliwa i żaroodpornego żeliwa aluminiowego.

Wykładał do 1956r. Zmarł 4. 09. 1965r.

### ***Wyłączyć silnik***

Profesor Konstanty Miściuk wykładał chemię ogólną i technologię metalu, a że był niedostyszcującym, używał aparatu słuchowego i głośniczka wzmacniającego jego głos.

Aparatura ta była wyjątkowo kiepska. Często bywały zaniki, albo charczała niemilosiernie. Wykłady były nudne i trzeba było dobrze wsłuchiwać się, aby cokolwiek można było zapisać. Na egzaminie profesor był wyjątkowo rygorystyczny i nie znosił tzw. „pół-wiedzy”

Pewnego , jesienno i pochmurnego dnia, kiedy w sali panował półmrok, a do tego monotony głos wykładającego co jakiś czas zanikał, część słuchaczy w najlepsze usnęła. Niektórzy zaczęli nawet głośno chrapać.

Profesor , od czasu do czasu przerywał wykład i nasłuchiwał skąd dobiegają te hałasy? W pewnym momencie przerwał wykład i zwracając się do Zbyszka Gniewoszewskiego, siedzącego w pierwszym rzędzie, powiedział:

–Niech kolega zejdzie na dół do laboratorium i poprosi asystenta aby wyłączył ten silnik, który mi przeszkadza w wykładzie.

### ***Szczęśliwe miejsce***

Prof. Miściuk egzaminował z technologii metali. Do gabinetu prosił ośmiu studentów. Sadzał ich przy stole. Wybierał pierwszego i zadawał mu pytanie. Student zaczynał coś bąkać, bo wiedzę miał nie kompletną. Wtedy profesor kazał następnemu kontynuować odpowiedź. Jeśli i ten nie odpowiadał śpiewająco, odpowiadał sąsiad. Trwało to tak



długo aż znalazł się taki, którego odpowiedź, dla profesora, była pełna. Najlepiej na tym zaczarowanym kółku wychodził ten ostatni, do którego doszło pytanie i oczywiście umiał na nie dobrze odpowiedzieć. Na tej swoistej giełdzie, zanim na niego wypadło mógł wiele nauczyć się. Wystarczyło dobrze analizować poprzednie odpowiedzi, bo profesor miał jeszcze jedną cechę, bardzo szybko uderzał ołówkiem o stół przy odpowiedziach błędnych. Temu ostatniemu wpisywał piątkę, innym wg własnych kryteriów. Ten pierwszy z „falstartem” najczęściej wychodził z dwóją.

Bywało i tak, że ten pierwszy nie dawał szansy następnemu, bo odpowiadał doskonale, wtedy profesor wybierał na „pierwszego” następnego studenta, który jego zdaniem mniej umiał.

Były „zestawy” bardzo mocne i wtedy widać było, że profesor był zadowolony. Nawet jego głos stawał się jakby dźwięczniejszy.

### ***Dziewczę cud – Basia G.***

Na egzamin do prof. Miściuka przyszło takie miłe dziewczę, które z uroczym uśmiechem oznajmiło: „Panie profesorze, ja nic nie umiem!” A na to profesor: – Może pani myli się? Od oceny wiadomości ja tutaj jestem! Proszę mi powiedzieć, co to jest węgiel?

–Węgiel? Węgiel, to jest to... takie czarne, co to tym się w piecu pali.

–Jednak, coś pani wie. Proszę zatem powiedzieć– jak otrzymujemy koks?

–To jasne. Chyba go się wydobywa...

–Dziękuję pani. To pani miała rację, a ja byłem w błędzie.

## *Częstotliwość*

Prof. K. Miściuk miał zwyczaj podczas egzaminowania stuknąć ołówkiem o blat stołu. Kiedy egzaminowany mówił dobrze, częstotliwość uderzeń wynosiła około 60 Hz. Kiedy zaczynał błądzić, częstotliwość rosła do 120 Hz, a jak mówił głupstwa, była znacznie wyższa i trzeba było wycofać się na przeciwnie bieguny, a potwierdzeniem złapania właściwego toru, była obniżka częstotliwości do 60 Hz.

## *Wiesław Olszak*

Profesor urodził się 21.07. 1925r. w Kielcach. W 1943r. na tajnych kompletach ukończył liceum ogólnokształcące. Pracował jako robotnik na kolei. Brał udział w walkach partyzanckich. Studia na Wydziale Komunikacji AGH w Krakowie ukończył w 1951r. z dyplomem magistra inżyniera mechanika. Pracował w Katedrze Mechanicznej Obróbki Materiałów AGH, w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Ostrowie Wlkp, jako kierownik działu przygotowania produkcji. W 1952r rozpoczął pracę w Katedrze Obróbki Skrawaniem w Szkole Inżynierskiej w Szczecinie. Stopień doktora nauk technicznych uzyskał w 1962r. na Wydziale Mechaniczno- Technologicznym Politechniki Warszawskiej. Na stanowisko docenta został powołany w 1966r; tytuł profesora nadzwyczajnego uzyskał w 1975r., na stanowisko profesora zwyczajnego został mianowany w 1991r. Kierował Zakładem bądź Katedrą Obróbki Skrawaniem (1964-85), był dziekanem Wydziału (1969-72), prorektorem PS ds. nauki i współpracy z gospodarką, dyrektorem Instytutu Technologii Mechanicznej. Jest autorem lub współautorem wielu publikacji naukowych i

około 20 patentów. Promował 9 doktorów , z których 2 uzyskało stopnie doktora habilitowanego i 1 jest profesorem PS.

Uczestniczył w wielu organizacjach technicznych i pracach wielu rad naukowych i jest odznaczony Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Partyzanckimi innymi odznaczeniami.

### ***Równno z trawą***

Trwał egzamin z pomiarów. Profesor Wiesław Olszak był w formie. Ciął równno z trawą! Pierwszych czterech otrzymało lufy, piąty –tróję i następnych dziewięciu– też lufy. Egzamin został przerwany i po konsultacji z rektorem, dziekan unieważnił egzamin, bo był egzaminem przedterminowym i wyznaczał nowy termin nowy. Stale strachliwy Sławek Felicki zwany- Felkiem miał dylemat: – Czy on zdał, czy nie? Poradziliśmy mu żeby to olał, lecz on nadal miał wątpliwości. I miał je chyba zawsze.

### ***Roman Sawa.***

Profesor urodził się 23.02. 1898r. we Lwowie, gdzie w 1916r. ukończył gimnazjum realne. Studia wyższe na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lwowskiej ukończył w 1927 r.

Już w okresie studiów pracował w charakterze asystenta w katedrze Teorii Maszyn Ciepłych oraz Laboratorium Maszynowym. Po ukończeniu studiów podjął pracę zawodową w przemyśle i specjalizował się w dziedzinie gospodarki cieplnej i chłodnictwa. Po wyzwoleniu, przez krótki okres pracował w przemyśle w Szczecinie, a od 1948r. poświęcał się pracy dydaktycznej w Szkole Inżynierskiej. W latach 1948-

1956 kierował Katedrą Termodynamiki i organizował laboratorium maszyn cieplnych. Ścisłe współpracował: ze Stocznią im. Adolfa Warskiego- później Stocznia Szczecińska, Zarządem Portu Szczecin i Żegluga na Odrze w zakresie badań eksploatacyjnych i odbiorczych jednostek pływających. Jako członek Towarzystwa Wiedzy Powszechnej dużo czasu poświęcał również zagadnieniom popularyzacji nauki i techniki. Zmarł 06. 07. 1956r.

### ***Entropia, a może entalpia?***

Profesor Roman Sawa był wymagającym egzaminatorem, dlatego wiadomości z teorii maszyn cieplnych wkuwaliśmy na potęgę. Ćwiczenia odrabialiśmy sumiennie, bo jego asystenci: Roman Sobański i E. Kamiński, byli czasem surowsi od swego szefa.

Na egzamin przyszedł Julek Kacprzak. Trząśł się jak galareta. Wiedział doskonale, że profesor czasem zadaje takie pytanie, którego nawet najlepiej przygotowany student nie może „ugryźć”.

Co z tego, że TMC ostatnio poświęcał najwięcej czasu, kiedy materiał jest obszerny i dobre przygotowanie musiałoby trwać znacznie dłużej, a my zawsze w sesji mieliśmy natłok egzaminów. (*terminy były obligatoryjne!*)

Julek wszedł do gabinetu, grzecznie położył indeks na stole i błady czekał na pytanie. Profesor w tym czasie był zajęty poszukiwaniem czegoś, w przepastnym biurku.

Trwało to , jak się zdawało studentowi, wieki. Wreszcie podniósł głowę i zapytał Julka czy wie co to jest –***entropia?***

W Julka jakby jasny, a niespodziewany piorun trafił!

Nie natrafiwszy w pamięci na takie pojęcie, odpowiedział szczerze:

–Nie wiem ,panie profesorze, ale wiem co to jest– ***entalpia.***

Zazwyczaj srogi profesor, tym razem uśmiechnął się i powiedział:

–To niech kolega wyjaśni zagadnienie entalpii.

Julek dokładnie wyjaśnił to znaczenie.

Otrzymał ocenę pozytywną i wpis do indeksu. Przez chwilę siedział na krześle i nie mógł zrozumieć jak to się stało, że u SAWY mógł zdać, odpowiadając na pytanie, które sam zaproponował?

Wychodząc z gabinetu przyrzekł sobie, że musi poznać znaczenie– entropii.

**Entropia**- samorzutne przechodzenie wszystkich energii w energię cieplną, promienistą, przy jednoczesnym wyrównaniu temperatury

**Entalpia**- wielkość zależna od stanu termodynamicznego układu i wyrażającego się w tych samych jednostkach co energia

**Siusianie po...**

W sali 24 przed tablicą bez słowa stanął prof. R. Sawa i drobniutkim, koślawym pismem zaczął wypełniać jej czarną powierzchnię. Wszyscy staraliśmy się przepisywać treść z tablicy do kajetów. Wiedzieliśmy, że profesor miał ogromne kłopoty ze słuchem i głośny szmer na sali nie robił na niego żadnego wrażenia. Ze środka sali półgłosem, padła uwaga Jasia Grzędy:

– Co to za, siusianie po ścianie?

Profesor natychmiast przerwał pisanie i patrząc w to miejsce z którego wyszło pytanie, spokojnie oznajmił:

– To jest wstęp do teorii maszyn ciepłych, proszę pana!

## ***Wiara w człowieka***

Włodek Kryński wrócił z egzaminu (teorii maszyn cieplnych) ucieszony, ale jakby nie do końca.

– Ty! Co się stało, zdałeś? – pyta Olek

– Zdałem na trzy, ale pod warunkiem, że po wakacjach będę zdawał chłodnictwo. Jak myślisz, mam iść i jeszcze raz zdawać?

– Dajeś przecież słowo. Podczas wakacji nie masz innych zajęć, poduczysz się i pójdziesz do Sawy na egzamin dodatkowy.

W październiku Włodek wrócił od prof. R. Sawy rozpromieniony.

– Opowiadaj! Jak było? – naciskał Olek – Zdałeś? I o co pytałeś?

– Wyobraź sobie, wcale nie pytałem! – powiada Włodek,

– Zaprosił na kawę i powiedział:

– Pan mi przywrócił wiarę w człowieka!

Ja w każdej sesji, kilku osobom zaliczałem na podobnych warunkach. Wierzyłem, że kiedyś ktoś się zgłosi. Pan jest pierwszy!

## ***Nie ta waga***

Bohdan Tomaszewski zdawał egzamin z BHP. Egzaminował Stefan Żabicki.

– Proszę zademonstrować chwyt strażacki

– Nie mam na kim

– Proszę na mnie

– Proszę, niech pan profesor kładzie się na stół

Po chwili: – Pan nie ma pojęcia o chwycie. Ja panu zaraz zademonstruję. Niech pan kładzie się na stół!

Bohdan położył się, a Żabicki chwycił, ale Bohdan ani drgnął. Zrezygnowany wpisał stopień państwowo. Cóż wagi były nie równe. Jak 1:2.

### ***Jasne jak szwarc***

Egzamin z BHP u St. Żabickiego zdawała studentka Wydziału Elektrycznego.

Żabicki: –Proszę pani, pani kończy studia na tym wydziale, a ja mam zawsze problem z prądem. Z dwufazowym to jeszcze sobie jakoś radzę i wiem, że jednym płynie plus, a drugim minus. Ale jak to jest z tym –trójfazowym, co płynie w tym trzecim?

–Panie profesorze– mówi egzaminowana, to jest proste jak parasol wendekerowski. Tym trzecim płynie cosinus  $\phi$ .

– Aha?! To ja również powiem pani „wendekerem”: Teraz wszystko jest jasne jak „szwarc”.

### ***Zrobić wyjątek***

Dr inż. Konstanty Lisowski prowadził egzamin z hydrauliki. Miał dość czerwonych krawatów, zwłaszcza tych trzech cwaniaczków, którzy pod pozorem kontroli przygotowania studentów do egzaminów, przyszli poduczyć się, ale zachowują się nonszalancko.

–Panowie zachowują się dość głośno, a mogliby panowie jeszcze czegoś się nauczyć. Egzamin macie za trzy dni.

–My jesteśmy przygotowani– odezwał się najgłośniejszy.

–No, to ja zrobię wyjątek i panów zaraz przepytam poza kolejnością, po co czekać trzy dni.

Przepytał. Na przygotowanie się do egzaminu, za mało by im było nawet trzydzieści dni.

### ***Też zasada***

J. Lorkiewicz miał zwyczaj spóźniać się na ćwiczenia. Nie mieliśmy mu tego za złe. Taki system bardzo nam odpowiadał. Zresztą robił to w myśl głoszonej przez siebie zasady. „ Im później zaczniemy, tym wcześniej skończymy”.

### ***Akceptacja***

Pan się spóźnił, panie asystencie( *Kazio Kubiak do J. Lorkiewicza*) , a ja już kolegów przepytałem.

- No i jakie wyniki?
- Zaliczyłem na cztery.
- Akceptuję!

### ***Całki trzeba umieć rozwiązywać...***

Ostatni egzamin z matematyki zdawałem razem ze Stasiem Walowem . Pech mnie chyba prześladowe – pomyślałem. Zakładam , że będzie wielka chryja! Walów nie lubi Kuli , a Kula odwzajemniał się tym samym.

Mgr Kula był wykładowcą na wyższej uczelni od niedawna. Starał się uczyć matematyki dobrze , ale metodą szkoły średniej, to znaczy uczył systematycznego dochodzenia do wyniku, poprzez dokładne wyprowadzanie. Było dobrze, kiedy student na tablicy pisał starannie i jednocześnie mówił co pisze.

Walów nie należał do takich. On był inny. Nie chciał podporządkować się wykładowcy, a do tego był bardzo zdolny



matematycznie i zadania (szczególnie całki) rozwiązywał w pamięci.

Zdawaliśmy w trójkę. Trzecim był Rysio Wianecki, który na egzamin przyszedł tylko dla formalności. Rysiek był niekwestionowanym liderem w matematyce, fizyce i innych przedmiotach.

Każdy z nas wyciągał zestaw pytań, szedł na swoje miejsce i zaczynał rozwiązywać zadania ,aby później rozwiązane prezentować egzaminatorowi.

Dzisiaj mgr Stefan Kula miał pomocnika, którym był „czynniki społeczny” ( tym razem był to student z naszego roku, członek partii, który przysłuchiwał się i wyciągał jakieś wnioski).

Zadania, które wylosowałem były bardzo trudne i aby dojść do wyniku, wymagały długich wywodów. Zacząłem dobrze pocić się.

Z trzech zadań, żadnego nie mogłem doprowadzić do końca, ponieważ pracowałem w atmosferze napięcia. Wyczuwam, że za chwilę stanie się coś bardzo nieprzyjemnego.

Bardzo pragnąłem zdać ten egzamin, bowiem była to „ostatnia matematyka”, a ja na wakacje miałem poważne plany i nie chciałem ślęczeć nad zadaniami w piękne dni lata.

Po paru minutach, jako pierwszy wstał Staszek Walów, podszedł do stołu egzaminatora, położył kartkę i oznajmił: Oto są rozwiązania.

Mgr Kula spojrział na „gołe” trzy wyniki i na chwilę zamilkł.

Popatrzył na studenta, którego mina mówiła:

„Co, zaskoczyłem pana, panie magistrze?”.

Kula wstał i syknął: „Wynik jest zły. Niech pan idzie do tablicy i to wyprowadzi, wówczas pan sam się przekona”.

Walów ani drgnął i niedbale wycedził:

–Wynik jest dobry, panie profesorze i nie muszę niczego wyprowadzać i udowadniać, a jeżeli pan nie wierzy to niech pan popatrzy do skryptu.

– Kolego, wynik jest zły, bo pan nie „wyprowadził” tego na papierze ani na tablicy.

–Nic nie będę wyprowadzał, bo to nie szkółka tylko szkoła wyższa, a wynik jest dobry– bezczelnie odpowiedział student, którego Kula dosłownie nie znosił.

W takiej atmosferze , diabli wzięli moją koncentrację. Każde zadanie miałem rozwiązane do połowy i dalej nie mogłem ruszyć z miejsca, a ”ci” nadal prowadzili dialog– ping pong: źle, dobrze, źle, dobrze, źle... W końcu , zmęczony mgr Kula popatrzył do skryptu i mu się wyrwało: – No, wyniki są dobre, ale...

Na to tylko czekał nasz Walów. Natychmiast wypalił jak pukawki: –Panie magistrze, całki trzeba umieć rozwiązywać! Kula dotychczas bledy, nagle poczerwieniał, złapał indeks Staszka i bez najmniejszego oporu wpisał trzy z dwoma minusami.

Student popatrzył na wpis później na egzaminatorów i wychodząc w drzwiach powtórzył jeszcze raz:

–Całki trzeba umieć rozwiązywać, panie magistrze, trzeba umieć, jeśli chce się wykładać na wyższej uczelni.

Przyszła kolej na mnie. Podchodząc do tablicy, pomyślałem sobie:

Musisz bratku zdawać egzamin na zasadzie „Va banque”.

Zacząłem na tablicy, pisać starannie i mówić co robię. Za każdym razem kiedy dochodziłem do tego miejsca w którym moja wiedza prawie dobiegała końca, słyszałem zbawienne słowo „dziękuję”.

W ten sposób zaliczyłem dwa zadania, ale przy trzecim, najtrudniejszym, nie dałem możliwości egzaminatorowi przerwania sobie wywodów w połowie. Brnąłem do końca. W trakcie rozwiązywania otworzyła się klapka w pamięci i mogłem zakończyć zadanie wynikiem.

Wynik , z rozmachem podkreśliłem.

–Tak , zdaje się egzamin!– usłyszałem z ust profesora.

Matematykę miałem z głowy i wakacyjne plany uratowane.

Czasem warto jest zagrać „Va banque”.

### ***Dobre rady***

K. WENDEKERA: To wszystko jest w kalendarzu (poradniku). Tylko trzeba umieć szukać!

B.BRIKSA: Nawet w starym młynie są ciekawe rozwiązania. Należy obejrzeć i zapamiętać, a przyda się!

Wł. MARZYMSKIEGO: Nie wpadać w samozadowolenie. Trzeba być krytycznym i mieć stale wątpliwości. Zawsze można zrobić lepiej.

K. WENDEKER twierdził, że: Jak ma się 18 kół, 7 dźwigni i 2 kliny to jest już samochód, a kiedy tylko 9 kół, 5 dźwigni i 1 klin – motocykl, bo tylko maszyny proste wymyślono, reszta jest jedynie kompilacją.

### ***Ocena średnia***

Na egzamin poprawkowy z części maszyn przyszło około 40 „naukowców”. Egzamin był tylko pisemny. O wyniki dobijali się studenci, dwa tygodnie. Wreszcie starosta roku uzyskał odpowiedź.

– No cóż; prace są lepsze i są gorsze, ale łączna średnia ocena wynosi: dostatecznie... No i tak wpisano.

### ***Oklaski spontaniczne***

Egzamin z podstaw marksizmu – leninizmu zdawali: Zbyszek Gniewoszewski i Rysiek Dziemianowicz. Profesor M. Gordon przepytął Zbyszka i był w wyśmienitym humorze. Student na wszystkie pytania odpowiedział poprawnie, podczas ćwiczeń aktywnie dyskutował. Widocznie ten przedmiot jest przez niego właściwie pojmowany.

Do stołu podszedł Rysiek.

Zobaczymy – pomyślał profesor – co nam ten grubawy kurdupel powie? Na ćwiczeniach jest nad wyraz aktywny, ciągle męczy moich asystentów, poprawia ich wypowiedzi, zadaje trudne i kontrowersyjne pytania. Czyżby był tak mocny w tym temacie? Przekonamy się!

– Niech kolega- mówi profesor- posługując się zaczerpniętymi wiadomościami z WKP(b) uzasadni słuszność wybranej drogi do zrzucenia jarzma ucisku mas pracujących, a także wykaże mądrość i wielkość twórców rewolucji. Proszę posłużyć się kilkoma niezwykle trafnymi cytatami z tego dzieła. Proszę również powiedzieć co najbardziej utkwiło koledze w pamięci, czytając WKP(b).

Profesor nie przypuszczał, że z tym pytaniem trafił pod najwłaściwszy adres.

Rysiek często dla śmiechu cytował tow. Stalina.

Treść WKP(b) miał w małym paluszku, a teraz otrzymał „takie” pytanie!

Powoli, posługując się tymi wiadomościami, zaczął nawiązywać, uzasadniać, poszerzać, uwypuklać. Wplatał różne „słynne” cytaty np. do czego tow. Stalin porównał kapitalizm :

„do garbusa, którego wyprostować może tylko mogiła”

– A najbardziej z tego dzieła, utkwiły mi oklaski– zakończył wywód Rysiek.

–Jakie oklaski? –z nieukrywanym zaciekawieniem zapytał profesor.

– Oklaski spontaniczne, owacyjne, długotrwałe i niemilkące, odpowiedział niewzruszenie Rysiek.

Profesor jak oparzony zerwał się na równe nogi i wrzasnął:

– Kolega sobie żarty stroi z poważnej nauki, kolega u mnie nie zda! Postaram się, aby kolegę zawieszono w prawach studenta!

Rysiek miał wielkie kłopoty. Profesor nie docenił wysokiego ilorazu inteligencji studenta.

### ***On przewidział, zmienilo się!***

Start w sesji letniej miałem fatalny. Oblałem pierwszy egzamin z podstaw marksizmu i leninizmu. Trzy następne z przedmiotów ścisłych, zdałem z wynikiem dobrym. Przed sobą miałem jeszcze dwa trudne egzaminy z *wytrzymałości materiałów i teorii skrawania metali*.

Kiedy je zdam, wtedy będę po sesji, z gwarancją na „zjazd naukowców” w miesiącu wrześniu– myślałem i byłem zły na siebie.

Na szlifowanie wiadomości z tych przedmiotów pozostało mało czasu. I właśnie wtedy powiadomiono mnie, że mam się stawić w zarządzie uczelnianym ZMP. Nigdy jeszcze tam nie byłem. Wszedłem ale nie wiedziałem, czego ode mnie oczekują. Za stołem siedział rozparty „kolega”, a obok niego siedzieli dwaj inni.

Rozpartego znałem z widzenia, z akademika. Siedzących obok, widziałem po raz pierwszy. Wszyscy byli wystrojeni w zielone koszule i czerwone krawaty ze znaczkami ZMP.

Podszedłem bliżej stołu i wtedy ten rozparty zapytał mnie czy się nazywam Walków i czy wiem w jakim celu zostałem wezwany?

Zrobiłem wielkie oczy i powiedziałem, że nie mam bladego pojęcia.

Wtedy on, zerwał się na równe nogi i zaczął krzyczeć:

–Wam kolego, członkowi ZMP, widocznie jest źle na uczelni!

Wy nie chcecie być studentem! Wy jesteście „anty!

– Nie podoba wam się nauka marksistowska! Oblaliście marksizm a przedmioty zawodowe zdaliście na czwórki!”

Cały czas używał formy „wy”.

–Powinnością waszą jest uczyć się tych podstaw. Wy macie być świadomi w życiu! –ciągnął dalej.

Krzyczał długo plotąc niestworzone androny, a ten osobliwy monolog akceptowali „dwaj” pozostali, bo stale potakiwali głowami wrzeszczącemu.

Ciągle zadawałem sobie pytanie – Co z tego wyniknie?

W końcu mój prokurator i sędzia w jednej osobie, stwierdził:

–My wiemy dlaczego wam ta nauka nie odpowiada, bo wy chcecie mieć w indeksie zły stopień ,aby pokazywać, że byliście przeciwni ustrojowi!

Przyznam, że tym stwierdzeniem na chwilę mnie rozśmieszył. Ale tylko na małą chwilkę!

Bo oto wyobraziłem sobie co mnie czeka, i ugięły mi się kolana. Pomyślałem –Boże pomóż!

Dzisiaj wyobrażam sobie jak mogła wyglądać moja twarz.

Musiałem być bardzo blady, bo na twarzy prześladowcy rozlewał się grymas wielkiego samouwielbienia.

Patrzył wyniosłe to na mnie, to na swoich towarzyszy.

Był wyraźnie zadowolony z siebie i z tego, że wreszcie dopadł przeciwnika ustroju.

I w tym momencie.... zostałem olśniony!

Patrząc prześladowcy prosto w oczy zapytałem:

– O czym wy kolego mówicie?! Twierdzicie , że nastąpi przewrót i ustrój będzie zmieniony?!

A mówiłem to, akcentując każde słowo.

Takiego obrotu sprawy nikt z siedzących nie spodziewał się, a najmniej ten , który przed chwilą był taki wielki.

Nagle zbladł, zrobił się jakiś malutki i coś bąkał, że nie, że on nic takiego nie powiedział, że ja musiałem źle zrozumieć...

Wszystko odkręcał, tłumaczył się i prawie prosił o łaskę!

Aby go pograżyć zapytałem, znowu cedząc słowa:

–Więc komu będę pokazywał ten stopień i w jakim celu. No powiedzcie mi kolego?!

Zapanowała absolutna cisza.

„ Koledzy” związkowi zaczęli mnie nieśmiało przeproszać za kłopot przybycia do ZU ZMP podczas sesji egzaminacyjnej i prosić, aby to o czym tutaj była mowa, pozostało tylko

między nami!

Na „odchodne” życzyli mi dobrych wyników w następnych egzaminach.

Po latach stwierdziłem, że „ten kolega” chcąc – nie chcąc, dobrze przewidywał!

### ***Strach prawdziwy***

Na pierwszym roku jeszcze dobrze nie znaliśmy się i dlatego każdą okazję staraliśmy się wykorzystywać.

Na przerwie między wykładami stała grupka kolegów ( Mirek Wojciechowski, Rysiek Ochwat, Janek Karaś i Olek) i coś żywo omawiała. Podszedł Wiesio Turek i powiedział:

Słuchajcie, zrobmy numer. Ja wam przyślę Mietka Wróbla, a wy go przepytacie na okoliczność wczorajszego dnia.

*(Wczoraj było- 11 listopada 1952 roku !).*

Po chwili przyszedł Mietek, a oni na niego:

–To wy jesteście kolega Wróbel? I wy jesteście w radzie stołówkowej?

–Tak, nazywam się Wróbel i jestem w radzie.

–Czy my obchodzimy przedwojenne święta sanacyjne?

–Nu, nie.

–To dlaczego wczoraj w stołówce, na deser były podawane ciastka?

–„Kuledzy”, my się rozliczamy dekadowo. Po dekadzie zostało trochę pieniędzy i trzeba było koniecznie wydać, bo by przepadły....

–To można było wydać te pieniądze, a ciastka dać dopiero 12-go.

–Tak się głupio złożyło, ale na przyszłość będziemy uważali „kuledzy”. Bardzo żałuję, ale to się nie powtórzy.

Chłopacy mieli trochę uciechy, a Miecio potężnego stracha. Po godzinie, przepaszali kolegę, ale głupi żart chluby im nie przyniósł.

## ***Rozdział 2. ŻYCIE STUDENTA***

### ***Tarło***

Wieczorki taneczne w akademiku odbywały się w sali gimnastycznej, zwanej „ogiernią” lub „kozim targiem”. Stałymi bywalcami byliśmy ... „My”. Wśród nas brylowali przystojniacy: Zygmunt Ossowski, Adam Głębocki, Leszek Wyżykowski, Antek Karczewski, Staszek Neumann, Zdzisiek Zaleski, Heniek Krenke, Andrzej Gryglaszewski. Rysiek Zambrzycki, Zbyszek Gniewoszewski i wielu innych, bo nie ukrywam, że nasz „rok” był bogaty w atrakcyjnych dla płci żeńskiej, chłopaków. A płeć ta, to przede wszystkim medyczki!

Rozpoczęło się „tarło”. Dziewczyny stały i siedziały pod ścianami. My w grupach opowiadaliśmy świeżo zasłyszane dowcipy, „rechotaliśmy” i szykowaliśmy się do startu. Wśród panienek była również i „TA”, która miała swoje narowy. Ona tańczyła tylko z tym, którego uznawała za godnego. Już paru doświadczyło kosza, a wielu nawet nie startowało, by go nie otrzymać na oczach gawiedzi akademickiej. Byłby to ogromny uszczerbek na honorze. Jeden z naszych kolegów wcześniej ośmieszony, postanowił zemścić się na „Pięknej”. Podeszedł do panny, w przerwie zmiany płyty (wówczas zmieniano ręcznie) i na oczach wszystkich kilkakrotnie uklonił się dwornie, prosząc do tańca. ONA, jakby opędzając się od natrętnej muchy, wyniośle oznajmiła – Nie tańczę!

Adam O.– zwany AM, bo o nim opowieść, chcąc upewnić się, zapytał – „Koleżanka nie tańczy?”. I kiedy ta kiwnęła głową na potwierdzenie, wypalił: – Ja pierdole!. Odwrócił się na pięcie i poszedł prosić inną.



Dziewczyna, dotychczas dumna, stanęła jak wryta. Cała pąsowa natychmiast uciekła z sali, żegnana uśmiezkami koleżanek i gromkim śmiechem płci odmiennej. Bo trzeba pamiętać, że wówczas nie byliśmy przyzwyczajeni do słuchania dzisiejszych nagminnych wulgaryzmów. Do używania ich, też nie!

Adam musiał długo tłumaczyć się ze swego „czynu” w Radzie Osiedla Akademickiego.

### ***Saloon***

Aby oddzielić tzw. „dziekanice” od tłumu natarczywych studentów, przegrodzono sekretariat dziekanatu płaską barierą. Wpadł tam kiedyś głośny Adam Orzechowski i natychmiast wypalił:

–O , jaki fajny szynkwas! Poproszę dwa piwa!

### ***Końska- przysmak studenta***

Kazio Drozd miał często takie chwile kiedy chodził w kółko po pokoju i „monologował”. Pewnego dnia, w czasie sesji, przechadzał się i coś mamrotał. A to o tym, że warto by było coś wypić, albo coś zjeść, a nawet zjadłby na jedno posiedzenie dwa kilogramy kielbasy.

Było akurat po wypłacie stypendium– opowiadał Staszek Jardzioch, złożyliśmy się i z wielkim wysiłkiem kupiliśmy te dwa kilogramy końskiej– studenckiej. Zrobiliśmy jednocześnie zakład na podwójną stawkę.

Kazio usiadł przy stole i ze stoickim spokojem , kawałek po kawałku, pałaszował kielbasę. Zauroczeni patrzyliśmy i liczyliśmy , że kiedyś nadejdzie chwila załamania. Ale nic takiego nie nadchodziło.

I kiedy na stole pozostały tylko dwa małe kawałeczki , rzuciliśmy się na nie, aby choć trochę uratować przed tym żarłokiem.

Kazio oczywiście wygrał i zaproponował byśmy zakład powtórzyli.

### ***Bal nad bale***

Każdego roku nasz Wydział organizował „Bal Mechaników”. W odróżnieniu od balu elektryków, chemików i budowlańców, nasz bal musiał być na tzw. „cztery fajery”. Głównym organizatorem, aranżerem i dekoratorem, był zawsze Julek Kacprzak. Pomagali mu też inni. Wszystkich dzisiaj trudno by było wymieniać. Jednym z nich był Staszek Jardzioch. On to właśnie, przed samym bale, bardzo się martwił brakiem dziewcząt, bo na naszym roku było ich mało! „Trzeba temu jakoś zaradzić” – pomyślał Staszek. Podeszedł do Julka i przedstawił mu problem braku dziewcząt.

Julek na to: – Jeśli chcesz to zaraz temu zaradzimy, tylko będziemy musieli kilka razy „obrać”!

Staszek wyraził zgodę, absolutnie nie mając pojęcia na czym ma to polegać. Julek zaproponował, aby obaj udali się na przystanek tramwajowy, na którym wsiadają i wysiadają dziewczyny z PAM-u.

Podeszli do grupki pańienek oczekujących na tramwaj i Julek do pierwszej z brzegu: –Cześć Basiu, stęskniłem się za tobą, długo ciebie nie widziałem, wybacz, ale musiałem na kilka dni wyjechać do domu. Ty chyba nie zapomniałaś, że umówiliśmy się na bal mechaników?

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy, potrząsnęła głową i powiedziała, że po pierwsze: nie jest Basią tylko Anią, a po drugie, to chyba kolega, mocno się pomylił, bo przecież nie znamy się!

Julek ciągnął dalej: – Aniu, nie wygłupiaj się. Na ostatniej randce mówiłem ci o tym? Zagadnięta, nadal zaprzeczała. –Kolega pomylił się! Nigdy nie umawialiśmy się na randkę! Kiedy miały wsiadać do tramwaju, Julek wtedy z „innej beczki”.

–Dziewczyny, nie gniewajcie się. My, mechanicy organizujemy bal w akademiku na Piastów, ale brakuje nam dziewczyn. Zbieramy i zapraszamy na bal wszystkie ładne dziewczyny. Medyczki były zaskoczone bezczelnością kolegi. Julkowi zawsze uchodziła na sucho. Buchnęły śmiechem i przyrzekły, że na bal przyjdą. W ten nietypowy sposób udało się zwerbować kilkanaście ładnych dziewczyn. Niektóre, swój los połączyły z mechanikami, na całe życie

### ***Mirek Kononowicz***

To był chodzący warsztat . Iglę z dratwą miał pod patką tylnej kieszeni spodni, a szydło ukryte w czapce. Zawsze był przygotowany do .....

### ***Jak on to zrobił?***

Zdarzyło się, że Marian F. trochę „nadużył”. Odprowadziliśmy go do pokoju i położyliśmy w ubraniu do łóżka. A, że był góralem, chadzał w spodniach i butach narciarskich. Rano obudził się ubrany i obuty, tylko bez gaci! –Metafizyka , czy co?– pomyśleliśmy.

### ***Marian – tylko inny!***

Jak brakowało już gorzały ,wtedy klękał i mówił; Boziu, spraw żeby mi się chociaż raz odbiło!

### ***Testowanie kandydata***

Radian (ksywa Janka Adriana), wraz z Olkiem i kilkoma innymi wybierali się do sekcji bokserskiej. Ogłoszenie wyraźnie mówiło , że trzeba zgłosić się do pokoju takiego, a takiego, o godz.20-tej. Tylko tam można być

zakwalifikowanym do sekcji bokserskiej AZS-u.  
Delikwenta najpierw pytali czy, aby przedtem nie boksował?  
Stawiali tak, by dwóch stojących z tyłu mogło schwycić go  
za ręce. Trzeci w tym czasie walił adepta boksu dwa razy w  
dziób!

Adept się wrywał i słyszał:

– Wy, kolego nie nadajecie się do boksu, jesteście za  
nerwowi!

### ***Truskawki a rewolucja***

Pokazały się świeże truskawki. Kazio Kopczyński zwany  
„Szcawik” zaproponował byśmy kupili owoce. Była nas  
pokaźna grupka, tak około sześć osób. Kupiliśmy kilogram  
tego specjału i poszliśmy do baru mlecznego ( przy al. W.  
Polskiego) i poprosiliśmy o małą śmietaną na talerzyku.  
Obraliśmy truskawki, dosypaliśmy cukru i..... do wioseł!  
I co wpadał klient.....

–Ja też proszę truskawki ze śmietaną

–Nie ma! Padała odpowiedź obsługi

–A ci panowie?

–Przynieśli własne!

–Jak to, własne?!

Delektowaliśmy się jak sadyści, doprowadzając kilkanaście  
osób do szału!

Recepta do powtórzenia!

*( Tak można rozpocząć każdą rewolucję- przyp. M.W.)*

### ***Tak, mniej –więcej***

Jurek Gregorius ,asystent z marksizmu, zwrócił się do  
Olka:

„Stary, czy mógłbyś mnie dzisiaj zastąpić i przepytąć

„pierwszo-roczniaków” na zaliczenie? Mam pilne spotkanie, a

to już ostatni termin. Tylko ich porządnie przyciśnij, a oceny należą do ciebie”.

O wyznaczonej godzinie zjawiała się grupa wystraszonych studentów, a Olek:

–Witam. Dzisiaj ja w zastępstwie będę pytał.

Zapanowała grobowa cisza. Słysząc było tylko bicie serc.

–Czy tak mniej więcej, wiecie o co chodzi?– zapytał

Olek

–Tak... mniej więcej wiemy –odpowiedzieli wystraszeni studenci.

–No, to macie zaliczone na trzy. Wyższego stopnia nie mogę wam dać, bo mógłbym wam zaszkodzić w czasie egzaminu.

### ***Pomoc w potrzebie***

W PDT (Państwowy Dom Towarowy)– Podszedł do nas kolega ( z innego wydziału) i mówi.

–Może któryś kupił by mi prezerwatywy? Bo ja się krępuję!

–Ja ci kupię– mówi Jurek Gregorius – tylko musisz pójść ze mną do stoiska.

Stoisko drogeryjne duże, w kolejce stało około trzydzieści kupujących kobiet.

Jurek – przepraszam panie, pilna sprawa! A do

sprzedawczyni: –Proszę pięć paczek prezerwatyw!

Zapłacił, a odwracając się do potrzebującego powiedział tak by wszyscy słyszeli:

– Masz stary, na tydzień powinno ci wystarczyć?!

*(paczka/3szt.)*

### ***Juwenalia 56***

Czy pamiętacie pierwsze po okresie stalinizmu, Studenckie Juwenalia?

Na dziedzińcu akademika jak w ulu ,śmiech, gwar, głośniki radiowęzła aż się krztuszą. W krzaczkach „trunkowi” opróżniają butelki niby-wina marki TUR ( *taka alkoholizowana lura- socrealizmu. Setka” spirtu”, setka soku , reszta woda z dodatkiem siarki*)

Przed sceną na ławkach i dostawianych krzesłach siedzi gawiedź, śmieje się, klaszcze, gwizdże i śpiewa, podziwiając i oceniając różne występy.

Jeden np. wyszedł na scenę z gitarą i śpiewa;

Hej tam za lasem, ktoś jęczy z dala

Czy to nasz Józef kitę odwala?

On już odwalił, już w grobie leży

My się cieszymy, bo my żyjemy.....itd

Wybiegają przebierańcy. Najczęściej przebrane są dziewczyny. Jedna udaje PANTERĘ. Napis z przodu zachęca „pan tera”, z tyłu - „pan później”. Otrzymuje brawa, ktoś gwizdże. Dziewczyna zbiega ze sceny. Już na scenie stoi student z nocnikiem na głowie i trzyma transparent „URYNA JEST DOBRA NA WSZYSTKO”.

*(Był to medyk lub chemik ,pionier, dzisiejszych osiągnięć naukowych).*

Ktoś przedstawia stonkę– broń amerykańskiego imperializmu, z napisem : STONKA TO ŻUK-OFF.

Za kotarą, udającą kulisy jakieś zamieszanie. Po chwili, niemal na siłę wypchnięty wbiega drobniutkim kroczkiem „słup ogłoszeniowy, tylko z małymi niedoborami, a właściwie z wielkim nadmiarem. Z przodu wycięty otwór, na wysokości..., a nad nim napis SOCREALIZM. Z tyłu otwierana klapka, odsłania gołą pupę i napis DO TEGO DOSZLIŚMY. Słup oczywiście oklejony był aktualnymi plakatami. Wyjemy z zachwytu. To jest wymowne i śmiałe w tym okresie socjalistycznej pruderii i zakłamania. A także ma wydźwięk polityczny!

Słup wygrywa konkurs! On, jest naszą gwiazdą.

Pomysłów było wiele. Nikt jednak nie dorównał Halince Ż., medycze, która była w tym słupie.

Należy również wspomnieć o dekoracjach. Na blokach medyków krzycało hasło „ŁAPIDUCHY ŁĄCZCIE SIĘ”.

Duży transparent, nad sceną nawiązywał do znanej pieśni masowej, ale z podtekstem; „CO Z TEGO, ŻE MILIONY RĄK, KIEDY STAĆ NAS TYLKO NA JEDNO SERCE”.

Dalej, był to pomysł mechaników lub elektryków – REAKCJA TO ODPOWIEDŹ NA AKCJE!”.

Była również odezwa sołtysa, mobilizująca rolnika do prac polowych: ZAMIAST W KRZAKACH SZCZYPAĆ DZIWKI, ZRÓB JESIENNE PODORYWKI!

Największe hasło wisiało na środku dziedzińca i brzmiało „OD ATOMU DO KONDOMU”

Nie sposób wygrzebać z pamięci treści wszystkich dowcipów, słów piosenek o zabarwieniu politycznym i piosenek frywolnych (dzisiaj w szkołach powszechnych śpiewają mocniejsze).

Później ulicami Szczecina ruszył kolorowy pochód. Wieść niosła, że mieszkańcy tego grodu bawili się setnie. A był to rok..... 1956!

### ***Turniej brydżowy***

W pokoju nowego akademika przy Al. Piastów w którym mieszkają: Janusz Skibiński, Kamil Grochowski, Janek Praczyk, Boguś Jaworski, już którąś z rządu noc trwa turniej brydżowy pod kierownictwem Kazia Drozda zwanego „Bandytą”.

Przeciwnikiem tak długich rozgrywek jest Janek Praczyk. Przedtem sam brał udział w tym turnieju, ale teraz postanowił odpocząć. Terror brydżowy jest jak zmara, bo kiedy ledwie zasypia, budzony jest głośną sprzeczką, ponieważ ktoś źle „zawistował” albo źle rozegrał. Dzisiaj chciałby wyspać się i nie spóźnić na jutrzejszy, dla

niego ważny wykład. Nastawił budzik. Zmęczony poprzednimi nocami wreszcie zasnął. Któryś z grających przestawił budzenie o kilka godzin do przodu. Terkot budzika wyrwał studenta z głębokiego snu. Starym zwyczajem Janek wstał i udał się do sąsiedniego pokoju by pożyczyć patelnię do jajecznicy. Tam za przedwczesne budzenie, poleciały buty i przekleństwa. Usmażył jajecznicę, szybko ją pochłoniął i pobiegł do uczelni. Ulice były jakieś dziwnie spokojne i puste! W drzwiach wydziału powitał go pulchniutki portier i zapytał: „panie student, gdzie się pan tak wcześniej spieszy? Jest dopiero piąta rano”

Janek z uczelni wracał zły i zaprzysiągł zemstę. W pokoju powitano go gromkim śmiechem. Z zemsty zrezygnował, bo wielu z nich, sam nauczył gry w brydża.

### ***Metoda doskonała***

Antek Karczewski zwany– Antonio, wynalazł świetną metodę pobierania podwójnych obiadów. Na obiad, Antonio i Olek szli razem, bo tylko oni wiedzieli jak postępować! Metoda Nr 11 polegała na tym, że jeden podawał jedną kartkę do wycięcia, a drugi odbierał dwa obiady. Metoda Nr 22 – pierwszy szedł bez kartki, drugi podawał dwie i obaj pobierali po dwa obiady. W ten nowatorski sposób mogli najeść się do syta.

### ***Marzenia biednego studenta***

Antonio, na wewnętrznej stronie drzwi szafy narysował dwuramienną „szubienicę” i po lewej stronie umieścił napis „Wódki dobre”, a po prawej: „Wódki bardzo dobre” i listę: Prunelka, Śliwowica, Pomarańczówka, Likier lubuski, Alasz, Benedyktynka itp., wpisał też cenę za 0,5 litra.

Czasem dobrze było pomarzyć, a później powspominać.



### ***Waldek zwany..***

WALDEK zwany Siemion ( Siemionow) , jedząc śledzia zawsze twierdził „ Śledź to nie ryba, ości nie posiada, a właściwie to nie jest danie, tylko zakąska!”

WALDEK Desz zwany(Dorsz) powiedział: Ojczyznę dorsza jest... Dorsche Demokratische Republik.

### ***Wszechstronna dziewica***

RYSIA ( inny Wydział)

Słuchaj, czy możesz mi wytłumaczyć co to jest....  
prawiczka?

–A, o co chodzi?

–Pojechałam na święta do domu. Rodzice z okazji przyjazdu studentki wydali przyjęcie. Zaprosili znajomych i sąsiadów, a jeden z gości poczęstował mnie papierosem. A ja mu na to:

–Na mnie to szkoda papierosa, bo koledzy mówią, że palę jak prawiczka. I była jakaś taka konsternacja...

*(zachowano oryginalność języka)*

### ***Z głodu***

Marian Szufliński zwany ”Szufłą” siedł kiedyś „głębokim wieczorem”, mocno utrudzony i przysnął w Alei Piastów na ławce.

I przyszedł pan milicjant ,spisał i „zapodał” na Kolegium!

–Nie, nie byłem pijany! Za co ? Za stypendium ? Z głodu osłabłem! –tłumaczył się biedaczyna.

Wygląd i argumentacja były tak przekonujące, że Wysokie Kolegium przyznało specjalną zapomogę w wysokości 100 zł. Uznaliśmy, że właściwym by było przeznaczyć te pieniądze na

zakup różnych płynów w celu wznoszenia toastów za zdrowie tak szlachetnych ludzi!

### ***Para nie pełna***

Staszek Szałwiński ( Piękniaczek), wpadł do pokoju i wołał – Panowie, czy jeden i pół to liczba mnoga?! Bo w stołówce, w menu piszą – ziemniaki i jajka w sosie musztardowym– a dają tylko półtora jajka!

### ***Nno i czczego?***

Gienek Mielczarek zwany Trup, na przerwie, nabijał się z lekko jękającego się Mariana Fudela.

–Marian to nawet słowa nie może powiedzieć, żeby się nie zająknąć.

–Aaale ttrrup, zawsze! Nno i z czczego się śmiejecie?!

### ***Sary, czy to widać?***

Czy to widać że człowiek ma zegarek? Już trzecia osoba w tym roku pytała mnie o godzinę!– dziwił się Adam Orzechowski

### ***Dzień szczęśliwy?***

Wczoraj wygrałem motocykl i wyrzucono mnie ze studiów. – Czy był to dzień szczęśliwy?– zastanawiał się Rysiek Goduński

## ***Mutacja***

Heniek Kubica, zwany „Kibic”, w obecności dziewczyny przechodził gwałtowną mutację. Z tenora robił się bas Szalapina.

## ***Jak, zadusić kartofle?***

Gotowaliśmy kartofle, smażyliśmy cebulę na ceresie ,a jeden tylko „latał” po zsiadłe mleko. Heniek Kubica ciągle wybrzydzał, że u nich to kartofle były lepsze, bo duszone! Ki diabeł?– myśleliśmy. Kiedyś powierzyliśmy jemu gotowanie, to on po ugotowaniu ziemniaków , po prostu pogniótł je łyżką!

## ***Niewierny Włodek***

Trwał wykład, a myśmy czytali gazetę. A tam napisano.... w związku z odbywającymi się w Warszawie Mistrzostwami Europy w boksie, w drodze wyjątku dopuszczono reprezentacje Afganistanu. Trening można oglądać dzisiaj o godzinie 10 w hali przy ul Narutowicza w Szczecinie.

- Idziemy?– pyta Olka Włodek(Kryński)
  - Przecież dzisiaj Prima Aprilis– odpowiada Olek
- Okolo godziny 10 Włodek zniknął. Pojawił się po godzinie.
- Dużo było takich idiotów?– pytamy Włozia.
  - Okolo pół setki –wykrztusił naiwny .

### ***Sposób na post***

Paczki na „Ostatki” przychodziły najczęściej w Środę Popielcową. Rozpacz. Taka wałówka, a tu post. Ale znalazło się wyjście. Brałiśmy wałówkę i szliśmy na spacer dookoła akademika... W podróży post nie obowiązuje!

### ***Marian-Serce***

Zaczynał się rok akademicki i rodzina wyposażyła go w odpowiednią kwotę na kupno pralki. W Szczecinie podobno łatwiej można było ją kupić. A, że Marian Fudel był człowiekiem towarzyskim i szczodrym, to tak jakoś... do grudnia, pieniądze się rozeszły i pralkę diabli wzięli. Na Boże Narodzenie Marian napisał do domu, że nie przyjedzie, bo ma dużo pracy: zaliczenia, kolokwia, egzaminy i daleko i drogo... (do Nowego Sącza). Na Wielkanoc rodzina przysłała list.

„Marian, mniejsza o pralkę, przyjedź na Święta!”

### ***Faworki***

Wprosiłem się do „łomżynianek” na faworki-wspomina Olek – i zabrałem ze sobą Antonia. Faworki były wspaniałe i dziewczyny też, a Antek tak się zachwycił jedną i jej faworkami, że została jego żoną.

Podjeżdżaliśmy, że Marysia oprócz zdolności kulinarnych miała dużo innych zalet! – No, bo przecież nie z powodu faworków!

### ***Walcząca przez żołądek***

O względy Waldka Siemionowa zabiegało tak natrętnie dziewczę, że Olek postanowił z niej zakpić. Stwierdził , że ona nie umie gotować.

Dziewczę zaperzyło się i zapewniało, że na pewno umie robić dobre naleśniki. Natychmiast chciała wiedzieć ile mogą zjeść, we dwóch?

Olek na to ,że on zjada około 40 , a Waldek zawsze podwójną porcję.

Dziewczyna nabyła 4 kg sera i przez całą sobotę przygotowywała naleśniki. Było ich 96! W niedzielę obaj zabrali się za pałaszowanie. Dziewczę tylko podsmażało i donosiło. Przy czterdziestym mieli już dość i następne chcieli upchnąć za tapczan, ale na szczęście przyszli jacyś „ludzie” i pożarli resztę.

Dalsze losy nie potwierdzają prawdy, że do serca można tylko przez żołądek.

### ***Placki jakich nigdzie nie znajdziesz***

Mieszkali w trójkę (Olek-Zdzicho Zaleski, Antonio-Antek Karczewski i Mietek Walków), w pokoju wąskim jak autobus, gdzie łóżka ustawione były piętrowo. Na samej górze, tuż pod sufitem, na trzecim łóżku, spał Mietek, bo był najmniejszy, mógł się wspinać się po tej dziwnej konstrukcji i jej nie przewracać. Za to najwcześniej zrywał się, zeskakiwał, biegł do okna, otwierał je i szybko wdychał świeże powietrze. Pewnego dnia, chłopcy postanowili najeść się dobrych placków ziemniaczanych upieczonych przez Mietka ( chwalił się, że potrafi).

Postarali się o sporą ilość kartofli i olej. Mietek rozdzielił zadania: Antek obierał , Olek tarł ziemniaki na tarce.

Reszta należała do niego i dlatego w kuchni pozostał sam. Kiedy zaczął piec placki, zapach rozszedł się po akademiku i ściągnął całą chmurę wygłodniałych kolegów. Pożerali wszystko, co zostało upieczone, a nawet wrywali z patelni jeszcze nie dopieczone placki. Mietek zmuszony był udać się po pomoc. Olek i Antek, chłopaki rosłe, natychmiast zrobili porządek i wyrzucili natrętnych na korytarz. Zablockowali drzwi i sami na bieżąco zjadali upieczone placki. Tłum zgłodniałych, prosząc, grożąc i wyzywając od bandytów i łobuzów, długo dobijał się do drzwi wspólnej kuchni. Kiedy kompani zaspokoili swój głód, resztę placków „rzucili na pożarcie”. Zostały zjedzone w przyspieszonym tempie. No bo, gdzie można było dostać, takie dobre, fachowo usmażone placki? No, gdzie?!

### ***Personalny***

Zenek Frąszczak na pierwszym roku był starostą. Wiadomo, panowała socjalistyczna dyscyplina i Zenek miał dodatkowe zajęcia – odnotowywał nieobecności. Był człowiekiem nad wyraz skrupulatnym, ale miał kiepski wzrok i do tego nie znał dobrze wszystkich. Na pytanie: – dlaczego wczoraj nie byliście kolego na wykładzie? mówiliśmy, że wczoraj byliśmy i nawet witaliśmy się z nim w drzwiach! Zenek nieobecność wykreślał. Po pewnym czasie, kiedy Zenek poznawał nas lepiej i obierał skuteczniejszą metodę, zaczęliśmy tłumaczyć jemu, że on przyszedł do uczelni, aby studiować, a nie bawić się w personalnego. Poskutkowało. Od tej pory, Zenek przy każdym nazwisku stawiał krzyżyk, bez względu na rzeczywistość.

### ***Krótkowidz***

W czasie ćwiczeń z obrabiarek , staliśmy przed automatem tokarskim i poznawaliśmy jego części. Zenek opisywał automat, ale nie posługiwał się wskaźnikiem , tylko palcem.

Pod głównym wałkiem sterującym, na którym mocowane są krzywki, jest duża rynna pełna oleju, i w jego powierzchni – jak w lustrze – odbijał się wałek. Staszek Wojniusz zwrócił się do Zenka:

Pokaż Zenek, która to jest, krzywka garnkowa?

Zenek poprawił okulary, wycelował i.... zanurzył cały palec w oleju, czym rozbawił nawet asystenta, na co dzień mruka.

### ***Prasówka i eksperyment***

Co to takiego – „prasówka”? Wszyscy wiemy! Jeden facet innym facetom po maturze, czytał gazety w obecności przedstawiciela....

Ale zacznę od początku –mówi Olek. Zaszedłem kiedyś do sąsiadów (Zbyszka Ługina i Gienka Bielakowskiego), a oni mówią ,że mają fajny numer na prasówkę, tylko kogo by tu nabrać? – Jak to kogo?– mówię. Zaprosicie Włodka Kryńskiego.

Włodka zaprosili i mówią mu, że mają rewelacyjny sposób na wyrabianie mięśni brzucha, a on jako były bokser na pewno chciałby to poznać. Sposób polega na tym, że ręce trzeba rozłożyć, wyprostować i trzymać w nich np. żelazko lub hantle i w tym czasie zjeść kromkę chleba. Włodek zrobił to ćwiczenie, i zjadł dwie kromki chleba.

–E, co to za numer? – pyta Olek– a oni – nie wiemy , ale poczekaj, zobaczysz!

Po kwadransie , rozpoczęła się– prasówka. W jej trakcie , ktoś potwornie zepsuł powietrze.

– Kolego Włodku, tam jest WC– krzyknęło na raz kilku. Włodek kilka razy biegał do ubikacji, lecz nic nie pomagało i prasówkę trzeba było przerwać. Od tej pory prasówek nie organizowano.

Później, Włodzio dociekał: –Po czym było to gazowanie? Wspólnie doszliśmy do wniosku, że to po tych ćwiczeniach i po tej zupie „nylonowej”, która była na obiad. Była z porów! Włódkowi wyjątkowo smakowała. Zjadł dwa talerze tego specjału.

### ***Błyskawica wychowywała i nadal wychowuje***

Radio – „błyskawica” piętnowało i wychowywało nas w akademiku za pomocą „kołchoźników” z radiowęzła. Pyskowano na mnie– wspomina Olek– bardzo często, tylko proces ten do mnie nie docierał, bo zawsze na początku roku, za karę, zabierano z naszego pokoju głośnik. Dopiero później poznałem osobiście ciepły i cudowny alt „radiowej wychowawczyni” i została moją żoną( Krysia– medyczka). Wychowuje mnie do dnia dzisiejszego, z tą różnicą, że teraz już własnym tekstem.

*(Ale jak im wyrwałem spikerkę, to i radio-błyskawica musiało splajtować- po latach śmiał się Olek)*

### ***Pranie mózgów***

Gazetki ścienne służyły do uświadamiania ciemnej masy studenckiej *(takiej po maturze)*

Na każdym „między – klatkowym” piętrze, na korytarzu wisiała takowa, pt. „Głos Piętra”

Nasi koledzy – Romanowie: Niemczyk i Nowosad – zaczęli lansować (z poważną miną) gazetkę „Głos Pokoju Nr...”  
*(wisiała w pokoju).*



Organizowane, zbiorowe wycieczki chwaliły pomysł i ideę takich gazetek. Pomysłodawcy z właściwą sobie „skromnością” oferowali wszelką pomoc. Po tym incydencie, wydawania gazetek zaniechano.

### ***Dawidek prekursorem***

Włodek Kryński miał fobię na tle wypadania włosów. Po prostu chciał mieć fryzurę i dlatego używał mikstury pod nazwą „Płyn Dawida”. Mikstura składała się z: wody brzozonej, oleju rycynowego i nafty( *znacznie wcześniej przed Violetką Villas*) . Miała ona takie właściwości, że muchy zdychały w locie, bo śmierdziała nieprzeciętnie. Z tego powodu nasz bohater był często wypędzany na mróz. Pewnego wieczora w pokoju zrobiło się jaśniej. Patrzymy, a Włodek jest łysy jak kolano.

–Włodek, gdzie twoje włosy, co z nimi zrobiłeś?

–Poszedłem do fryzjera , usiadłem i kazałem ostrzyć się na zero i wygolić, bo doszedłem do wniosku, że włos wypada pod własnym ciężarem.

Fryzjer najpierw kazał mi chuchnąć, a później napisać polecenie golenia na zero i podpisać. I tak oto jestem.

Już nie będę musiał wychodzić na spacer by się wietrzyć. A płyn będę wcierał w skórę.

W ten sposób i w tym czasie zaczął się ruch Skinhedów.

### ***Biber***

Zdzisiek Zaleski i Włodzio Kryński grali kiedyś w BIBRA lub BIBERA, jak kto woli. Gra polegała na tym, że zdobywał punkty ten, który wcześniej zobaczył brodatego i krzyknął „BIBER”( *Profesor Wendeker był wyłączony z gry*) Punktowało się kolor brody, długość, oraz to, czy pociągnęło się brodacza za brodę. Za pociągnięcie , była największa ilość punktów, to jest 21. Zdobycie 50 punktów nazywało się

PARTIĄ i można było egzekwować wygraną, najczęściej na miarę studenckiej kieszeni. W tę uroczą grę, grali Olek i Włodek. A grali namiętnie. Nawet na wykładach bacznie obserwowali ulicę. W tym czasie obrośniętych było bardzo mało i gra przedłuża się. A jeden z nich musiał wygrać! W pewnym momencie Włodek zniknął i pojawił się dopiero po dwóch tygodniach i trzymając się za wyhodowaną brodeę krzyczał do Olka „BIBER”!

Wygrał Włodek –śniadanie w barze mlecznym : dwie bułki z masłem i duże mleko. Nie było ważne co wygrał. Ważne było to, że wygrał ! No i był pionierem pewnego późniejszego stylu. Teraz ma wielu brodatych epigonów.

A w BIBRA już nikt nie gra...

### ***Wyrazy żalu***

Mieszkaliśmy w pięciu– wspomina Olek– czterech było kontra , a tylko Włodek był pro– ideologiczny, aż zmarł towarzysz Stalin(5.03.53).

Po odstaniu 5 minut ciszy, przerywanej głośnym pochlipywaniem wykładowcy zawsze słusznej nauki, wracam do akademika i mówię do leżącego w łóżku Włodka ( był chory):

– Mam dla ciebie smutną nowinę. Zmarł towarzysz Stalin.

– No i ch..... z nim!– skwitował Włodek.

Tak rozpoczął się upadek –kultu jednostki....

### ***Riposta i zawał gotowy***

W stołowce dokonano zmiany kierowniczkii. Dobrą i wrażliwą „mamę” p. Nowicką, zastąpiła młodsza, ale HARPAGON nieprzeciętny.

Zarządziła, że obiady będą wydawane tylko do 16- tej (przedtem można było przyjść nawet przed kolacją).

Właśnie kilkadziesiąt spóźnialskich pertraktowało z nową kierowniczką, a do stołówki wpadł Adam Orzechowski.

–Pan oczywiście też na obiad!- zasyczała zirytowana kierowniczka.

–Nie! Wykąpać się chciałem!

### *We własne ręce*

Jasio Humieja wymyślił spółkę wróżbiarską i przyjął na wspólnika Olka.

Chodzili do dziewczyn wieczorem, najczęściej wówczas kiedy brakowało energii elektrycznej (*bywały takie czasy!*) i stawiali kabałę, a przy tym nawijali piętrowo.... kocha, wróci, różowe życie we dwoje..., a jak brakowało śliny pierwszemu, zaczął drugi.

Ale takie głupie to one nie były. Trzeba było wróżby jakoś uwiarygodnić i.....

Najważniejszą rzeczą dla każdego studenta, była paczka. To właśnie na paczkach zdobywali wiarygodność.

Urząd pocztowy był w akademiku. Paczki przywożono każdego dnia o 16- tej.

Ustalili dyżury i zawsze któryś był przy przywozie paczek. Odczytywali nazwiska i mieli stuprocentową pewność, że X otrzyma jutro paczkę, bo dopiero nazajutrz były one wydawane.

Za dobrą wróżbę byli proszeni na degustację. W ten sposób „rosła” wiarygodność wróżbitów! A ich żołądki były pełne. Tym, które paczek nie otrzymywały, przezornie kabały nie stawiali.

### ***Przed wszystkim juror***

Corocznym popisowym numerem Henia Krenkiego – Mordy, był przegląd nowego narybku , oczywiście damskiego w akademiku dla medyczek. Udawali z kolegą kontrolerów czystości ( takie kontrole w tamtych czasach były). Kolega zawsze był tym złym kontrolerem , a Morda dobrym, który wprawdzie znajdował jakieś małe potknięcie, ale zawsze chciał „załagodzić”, aby koleżanki nie miały kłopotów, bo nie są jeszcze zorientowane w wymaganiach akademickich – mawiał.

W ten sposób nawiązywali znajomości i mieli aktualny „obraz” nowego narybku lub nowej „podaży” ,jak mawiali. Aż pewnego razu tak się zapamiętali w „przeglądzie” ,że trafili do pokoju dziewczyn, które taki chrzest przeszły w poprzednim roku i dobrze znały mechaników, a Mordę w szczególności. Bo kto by nie znał Mordy?

Tam przywitano „kontrolerów” wybuchem śmiechu i wiązką mocno uszczypliwych docinków. Mordy nie można było zniechęcić. On w następnym roku powtarzał ten nieszkodliwy, uroczy rytuał i...nadal wpisywał do zeszytu kontroli, że ”czystość jest wzorowa”!

### ***Włodek Kryński , postać barwna***

Nie będzie o tym:

- Jak ćwiczyliśmy z nim salta przy skokach do wody, na wyprostowanym kręgosłupie
- Jak na plaży Głębokiego, za lody skakaliśmy do wody z barierek „patelni”.

- Jak metodą Julka Kacprzaka, Włodek nadawał w akademiku słynną piosenkę o Pepicie. O tej , której słoń nie da rady i kwita i przy której można wyciągnąć kopyta
- Jak na dwa miesiące porzucił studia by trenować strzał lewą nogą.

Będzie to opowieść kryminalna:

Olek pożyczył przedwojenny kryminał pt. Kaliber–7,32.

Właśnie skończył czytanie i dzisiaj musi oddać książkę koledze, a tu zwołano nadzwyczajne zebranie ZMP.

Włodek, nie dawał spokoju i namolnie prosił żeby mu pożyczyć. Twierdził także, że na pewno szybko przeczyta i Olek zdąży po zebraniu oddać kryminał właścicielowi.

Na zebraniu Włodek pierwszy zabrał głos: „Koledzy– mówiliśmy na zebraniu będziemy rozpatrywać poważne sprawy, przeprowadzać samokrytykę, omawiać sprawy organizacyjne i nie godzi się, aby niektórzy z kolegów podchodzili do tego lekceważąco i na przykład nie brali czynnego udziału w zebraniu, a tylko myśleli o niebieskich migdałach, lub czytali nic nie znaczące i nie rozwijające kryminały, jakieś tam, np kaliber 7-32.

Skończył mowę, poszedł na tył sali, wyjął zza pazuchy kryminał i do końca zebrania zawzięcie czytał.

Zaraz po tym ZMP rozwiązano.

Włodzio zwany Dawidkiem, albo coś inaugurował albo kończył!

## ***Horror***

Jesienią, kiedy ciężkie ciemne, nabrziałe chmury gnane były przez wiatr, a drzewa pozbywały się ostatnich liści i zaczął chłodny deszcz, najlepiej było iść do łóżka.

Nagle w akademiku gruchnęła wieść, że na cmentarzu (Centralnym) wisi facet w podziemiach częściowo zniszczonej(przez wojnę) czerwonej kaplicy głównej. Takie wydarzenie trzeba zobaczyć. Na cmentarz wybrało się pół

akademika. Patrzą, komentują. Medycy, znawcy medycyny sądowej twierdzą, że zwis jest prawidłowy!

Zbliżał się wieczór, a denata pilnował tylko jeden milicjant. Na samą myśl, że będzie musiał pozostać z wisielcem sam na sam, dostawał drgawek! Zlitowaliśmy się i zostaliśmy do czasu przyjazdu „dochodzeniówki”. Wyczęstował dwie paczki papierosów.

Po przyjsciu z cmentarza długo nie mogliśmy zasnąć. Prowadząc rozmowy na różne tematy, zahaczyliśmy o odwagę.

Ktoś zaproponował, że prawdziwą odwagę można sprawdzić. Wystarczy pójść o 12 w nocy na cmentarz, do miejsca gdzie wisiał ten nieszczęśnik.

Odważny? Znalazł się. Odprowadziliśmy go do bramy głównej, a dalej miał iść sam.

Na dowód tego, że tam był, miał zostawić przygotowaną wcześniej kartkę. Po jego powrocie sprawdziliśmy. Był! Kartka tkwiła w szczelinie, tam gdzie był zaczepiony stryczek. W dużej grupie (sześciu) nie baliśmy się pójść na cmentarz, ale na wszelki wypadek śpiewaliśmy jakiś przebój.

Odważnym był Waldek Desz. Wygrał 3 butelki MISTELLI.

### *Ciemno na Jasnej Górze*

Akademik przy al. Piastów, jeszcze mokry, zasiedlamy od początku października. A że często „nawala” w nim instalacja, „świecił” ciemnościami. Szybko przyjął nazwę „Jasna Góra”. Ta jasna góra charakteryzowała się jeszcze jedną właściwością. Rano wyjmowane z szafy ubranie było mokre, a na butach „siedziała” ładna, zielona pleśń.

Pewnego, pięknego dnia Włodek Skorupa postanowił trochę „odchamić” się i poszedł do teatru, na sztukę Bałuckiego, p. t. „Grube Ryby.”

Po przyjsciu z teatru pytamy go o wrażenia.

Sztuka była dobra– zwierzał się Włodek, tylko cały podczas przerw, musiałem siedzieć na widowni.

Dopiero w teatrze zauważyłem , że mam jeden but czarny, a drugi zielony.

### *Znowu ciemno*

–Cholera, jak tu uczyć się, kiedy stale gaśnie światło? – krzyknął Włodek Skorupa rzucając książki w kąt.

–Może pójdziemy do dziewczyn? U nich przynajmniej jest widno!

Czwórka chłopaków ( Janek Popielski, Kazio Spaliński, Włodek Skorupa i Mietek Walków), są w tym czasie nierozłączni. Razem mieszkają, razem uczą się i są w jednej grupie ćwiczeniowej. A nade wszystko zawsze razem rozrabiają. Tworzą rodzinę „Kwasiborów”. Przewodzi Włodek– Walenty Makuta Posampas.

Żeby dostać się do „babińca”, należało pokonać portiernię, w której siedziała zażyła staruszka, gorsza od tuzina „stójkowych”. Ona pilnowała „cnoty” studentek lepiej niż Cerber w Hadesie.

I tym razem chłopacy użyli wypróbowanego fortelu. Jeden, podając legitymację zasłonił swoim ciałem okienko portierni, a reszta na czworakach przemknęła do wnętrza korytarza. Pozostawiony dowód odwiedzin, koleżanki– medyczki, tylko sobie znanym sposobem „wykładały” z portierni. Bywało, że portierka nie domykała drzwi i wtedy taki fortel nie udawał się i chłopcy musieli wracać do siebie lub odwiedzać dziewczyny z WSE (Wyższej Szkoły Ekonomicznej).

Tym razem udało się przechytryć babcie –portierkę. Chłopcy weszli do pokoju i zobaczyli, że dziewczęta jak zwykle... uczył się. Uczyły się? To pojęcie nie oddaje rzeczywistości. One „kuły na blachę”. Powtarzały terminy

medyczne po kilka razy. Dla studentów Politechniki taki styl uczenia się byłby straszną męczarnią.

W tym dniu naszych odwiedzin, dziewczyny nie spodziewały się. W pokoju panował jakiś dziwny półmrok. Nigdy go przedtem nie było. Z pięcioosobowej załogi brakowało tylko „dużej” Wandy. Dzisiaj mieszkanki tego pokoju były jakieś inne. Milczące. Ukradkiem rzucały sobie dziwnie tajemnicze spojrzenia. Na pytanie: –Czy mają coś do przegryzienia?– nie odpowiadały. Chłopcy starali się dowiedzieć co je ugryzło, że są takie zasadnicze? I kiedy mieli już wychodzić, bo atmosfera była nieznośna, do pokoju wpadła jak burza– „duża” Wanda. Nie zorientowała się, że w pokoju byli obcy i od drzwi zaczęła krzyczeć: –Która mała, moje gacie na zyrandolu powiesiła?!

Mimo woli , chłopcy skierowali wzrok na lampę, a tam.... wisiąły duże zimowe....

Janek, jak zwykle zarumienił się, Kazio umknął do kąta, Włodek wydał z siebie rubaszne: cha- cha- cha, a Mietek zamarł w bezruchu. Przygwoździły go kocie oczy Ali– tej która była sprawczynią dowcipu.

### ***Przezornie nie pożyczać***

- Leszku, pożycz 2 złote.
- Nie pożyczę. Mogę pożyczyć 50 złotych.
- A to dlaczego?
- Bo o dwóch złotych to ty zapomnisz, a mnie będzie głupio przypominać tobie o oddaniu.

### ***Amok***

Pewnego ciepłego wieczora, w pokoju, wszystkich ogarnął amok. Przy zgaszonym świetle zaczynają rzucać w



siebie butami. Jeden z butów nabral takiej szybkości, że odbijając się od ściany poszybował za okno. Uciechy było co niemiara. Olek przytomnie zauważył: – Za chwilę jeden z nas przestanie się śmiać, bo okaże się, że to właśnie jego but wyfrunął.

Przestał się śmiać - Antonio.

Długo trwała dyskusja kto ma iść po ten but, właściciel czy miotacz – Adam Orzechowski (AM). W końcu któryś z nich poszedł, ale but zniknął.

Później na tablicy ogłoszeń wisiała odezwa do uczciwego znalazcy, o treści:

„Kto znalazł but – lewy, niech odniesie do pokoju nr 255”  
Znalazca, ani but, nigdy do tego pokoju nie dotarli.

Antonio nalegał, aby Adam oddał mu pieniądze za buty. Adam nawet zgadzał się, ale chciał zapłacić tylko za jeden, bo drugi but, Antonio posiadał.

### ***Wandal-rytual***

Wyrzucanie przedmiotów za okno, było jakimś niemądrym rytuałem.

Zbliżało się święto majowe i Antonio na defiladę „wyfasował” nowiutkie pepegi (takie adidas tamtych czasów). Nałożył, chodził po pokoju i nagle wykonał tak niefortunny wykop, że zawadził o klosz wiszącej lampy. Biała kula rozleciała się.

Na drugi dzień ktoś wyrzucił za okno podobny klosz lampy.

Natychmiast wpadła Komisja Porządkowa (zawsze była na podorędziu) i stwierdziła, że w naszym pokoju brakuje klosza. Podpadł znowu Antonio, bo wdał się w dyskusję o tym: co ma wspólnego – brak klosza lampy u nas, ze skorupami za oknem, skoro na trawnik wychodzi tyle okien?

– Wam kolego to nawet „radio-błyskawica” nie daje rady – usłyszał. Wam, już nic nie może pomóc. Wy jesteście recydywistą. Wy kwalifikujecie się do opuszczenia akademika. Dajemy wam ostatnią szansę.

### ***Fruwający Wódz Rewolucji.***

W akademiku, ze świetlicy na trzecim piętrze, ktoś wyrzucił popiersie Lenina.

Urząd Bezpieczeństwa szalał, ale winowajcy nie znaleziono.

Podejrzewaliśmy, że wyrzucił go „Jacuś” – medyk.

Jacka, za wypuszczenie „pawia” na podobne dzieło socrealizmu i wiele innych czynów wyrzucono ze studiów „uzbrajając” w wilczy bilet.

Jackek studia medyczne kontynuował później w Warszawie, ale po ośmiu latach przerwy .

### ***Pomoc w potrzebie***

Do pokoju wpadli koledzy ze starszego roku i błagali o pomoc. Popili, a na koncie mieli wiele takich wyskoków i groziło im... wiadomo co – wydalenie!

Tym razem chcieli wyrzucić ciężką butelkę po miodzie pitnym, ale nie trafili w otwór tylko w ramę okienną.

Wyleciała razem z oknem. Proponowali chwilową zamianę pokoju. Poszliśmy na rękę, a komisji dowodziliśmy, że to wina wiatru, bo tak jakoś mocno zawiąło. Na szczęście, winowajcy wybrali na picie miodu, bardzo wietrzny dzień.

### ***Kąt pokrycia***

Miecio Wróbel (najstarszy na roku) snuł się po akademiku, a my wkuwaliśmy materiał z „teorii skrawania”

– Mieciu, dlaczego się nie uczysz? – zapytał Morda – Henio Krenke.

– Ja – odpowiada Miecio – materiał przeczytałem dwanaście razy i powtórzyłem osiem. Myślę, że jestem przygotowany.

– A znasz wszystkie kąty, i wiesz co to jest, kąć pokrycia?

– Hm.. nie wiem.

Po godzinie powrócił Miecio do pokoju Mordy i mówi:

– „Kulego”, czy możesz powiedzieć, co znaczy ten kąć? Jeszcze raz przeczytałem cały materiał i nigdzie takiego nie znalazłem.

– Mieciu, a widziałeś jak byk włązi na krowę?

– Nu, widziałem. To i co?

– Właśnie to jest ten kąć pokrycia– Mieciu!

### ***Sto lat w nocy***

Wracam z treningu w kosza– wspomina Olek– jest bardzo późno, około drugiej w nocy. Na klatce schodowej stoją koledzy z niższego roku, jeden trzyma kontrabas, a drugi saksofon.

– Stary, poczęstuj nas papierosem, a zagramy ci „sto lat”

– Ale, trzy razy

– Dobrze, jeżeli dasz dwa papierosy

– Dam. Grać Panowie!

Zagrali!! Zbudzili cały akademik, od portierni po blok 11 (medyczek)

### ***Rezultat***

Trwa sesja egzaminacyjna. Każdy wkuwa, aby przynajmniej zdać na stopień państwowy, bo szkoda wakacji na złot naukowców. Egzaminów jest sporo, a więc i czasu mało na działalność charytatywną i dobrosąsiedzką. Dawid, Gociu( St. Neumann), Tytan (St. Szmaj) i Morda mieszkali w pokoju numer 100. Do nich zawsze można było

przyjść by otrzymać kromkę chleba, trochę cukru, albo margaryny. A także pożyczyć: krawat, żelazko, patelnię i tp. Podczas sesji „potrzebujący” nie byli mile widziani. Mieszkańcy pokoju 100 wpadli na pomysł i wywiesili na drzwiach duży afisz informacyjny o treści: „ Zanim zapukasz przeczytaj! Chleba nie mamy. Cukru i margaryny też. Żelazko zepsute, a patelnia jest u kolegów! Nie wchodź, bo niema po co!”

Po jakimś czasie , przed drzwiami stoi i śmieje się tłumek gapiów. Wychodzą mieszkańcy pokoju i widzą: Ktoś, na afiszu podkreślił braki i dopisał: „Widzicie dziady, do czego prowadzi pijaństwo?!”

### ***Znaleźć wyjście***

Publiczne całowanie się z dziewczyną nie było by możliwe, gdyby nie pomysłowość studentów.

Czasy były siermiężne, pruderia wszechobecna (socjalistyczna), a myśmy byli normalni.

Znaleźliśmy jednak doskonały sposób na uściski i gorące całusy w tłumie, na dworcu kolejowym. Ona niby odjeżdżała. Całowali się długo i namiętnie. Ona wsiadała do podstawionego pociągu na peronie pierwszym i po chwili.... wysiadała na peronie drugim (możliwe w Szczecinie).

On biegł podziemiem na peron drugi i znowu całowali się namiętnie na przywitanie. Zawsze widzieli przyjazne uśmiechy i nikt ich nie potępiał.

No i co , znalazło się wyjście?

### ***Odszczepieńcy***

Rada Akademika zażądała od Rady Wydziału, aby wymienieni na długiej liście studenci nie otrzymali miejsca w domach akademickich w roku następnym. Motywowano tym, że grają w brydża!

Odpowiedź Rady Wydziału była natychmiastowa.  
„Przynajmniej czasu nie marnują!”

### ***Zgłosić na milicję***

Marian Fudel kiedy przegrywał trzy robry, sprowadzał zastępcę, a sam wychodził do miasta na dziewczynki, szukać szczęścia w miłości. Zawsze zwykł mawiać „ Jak nie wrócę za trzy dni, dajcie znać na milicję.

### ***Nie szuraj koleś!***

Kazio Spaliński – zwany „Gawroszem” , na „kozim targu” czyli potańcówce , stawał przed znacznie wyższym od siebie niemiłym kolegą i pytał – *szurasz, koleś?!* Wiedział ,że nie jest sam . Za jego plecami stał olbrzym – Rysiek Zambrzycki.

### ***Era oszczędności***

W kuchniach ogólnie dostępnych, w domach akademickich, administracja wywiesiła hasła – ***Oszczędzaj wodę i gaz!***  
Hasło natychmiast zostało przewieszzone na drzwi ubikacji.

### ***Katalizator***

Przykleił się do naszej paczki chemik. Chłopak z bardzo dobrego domu. W bliższej i dalszej rodzinie, poniżej magistra nie schodzono. Adam był inny . W Szczecinie na wszystko „kładał lachę”. Grał w karty, nie wracał na noc do akademika. Z asystentami miał na pieńku.

Mówiliśmy jemu nieraz: „Adam weź się w garść , bo robisz afront porządnej rodzinie” . Nie pomagało.  
Aż przyszły święta i Adam wyjechał do domu, do Warszawy.  
Natychniast napisaliśmy telegram do niego o treści:„ Adasiu ,  
przynajmniej w święta nie pij denaturatu!” Poskutkowało.  
Rodzina natychmiast Adama zabrała. Studia skończył i....  
później nawet ministrem został!(?)

### ***Kpiarz***

Julek Kacprzak , na widok czulącej się pary, zwykł  
pokpiwać –Zobacz taka ładna dziewczyna i co ona widzi w  
takim kiepskim facecie?!  
Oj, czasem musiał prosić kolegów o wsparcie!

### ***Samokrytyka Mariana S.***

Na kolejnym zebraniu ZMP, Marian składał  
samokrytykę za niestosowne zachowanie podczas ferii: –„To  
było w Sylwestra, trochę wypilem i zamknęli mnie w pierdlu.  
Uważałem, że nie słusznie tj. niesprawiedliwie i kiedy  
zacząłem się awanturować, założyli mi kajdanki. Zamknęli do  
celi, a sami opuścili posterunek, to jest, poszli do domu, bo  
było święto. Ja z tej złości, że zamknęli niewinnego  
człowieka, najpierw rozebrałem piec , bo nie grzał i dymił, a  
było zimno. Później trochę popukałem w drzwi, a że były  
słabo osadzone, to wyleciały razem z futryną. I tak  
wyszedłem.  
Jak mnie drugi raz złapali, to już nie chcieli zamykać,  
powiedzieli, że nie mają pretensji, tylko żeby im piec naprawić  
i drzwi wstawić.  
Razem z ojcem, pracowaliśmy przez cały Nowy Rok.  
Obiecali, że nie zawiadomią uczelni, a jednak napisali....”

### ***Znawca likierów, psiamać!***

W swoim czasie, studiował razem z nami Włodek, ale nie Dawidek. Włodek Urbanowicz był znawcą alkoholi. Tak się przynajmniej, reklamował. Postanowił ( u medyczek), że zrobi prawdziwy ajerkoniak. Tłumaczyliśmy jemu, że te wszystkie składniki można spożytkować osobno i też będzie smakowało. Włodek był nieugięty i ochoczo zabrał się do dzieła.

Wyszły mu, kluski na gorzale! Mikstury nie można było nalać do kieliszków. Jedliśmy ją łyżkami. Efekt był podwójny. Byliśmy najedzeni i dokładnie „ubzdryngoleni”!

### ***Barwy wojenne***

Zabawa Sylwestrowa w auli Politechniki ( Wydz. Chemii). Wybiła godzina dwudziesta czwarta. Z kielichami napełnionymi podłym sikaczem „nosiło” nas, pod wodzą Mordy, po całej sali. Składaliśmy życzenia każdej pięknej pani (innych nie było) . Całowaliśmy i byliśmy całowani. Po kilkudziesięciu minutach wróciliśmy do stolika i... nie mogliśmy siebie poznać! Wyglądaliśmy jak Indianie Navajo (*Navaho*), którzy wstąpili na ścieżkę wojenną.

### ***„ Jasna Góra” znowu w ciemnościach.***

W domu akademickim przy al. Piastów znowu zgasło światło. Uczyć się nie sposób, ale od biedy można grać w karty przy świecy. Gramy w pokera na zapalki. Dlaczego? Powód prosty. Pieniądzy nie mamy, a do stypendium jeszcze daleko. W puli była kupeczka zapalek, i nagle ludziom

przyszła karta! Zaczęło się... Za pulę... i dwie... i cztery... i osiem...i szesnaście... i trzydzieści dwie, a sprawdzał ten z pokerem! Obliczyliśmy i wyszło do zapłaty, ponad 5000 złotych!

Przegrywającego zamurowało zupełnie, zbladł jak ściana. Zwycięzca, popisał się refleksem i mówi – Słuchaj , podzielimy to wszystko przez 10. Jestem tobie winien 200 złotych, wobec tego teraz ty mi oddasz 300 z groszami i będziemy kwita.

Później, tłumaczył każdemu, że takie wyjście było najlepsze, bo kto oddał by tyle pieniędzy ? No i, skąd by je wziął? I kumpla by stracił.

*[dla porównania powiem , że moja pierwsza pensja inżyniera-kierownika Warsztatów w dziale Gł. Mechanika , w Zakładach Rybnych w Szczecinie przy ul. Dębogórskiej, wynosiła 716 złotych ( słownie: siedemset szesnaście złotych) + premia uznaniowa- Wygrana stanowiła ogromny majątek, nie do spłacenia w krótkim czasie!. Dobrze, że pracowałem w przetwórci ryb. Przyp.MW]*

### **Umiejętność**

W tamtych czasach studenci byli do wszystkiego. (często słyszeliśmy na różnych wiecach, mityngach, zebraniach i przy każdej okazji, że na nas ciąży się i naszą powinnością jest służenie Państwu w każdej potrzebie, nie szcędząc sił itp itd) Więc służyliśmy. Szliśmy– jak kazano, nawet na przeceny do wyznaczonych sklepów. Trzeba było tylko myśleć i dobrze wybrać. Chętnie szliśmy do sklepu spożywczego, a najchętniej do mięsnego. Tam meldowaliśmy się dwie godziny przed zamknięciem . W sklepie pozostawały arkusze przeceny z wymaganymi podpisami i wielkim kasownikiem, nagie haki, a my wychodziliśmy z: „krakowską– suchą za pazuchą”



### ***Taki sobie... terror***

Lolo ( Józek Uniżycki), na „kozim targu” lub „tarle” (potańcówce w akademiku), jeśli uznał , że partner bardzo tuli partnerkę, podchodził i szeptał mu do ucha: Stawiasz flaszeczkę? Czy mam przyjść jutro i „nadać’ jej, że wcale ci na niej nie zależy? A to, że ją tak tulisz, to zwykły pic na wodę.

Byli słabi i stawiali (podobno) . Ale byli też i tacy, którzy dawali po dziobie( na pewno)!

### ***Marynarzowe i studenci***

Wpadł do Olka, Romek z niższego roku z prośbą o pożyczkę. Właśnie wczoraj w kinie poznał „babkę w dechę”, umówił się na randkę do jej domu, ale chyba jakieś kwiaty wypada mieć? Bez kwiatów nie uchodzi! No, nie?!

Wrócił bardzo szybko. Był blady i przestraszony.

– Co się stało?– pyta Olek– wierzyciel pożyczki.

–Wyobraź sobie! Kwiaty przygotowałem do wręczenia, cały drzę, dzwonię do drzwi, a... w drzwiach staje owłosiona góra mięsa i pyta: „Czego?!” Najpierw mnie замуrowało, ale po chwili bąkam , że ja ze studenckiej... spółdzielni z kwiatami... Usłyszałem: „Dawaj pan!. I silne, tatuowane łapsko wyrwało mi je z ręki . Nawet trochę się odchyliłem , bo myślałem... no wiesz.. i drzwi zatrzasnęły mi przed nosem. Ja, najpierw na paluszkach , a później coraz szybciej zbiegałem ze schodów i cały czas drżałem , że jak się zorientuje a dopędzi, to będzie ze mnie mokra plama!..... I tak oto jestem!

## ***Obrona przez atak***

W jednym z bloków akademika uruchomiono bar mleczny. Wygoda! Wystarczyło zejść na dół i już można było zamówić mleko lub kawę z mlekiem. Nigdy, lub prawie nigdy nie spożywało się tego na miejscu, tylko niosło do pokoju. Robili to liczni. W barze, często brakowało naczyń. Obsługa robiła co mogła. Wywieszała zakazy wynoszenia, nakazy zwrotu wyniesionych naczyń i wreszcie prośby o zwrot. Nic nie pomagało. Rada Akademika powołała Komisję, która dokonała przeglądu i stwierdziła, że w pokoju gdzie mieszkali nasi koledzy, a było ich czterech, naczyń było ponad pięćdziesiąt. Tym kolegom, nawet „Radio błyskawica” nie mogła nic zrobić, wobec czego wysłano ich do Delegata Ministra (taki wówczas był). Zgłosili się i od razu przypuścili atak.

Nie bardzo wiedział o co im chodziło, ale argumenty mieli dobre i... to on ich przeproszał.

## ***Skrzywione dzieciństwo***

Adam O. zwany AM był wychowywany w rodzinie drobnomieszczańskiej, w Rydułtowach –miasteczku górniczym.

Kiedy za oknem, chłopcy „kopali do bala”, on pięknie ubrany ćwiczył na fortepianie, bo mama chciała mieć syna– artystę.

Adam, jedyny wśród nas, miał ukończoną średnią szkołę muzyczną,

Tak sobie obrzydził granie, że pianino omijał dużym łukiem.

Muzykę zastąpił czytaniem książek. Duże wrażenie zrobiła na nim książka p.t. „Dwadzieścia lat piekła w Legii

Cudzoziemskiej”. Aby naśladować bohatera z Legii, zaczął rzucać nożem !

Drzwi od szafy sprężynowały i nóż się odbijał. Lepsze były drzwi wejściowe do pokoju. Rzuty do celu trenował na Cmentarzu Centralnym, w czerwonej kaplicy. Tam zawsze mawiał :– Siedem i pół obrotu i trafiam w znaczek pocztowy.

Pewnego dnia kiedy leżeliśmy w łóżkach (brakowało Sławka Sadowskiego), Adam zaczął rzucać nożem w drzwi wejściowe. Powiedzieliśmy, że tak to każdy potrafi. Jak jest taki dobry, to niech trafi w poprzeczkę między szybami! Adam rzucił. Nie trafił w poprzeczkę tylko w szybę. Nóż przeleciał obok głowy wchodzącego Sławka, który mocno przestraszył się! My też! Musieliśmy udobruchać Sławka i długo tłumaczyć mu, że to tylko nieszczęśliwy przypadek , a nie zamach na jego życie.

Adama rozliczono dopiero po szpachlowaniu i pomalowaniu drzwi.

### ***Mamo, sama widzisz!***

Adam Orzechowski był mocno „skonfliktowany” z paniami z dziekanatu. Narozrabiał tak, że dziekan wezwał jego matkę, aż ze Śląska..

Do dziekanatu, student przyszedł z matką i na wejściu ostentacyjnie głośno powiedział „ Dzień dobry paniom!”. W odpowiedzi zaległa grobowa cisza. Na to Adam, zwracając się do matki głośno powiedział: – Widzisz mamo sama, jacy tutaj wszyscy są uprzejmi!

### ***Efekt Kolesowa***

Praktyka w Hucie Baildon w Stalinogrodzie (Katowicach).

Ogłoszono ,że odbędzie się pokaz skrawania metodą Kolesowa. Pomyśleliśmy, że trzeba to zobaczyć. Na pokaz przyszło około trzydziestu tokarzy i my – praktykanci. Pokaz prowadził technik skrawania. Tokarka była otoczona ścisłym wianuszkiem zainteresowanych. A że to metoda szybkościowa i wiór będzie pryskał, dlatego nóż „zaszpanowano” odwrotnie, płaszczyzną skrawającą do dołu. Obroty były też odwrotne. Po zebraniu nożem tokarskim jednej warstwy, dla szybszego wyhamowania, tokarz założył ręce na obracający się uchwyt tokarki i hamował rękami (rękawami). Został nagle złapany przez uchwyt za rękaw i natychmiast przerzucony na drugą stronę tokarki. Jemu nic się nie stało. Poszkodowanym był jeden z widzów, którego nos nie wytrzymał uderzenia obcasem roboczego buta. Metoda ta, nie przyjęła się. Nawet w naszych sprawozdaniach o niej nie napomknęliśmy.

### *Nauka kosztuje*

Mieszkali z nami koledzy z Krakowa. My umieliśmy grać w pokera, a oni mieli pieniądze.

Do jednego z nich przyjechał brat – maturzysta. Zamieszkał i grał , a przed nim był egzamin wstępny na uczelnię. Przychodzi telegram „Jurek, za tydzień egzamin!” , a Jurek gra!

Przychodzi następny „Egzamin za trzy dni” ! Jurek nadał gra. Kolejny telegram „Egzamin – jutro”. Brat mówi – Jurek jedź na ten egzamin , bo rodzice mi łeb urwą. Jurek pojechał , a na drugi dzień powrócił.

– Jurek jak poszło?- pytamy.

– Nie wszyscy zaraz muszą studiować! – odpowiedział i grał dalej!

Później, myśmy mieli ich pieniądze, a oni naszą wiedzę. Nic za darmo. Nauka kosztuje!

### ***Sposób na Włodka***

Byliśmy na praktyce, a Włodek miał we wrześnie zdawać poprawkowy z części maszyn. Do nauki jednak nie garnął się, wobec tego na dzień zamykaliśmy go z materiałem w pomieszczeniu z zakratowanym oknem. Był o wodzie i chlebie, a na siusianie otrzymywał butelkę. Po kilku dniach Włodek schudł i chciał wyjść na zewnątrz przez kratę. Głowę przecisnął, reszty nie. Musieliśmy go wyciągać, bo by uszy oberwał. Egzamin zdał.

### ***Głębokie uczucie***

Na zebraniu ZMP odczytywali list skierowany przez marynarzy do studentów naszego roku, a właściwie do jednego studenta– Jana C.

..... My marynarze pełnimy ciężką i niebezpieczną służbę, pływając po zaminowanych morzach, a studenci nam żony uwodzą, a tym uwodzicielem jest wasz kolega. Żądamy przykładowego ukarania.....

Odezwał się Romek Nowosad – A jeśli ich łączy głębokie uczucie?

Przewodniczący zebrania zapytał:

–Kolego, czy łączy was głębokie uczucie?

– Tak łączy!- odpowiedział Jasio C.

– No to my, nie mamy prawa was się czepiać, kolego! – zakończył sprawę przewodniczący.

### ***Pieski z ZMP***

- Czy macie kogoś za granicą, kolego ?
- Mam cztery ciotki. Dwie w USA , jedną we Francji , a czwarta mieszka w Moskwie i jest partyjno-funkcyjna..
- No , to ta jedna, na pewno równoważy te pozostałe!

### ***Agitacja i sołtys***

Do wsi zabitej deskami wysłano Staszka Szałwińskiego, aby dokonał odczytu p.t. „Jak gospodarują Spółdzielcy w ....” Wieś przewidziana była do kolektywizacji. Staszka przyjął sołtys i mówi: „Muszę panu zorganizować jakiś nocleg, bo powrotny autobus, ostatni, ma pan za dwie godziny , a ja nie zdążę zebrać ludzi. Mogę dopiero po nieszpórach. Będzie już bardzo późno, a i tak oprócz mnie nikt nie przyjdzie. A jak tak, to frekwencja już jest i może pan prowadzić agitację”.

Staszek na to:

–Pan z pewnością jesteś już zaagitowany?! Wystarczy ,że napiszemy sprawozdanie , pan podpisze i przystawi pieczętkę , wypijemy po kieliszku i pojedę do Szczecina, tym ostatnim autobusem.

Jak uradzili ,tak i zrobili.

Sołtys przy autobusie żegnając Staszka powtarzał: –Panie, pamiętaj pan, na zebraniu było osiemnastu, osiemnastu, a głos zabierało dzieśścieńciu, dzieśścieńciu!

Język nie był w stanie.....

## *Miklucho Makłaj i śledzie*

Trwała sesja letnia w 1953r , a my dla relaksu poszliśmy na „Zgaduj – Zgadulę” do sali Filharmonii. Przewodził nam Kazio Drozd. Temat pt. „Wiedza o Związku Radzieckim”, był dla nas bliski. Wielu było z Kresów, a niektórzy przez wiele lat byli „kuracjuszami” na Syberii. Pytania nie nastęrczały wielkich trudności, a do tego można było coś wygrać.

Na pierwszy „ogień” poszedł Poldek Radkowski i wygrał dzieła Lenina. Kolejni też dobrze odpowiadali.

Impreza trwała, nagrody ubywały. Nikt jednak do tej pory nie wygrał ładnej beczułki śledzi. Kazio na śledzie miał wielką chętkę i skutecznie zachęcał Zbyszka Gniewoszewkiego:

–Ty idź i wygraj tę beczkę. Byłeś tam , w tym rajcu tyle lat to sobie poradzisz z pytaniami, a jak nie pójdziesz, to ci sprawimy takiego motylka, że będziesz pamiętał go bardzo długo!

Argumentacja była wystarczająca. Zbyszek wszedł na scenę.

Prowadzący zadawał pytania , Zbyszek odpowiadał śpiewająco. Ale pytań na nagrodę było wiele, i coraz to trudniejsze.

My oczywiście mocno dopingowaliśmy kolegę.

Pytanie ostatnie było wg nas bardzo trudne:

–Kto i kiedy badał ludy polinezyjskie? Zamarła cisza.

My , dotychczas byliśmy bardzo aktywni . Na każde pytanie znaleźliśmy odpowiedź. Na to pytanie, odpowiedzi nikt nie znał.

Nikt? Nie prawda. Zbyszek tylko dla większego zaskoczenia widowni i jurorów, chwilę zastanawiał się, a następnie bez zająknięcia wyrecytował: – Miklucho Makłaj, profesor z Petersburga.

Znowu zamarła cisza w oczekiwaniu na potwierdzenie lub zaprzeczenie. Jurorzy popatrzyli po sobie. My też. Po chwili jeden z jurorów nieśmiało mówi „że kolega ma rację. Odpowiedź jest poprawna. Dopiero teraz zaczynamy wyć z uciechy. Nasz kolega, wygrał nagrodę na której nam bardzo zależało!

Po śledzie (beczułka dębowa+ pięć kilogramów śledzi) poszli obaj „Zbyszek i Kazik.

Później długo degustowaliśmy, świetnie zasolone i przyprawione śledzie. Popijaliśmy oczywiście okowitą, by śledź nie myślał, że zjada go świnia.

### ***Grunt to inicjatywa***

Staszek Walów miał jeszcze jedną ciekawą cechę. Pochodził z niezasobnej rodziny (jak większość z nas), ale był bardzo zapobiegliwy i umiał radzić sobie w potrzebie. Kiedy miał jechać do domu, na święta lub wakacje, kupował bilet do takiej miejscowości, do której wystarczało pieniędzy. Nigdy nie zdarzyło się, aby mógł wykupić do miejscowości docelowej. Mieszkał gdzieś we wschodnich rejonach Polski. W podróży robił zatem przerwy, by zarobić na dalszą podróż. Podejmował się prac różnych, nie koniecznie związanych z przyszłym zawodem. Naprawiał: garnki( czasy były trudne), różne maszyny i urządzenia. Pracował jako stróż nocny, robotnik torowy, robotnik rolny itp.

Często na „ giełdzie”, przed zaliczeniem lub egzaminem, Staszek lubił opowiadać o przygodach w podróży. Powroty do Szczecina były bezpośrednie. Rodzina – jak mawiał– była dumna ze swego studenta i wyciągała ostatnie grosze, by mógł dojechać szczęśliwie do celu.



## ***Przedsiębiorca***

Walów wszedł w komitywę z kierowniczką stołówki studenckiej i za prace transportowe: ziemniaków, warzyw i innych produktów, z dalekich piwnic do stołówki, miał darmowe wyżywienie, a do tego dodatkowe porcje mięsa. Jednym słowem hołdował zasadzie–, „jak najbliżej kuchni i jak najdalej od władzy.” Pracy przybywało, a Staszek obrastał w piórka i zaczął mocno narzekać, że o ile nie przyjmie się jeszcze kilku, których on wskaże, to będzie musiał zrezygnować z tej pracy. Kierowniczka oczywiście nie chciała stracić oddanego pracownika i wyraziła zgodę. Od tej pory Walów tylko organizował pracę, a ciężko harowali: Julek Kacprzak, Staszek Jardzioch i kilku innych. To oni teraz musieli wstawać bardzo wcześnie, by do kuchni dostarczyć potrzebne produkty. Kolega „nadzorca” wymagał od nich pełnego zaangażowania i dyscypliny wczesnego wstawania. O swoich podopiecznych dbał. Sprawdzał czy są zadowoleni z jedzenia jakie otrzymują na zapleczu. Koledzy „najemnicy” często mieli zamiar porzucić to zajęcie, ale kiedy pomyśleli, że straciliby smaczne kąski, rezygnowali z zamiaru i w dalszym ciągu nosili ciężkie kosze.

## ***Pożegnanie***

Staszek Walów kiedy opuszczał naszą „zgraję” miał tylko niewielki plecak z podstawowymi narzędziami. Pieniądzy nie miał, ale nie martwił się tym. –Zawsze można zarobić kiedy istnieje taka potrzeba – mawiał. Trzeba tylko chcieć i umieć. Szkoda, że nie wiemy jakie były dalsze losy tego znakomitego matematyka, który najtrudniejsze całki rozwiązywał w pamięci.

## **Wera**

Pewnego zimowego wieczoru, w roku 1952, zostałem wyznaczony do pracy w „trójce społecznej”, w domu akademickim.

Zadaniem „trojki” było: dokonać kontroli w pokojach studenckich i wpisać wszelkie uwagi, do specjalnego zeszytu. Kontrole takie odbywały się w godzinach późnego wieczoru, a chodziło o to, czy np. u dziewczyn nie przesiadują chłopcy, czy panuje atmosfera nauki i czy pokój jest zadbaney?.

Oczywiście każde odstępstwo było surowo karane, a na wytknięcie sposobów w tym czasie było wiele. Najbardziej dolegliwą karą było, wyrzucenie z akademika. Były kary mniejsze np. ogłoszenie przez radiowęzeł, że w pokoju takim a takim stwierdzono.... itd. Często mówiono po imieniu i nazwisku, a także wymieniano uczelnię. Robiła to tzw. „radio błyskawica”.

W tym zespole byłem po raz pierwszy, a do tego bardzo niedoświadczony. Dopiero od miesiąca byłem studentem. Koledzy moi, byli starymi wyjadaczami ze starszych lat. Dla nich, takie kontrolowanie to pestka. Oni połowę składu, wielkiego kompleksu domów akademickich u zbiegu ulic: Ku Słońcu, Wł. Sikorskiego i Bohaterów Warszawy, znali nawet po imieniu i wiedzieli z jakich są uczelni. Dla wyjaśnienia należy dodać, że mieszkali tutaj studenci z: Pomorskiej Akademii Medycznej, Politechniki Szczecińskiej i Wyższej Szkoły Ekonomicznej.

Wracając do zespołu „trójki”, to choć byłem najmłodszy stażem, nie byłem zielony, bowiem przez ostatnich pięć lat mieszkałem w różnych internatach i życie w gromadzie nie było dla mnie niespodzianką, ale w tym wypadku było kolejnym nowym doświadczeniem.

W tym dniu wyznaczono dla nas blok, w którym mieszkały „medyczki”. Na piętrze grzecznie zapukaliśmy do pokoju i

po usłyszeniu „proszę”, weszliśmy. Pokoik był schludny i panowała w nim miła atmosfera. Na jednym z łóżek siedziała dziewczyna wśród różnych kości ludzkich. Widać, że była z pierwszego roku. Druga, miła blondyneczka siedziała przy stole i coś pisała. Zza parawanu, wykonanego z koca, wyszła trzecia, widocznie po kąpieli. Włosy miała mokre i ubrana była w szlafrok, który trochę rozchyłał się, ukazując nagie ciało.

Tą trzecią, to myśmy znali (nawet ja). Kto by nie znał słynnej Wery?!

O Werce krążyły legendy, że na studia przyszła prosto z wojska, że ma za sobą kawał szlaku bojowego, że... O resztę dbała sama. W stołówce nigdy nie stawała w długiej kolejce, by pobrać posiłek. Ona wybierała stojącego najbliżej okienka, „młodego” studenta i stawała przed nim. Biada takiemu, który by protestował i mówił, że koleżanka tutaj nie stała.

Natychmiast się odwracała i tak by każdy to słyszał, oznajmiała:

– Kolega jest chyba chory, albo ślepy, albo mu coś na mózg siadło. A właściwie to zamknij mordę gówniarzu, bo mówisz do starszej studentki. Stój cicho, bo jak nie to obiadku dzisiaj jadł nie będziesz!

Po takim wykładzie, przy otwartych ustach „zbaraniałego” żółtodzioba, spokojnie brała swój obiad, siadała przy stole i z koleżankami prowadziła wesołą rozmowę.

Wera pierwsza nas przywitała:

–Patrzcie dziewczyny jakie fajne chłopaki do nas zawitali. Co, macie zamiar u nas nocować?

Pytając, patrzyła na mnie. Widok Wery, jej legenda, sposób bycia niedbały ubiór i moje niedoświadczenie sprawiły, że byłem czerwony od stóp po czubek głowy. Czuję to! I to było najgorsze, bo Wera też to zauważyła. Popatrzyła na starszych kolegów i oznajmiała: –Wy możecie zostać, a zwracając się do mnie, drwiąco wyszeptala :

–Ty na pewno jesteś jeszcze prawiczkiem, bo mocno się

czerwienisz. Z ciebie nie będzie żadnego pożytku. Ty spieprzaj do mamusi, bo masz jeszcze mleko pod nosem! Nasz starszy „trójki” zaczął nieśmiało, że my tu na kontrolę, bo my sprawdzamy.... Wera tylko na to jakby czekała. Na jej twarzy pojawił się diabelski uśmiech, oczy rzucały skrami, krzyknęła:

–Sprawdzać?! Co?! I kogo sprawdzać?! Wery nikt nie będzie sprawdzał! Jeżeli nie chcecie zostać , to won mi stąd i to już! Stałem najbliżej drzwi i kiedy je otworzyłem, po prostu wyparowaliśmy z pokoju. Wera śmiała się głośno i powtarzała, zapewne zamarłym z wrażenia koleżankom:

–Ale spier...ja! No, nie?!

Na Werę nie było silnych. Ona każdemu, jak chciała, przyłożyła, nie koniecznie fizycznie. Opowiadali znajomi, że Wera podobno, po dyplomie , pracowała w szpitalu dla nerwowo chorych. Była postrachem podopiecznych. A może to jeszcze jedna legenda o bojowej Werze?

### ***Pracował jak Ursus***

Tym razem po „płyn” na podróż posłaliśmy „żółtodzioba”.

Kupił spirytus i butelkę piwa. Te płyny zmieszane razem , to najgorsze świństwo na świecie. Kto nie wierzy niech spróbuje. „Kolonja warszawska” była w komplecie. Zajęliśmy kilka przedziałów i jedziemy do mamy. Grę w brydża zawsze zaczynamy od Szczecina, a toasty dopiero od Krzyża. Wiesio Kendelewicz nie grał. On poszedł uwodzić dziewczyny jadące do Łomży. Ale nikt nie mógł wykluczyć go z picia „procentów”. Jego „dole” odlewaliśmy do szklaneczki. Kiedy przyszedł w szklance było sporo tego płynu. Dolaliśmy trochę piwa i Wiesio wypił. I nagle, zaczęło się! Najpierw potwornie nim zatrzęsło, jakby uderzył w niego potężny huragan. Potem zaczął się dusić i dostał „takiego traktora”, że pracował jak

Ursus na postoju. Byliśmy przerażeni i nie wiedzieliśmy co począć. Dobrze, że po kilku minutach doszedł do siebie. Tak nas przestraszył, że od tej pory kiedy jechaliśmy na ferie świąteczne lub wakacje, nigdy nie powierzaliśmy zakupów ludziom bez doświadczenia

### ***Kazio z Lidzbarka***

Kazio Drozd pochodził z Lidzbarka Warmińskiego, a że dużo o nim opowiadał, wiedzieliśmy wszystko o mieście. Na przykład, gdzie był plac, na którym zbierała się ferajna takich, co to byli powszechnie znani i których miasteczko chciało jak najszybciej pozbyć się. Pewnego razu, w jedynym kinie w mieście, puścili gaz rozweselający. Wyświetlano jakiś bardzo płaczliwy dramat, a wszyscy śmiali się, zamiast ronić łzy!

Bywało, że kiedy nocą wracali z zabawy, budzili całe miasteczko. Tak im było wesoło.

Wiedzieliśmy i o tym, że Kazio był zapalonym wędkarzem i łowił największe ryby.

– Raz złowiłem – powiada, ta-a-a-ką sztukę, i rozłożył ręce bardzo szeroko.

– Ale na pewno była jeszcze większa.

W życiu takiego stwora, w całym Lidzbarku nikt nie widział – dodał.

Natychmiast złożyliśmy dwa stoły, aby ta wielka ryba mogła się na nich zmieścić. Ale nie mieściła się.

Łeb i ogon, nadal zwisały!

### ***Wujek Ho..***

Od dawna goliliśmy brody i wąsy, tylko kilku kolegów miało gołe liczka jak pupa oseska. W tej grupie był

Kazio Kopczyński zwany Szczawik. Jemu nic nie rośło, ani na brodzie, ani pod nosem. On, z kompleksem „mongoła” chciał bardzo, aby mu przynajmniej parę włosów wyrosło i żeby mógł zacząć je golić. Koledzy „ogrodnicy” doradzali różne mikstury na porost włosów,. Cóż ,kiedy skutek był akurat odwrotny. Po takich zabiegach skóra była coraz gładsza i pozbawiona nawet meszku.

Po wielu latach, na drugim zjeździe absolwentów w 1971r, Kazio pojawił się z brodą, którą dumnie nosił. Broda była, tylko, że bardzo rzadziuchna. Natychmiast znaleźli się złośliwcy, którzy nabijali się, że uprawa gleby pod zarost jest zaniedbana. Jedni doradzali nawozić guanem.

Najlepiej– mówili, smarować od wewnątrz, bo wypycha. Inni preferowali miód od zewnątrz, bo ciągnie. Byli i tacy , którzy zapewniali, że dobre wyniki daje stosowanie obu tych specyfików jednocześnie. Najlepiej codziennie na noc – dodawali.

Kazio miał dość tych żartów. Odcinał się, ale czy można pokonać gromadę złośliwców? W sukurs przyszły mu dziewczyny: Krysia (Solecka), Bożenka (Zdun) i Lidka (Rączka-Kędzior), niemal jednogłośnie krzyknęły:

– Koledzy dajcie spokój Kaziowi. Jego broda jest odwzorowaniem brody Wujka Ho-Chi –Minha, którego jest fanem.

Kazio nigdy nie spodziewał się, że jego zarost, z takim mozołem wypielęgnowany, będzie miał „wymiar” polityczny.

Późnym wieczorem , po wspólnej kolacji ( z okazji Zjazdu), kiedy wszyscy udawali się na spoczynek. Kazio i Zdzych Zaleski wsiedli do taksówki i zamówili kurs do domu akademickiego ( na ten czas hotelu). W tym „kompleksie budynków” przeżyli kila wspianiałych, młodych lat. Przy bramie nie wysiedli, bo Kazio poprosił kierowcę by zrobił rundę i objechał akademik przyległymi ulicami. Kiedy

taksówkarz spełnił życzenie ,Kazio poprosił o powtórzenie kursu. Tak jeździli kilka razy w kółko , a Kazio pokazywał Zdzychowi miejsca i ciągle zadawał pytania: „Czy pamiętasz Olek jak wyskakiwaliśmy przez okna bo tędy było bliżej do uczelni, czy pamiętasz to, czy pamiętasz tamto?”. Kazio był bardzo sentymentalny.

### *Nocna szychta*

Wielu z nas , aby związać koniec z końcem , musiało pracować w porcie. Oczywiście tylko w nocy. Stypendia pełne, w wysokości 320 zł. mieli nieliczni. Moje, wynosiło tylko 210 zł. Wystarczało na opłacenie akademika i wykupienie wyżywienia w stołówce (obiad i kolacja). Śniadania musiałem kupować sobie sam. Bratniak w tym czasie (1952r.) był zlikwidowany.

Do portu wzywał nas radiowy komunikat specjalny. Pracowaliśmy przy załadunku i wyładunku statków. Praca była ciężka i czasem monotonna.

Pracowaliśmy akurat przy załadunku drewna, kiedy przyszedł sztauer i powiedział nam , że na drugim statku trwa rozładunek cukru. „Można zrobić tak– mówił, że jakiś worek nie wytrzyma i cukier wysypie się. Będzie wasz. W czasie transportu dużych ilości taki przypadek czasem się zdarza, ale nikt się tym nie przejmuje”.

Wysłaliśmy kilku delegatów. Ci po kilkunastu minutach przyszedli obładowani cukrem, oczywiście tak aby można było wyjść z portu, bez wykrycia przez straż. Umyślni przynieśli nawet cytrusy.

Takie przypadki „dobrego urobku” nie zawsze były możliwe. Kiedy zdarzały się, wówczas mieliśmy święto.

Prace najczęściej kończyliśmy dopiero o 6-tej rano i trzeba było dobrze spieszyć się, by zdążyć na wykłady i ćwiczenia. Asystent z matematyki, „Chłop z puszczy”, nigdy nie

przyjmował wymówek: że nie przygotowanie się do ćwiczeń to wynik pracy w porcie. Stawiał dwa i powtarzał:

–Prawdziwie potrzebujący nie obnosi się tym, że musi czasem popracować.

W porcie mieliśmy swoich przyjaciół, którzy często kierowali naszą studencką brygadę tam, gdzie można było coś uskubnąć. W wielkim porcie– mawiali– więcej szczury zjedzą niż studenci wyniosą, a z tych ostatnich będzie w życiu jakiś pożytek. A ze szczurów tylko gówno i jeszcze więcej szczurów.

Co „dobre” kończyło się szybko. Później pracowaliśmy na różnych budowach w charakterze: przynieś, wynieś, pozamiataj. W każdym przypadku, zarobki nie były duże. Wystarczały na zakup skryptu , spodni albo butów.

### ***Pranie szkodzi***

Hilary– podrywacz nad podrywacze, na każdą randkę wdziawał jedną z koszul, a miał ich tylko dwie ( granatową i brązową).

Przed wyjściem dokładnie je obwąchiwał i wybierał tą , która lepiej była wywietrzona. Pranie robił bardzo rzadko.

### ***Łapać zboczeńca***

Przyszlśmy do dziewczyn do bloku nr.11 (mieszkały w nim tylko medyczki), a one z wypiekami na twarzy biegały po korytarzu z wiadrem pełnym wody. Pytamy co się dzieje , czy coś pali się? Wszystkie naraz zaczęły krzyczeć, że pod akademikiem krąży zboczeniec. Ubrany jedynie w płaszcz, odsłania i pokazuje studentkom swoje wdzięki. One chcą sprawić mu porządny śmigus– dyngus.



Śmiejąc się tłumaczymy, że on nie jest szkodliwy. Spełnia nawet dobry uczynek. Jest bezpłatnym modelem medycznym. Jednocześnie wyskakujemy przez okna, aby schwytać dewianta, nawtykać mu porządnie i odczytać szukania przeżyć seksualnych w tym rejonie. Niestety, ekshibicjonista, amator „aktów na odległość” był szybszy i skutecznie ukrył się na Cmentarzu Centralnym. Później wiele razy robiliśmy na niego różne zasadzki. Przebraliśmy nawet kolegę Stasia Korpalskiego (z innej uczelni – WSE) za powabną przynętę i wysłaliśmy na łowy. Nigdy tego „pieszczocha” nie udało się nam złowić. O nim samym, wśród mieszkanki tego bloku, krążyły różne opowieści. Na ich podstawie chcieliśmy sporządzić portret pamięciowy, ale zadanie to było nie wykonalne. Każda z dziewczyn widziała co innego, w innym „wymiarze”. Widocznie studiowanie anatomii ciała na odległość jest niezmiernie trudne, nawet dla przyszłych lekarzy.

### ***Wesele Ani i Gienka***

Morda biegał po akademiku i głośno krzyczał:  
– Dzisiaj biorą ślub Bożenka (*Ania Zięba*) i Gienek Zdun!  
Wszyscy idziemy do USC!  
Nam dwa razy powtarzać nie było trzeba. Przecież to nasi przyjaciele. Natychmiast powołaliśmy delegację do wręczania kwiatów i wygłoszenia mowy weselnej. Ustawiliśmy się gęsiego, a było nas ponad osiemdziesiąt osób i idziemy na pl. Dzierżyńskiego (obecnie Armii Krajowej). Idziemy! Tylko jak idziemy? My idąc, rytmicznie kiwamy się, ponieważ jedna noga idzie po chodniku, a druga po jezdni (powtórka tego wyczynu dzisiaj nie jest możliwa, za dużo samochodów stoi na poboczach). Tak roześmiany pochód witany był przez

przechodniów, sympatycznie. Uśmiechali się do nas, a ci, którym wyjaśniamy cel „podróży” poszli razem z nami i peleton nabierał długości. Nawet milicjant stojący na skrzyżowaniu uśmiechał się i przepuszczał ten niecodzienny i bardzo komiczny korowód.

USC nie mogło pomieścić wszystkich. Ceremonię zaślubin przeżywała wraz z oblubieńcami tylko część naszej społeczności. Za to po wyjściu z Urzędu, życzeniom i wiwatom nie było końca. W drodze powrotnej do domu weselnego przy ul. A. Mickiewicza, roześmiana fala znowu zagarniała wielu przechodniów, śpiewała i wznosiła okrzyki – Sto lat Młodej Parze. W każdym kątku po dzieciątku, itd. Jeszcze długo wiwatowaliśmy pod domem weselnym. Była przecież okazja do radości i zabawy. W mieście, też się coś działo.

Nikt inny, nie miał takiego wesela!

### ***Zapomnieliśmy zabrać ze sobą***

Julek Kacprzak i Staszek Jardzioch jechali pociągiem do domu. Julek miał wysiąść w Kutnie, a dla Staszka była to dopiero stacja przesiadkowa. Byli głodni, a kanapek ani pieniędzy nie mieli. W pewnej chwili podróżni sięgnęli po zapasy, aby coś przegryźć i w przedziale zrobił się ruch wyjmowania różnych wiktuałów. Chłopcom tylko ślinka pociekła. Chętnie rzuciliby się na te kanapki z kiełbaską, na te jajeczka i na.... Pozostało im tylko patrzeć, wachać, połykać ślinę i robić dobrą minę. W Szczecinie byli bardzo pomocni, współtowarzyszom podróży chętnie układali bagaże na półkach.

Jedna z pań, która zaspokoila swój głód, zapytała:

–A panowie nic nie jedzą?

– Nic!– odpowiedzieli niemal chórem– zapomnieliśmy zabrać kanapki i ..... pieniądze też.

Do Kutna dojechali z pełnymi żołądkami.

### *Mięśniaki*

Julek i Staszek wracali z ferii świątecznych do Szczecina. Od Kutna zazwyczaj jechali w jednym przedziale. W tym samym przedziale jechał asystent z matematyki, pan Markowski, zwany „Chłopem z puszczy”. Ksywę otrzymał od nas za krzaczastą brodę. W przedziale znaleźli się również studenci z Politechniki Poznańskiej. Głośni zaczepni i pewni siebie. Pan Markowski usiłował otworzyć okno, ale bez skutku. Wtedy jeden z PP, siedzący najbliżej, z wielkim wysiłkiem otworzył to odporne okno, a zwracając się do pana z brodą powiedział: –Panie! Trzeba mieć tu i wskazał na biceps, a nie tu– na głowę.

Nasi lekko zamarli i oczekiwali riposty asystenta.

Riposty nie było. „Poznaniacy” zaczęli opowiadać pieprzne kawały, naśmiewali się z kadry, która starała się czegoś ich nauczyć.

–W końcu zmęczeni sobą, bo my nie braliśmy udziału w zabawie– opowiadał Staszek, zaczęli rozwiązywać zadania matematyczne.

Jedno z nich było bardzo trudne. Nie mogli go nijak „ugryźć” i doszli do wniosku, że zadanie należy do nierozwiązywalnych. Wtedy pan Markowski zaproponował, że może on spróbuje to rozwiązać.

–Pan? Pan, może to rozwiązać?– zapytał ironicznie „osiłek” od okna. A podając zeszyt dodał:

–Niech pan próbuje. Na pewno nauczyli pana słupków?

Nasz Markowski chwilę popracował i zadanie rozwiązał, a oddając osiłkowi zeszyt powiedział:

–Miałeś kolega rację, że coś trzeba mieć! Jednak z tą różnicą, że trzeba mieć tu i wskazał na głowę. Oczywiście, o ile chce pan studiować i to na Politechnice.

Nasi gruchnęli gromkim śmiechem, a studenci z Poznania, dowiedziawszy się, kim jest ten brodaty, który robił wrażenie, że do trzech nie potrafi zliczyć, czym prędzej czmychnęli do innego wagonu.

### ***Pamięć świetlana?***

Wysłano Olka do „Polcargó”, aby przeprowadził zebranie wyborcze Koła TPPR ( Towarzystwa Przyjaźni Polsko- Radzieckiej). Referaty w tym czasie były już gotowe (w Materiałach Prelegenta) i należało tylko przeczytać.

Czytać miał pracownik, ślusarz, kandydat na przewodniczącego Koła.

Przed zebraniem , zgłosił się ten kandydat do Olka i powiedział, że w referacie tym jest dużo takich słów, których on nie rozumie, a co dopiero inni? Nie będzie się wygłupiał przed nimi, bo go wyśmieją. On takich słów nie będzie czytał. No bo, co znaczy „świetlanej pamięci?”. Świętej, to rozumieją wszyscy. Ale, świetlanej?!

–Wal pan śmiało– mówi Olek. Wykreśl pan to co panu nie pasuje i czytaj pan.

Po korekcie co czwarte słowo było wykreślone przez kandydata .Referat był o wiele krótszy i mocno zabawny.

W czasie jego odczytywania, po minach zebranych można było mniemać, że z przyzwyczajenia nie słuchają.

Gdyby słuchali, to dopiero byłby kabaret!

Ale, czy ten człowiek nie miał racji?

Bo co to znaczy– świetlana pamięć?! No co?

### ***Włodek- Katorżnik***

Pierwszą praktykę mieliśmy w Hucie Baildon.  
Ubrania robocze były tylko dużych rozmiarów. Góra,

Włódkowi (Kryńskiemu) od biedy pasowała ,po zawinięciu rękawów. Ale spodnie?! Te były za długie, o jakieś 60 centymetrów. Uciąć nie można było, bo to własność „państwowa”, a podszyć nie mieliśmy czym. Znalazło się rozwiązanie ! Podwinęliśmy i związaliśmy nogawki w dwa podwójne węzły i Włodek ciągnął za sobą takie szmaciane kule, jak katorżnik, wzbudzając żywe zainteresowanie w całej Hucie!

### ***Wrabianie to jego specjalność***

Przyjechaliśmy na praktykę do Poznania i zakwaterowano nas w mieszkaniach prywatnych, bo w hotelach robotniczych był nadkomplet. Właścicielką „kwatery”, w której mieliśmy mieszkać, była urocza wdowa, mama ładnej i miłej córeczki. Już na wstępie nasza gospodyni zapytała czy jesteśmy w komplecie? Powiedzieliśmy, że jeden z kolegów przyjedzie dopiero za dwa dni.

Pani była wścibska i nalegała byśmy zdradzili powód dla, którego nasz kolega nie przybył wraz z nami. Ona sobie nie wyobraża żeby z błahego powodu można było nie przyjechać na czas.

– Kolega zatem musi mieć poważną przyczynę– twierdziła. Morda– Henio Krenke na poczekaniu wymyślił, że kolega to wielki talent wokalny i bierze udział w konkursie, w tym samym co Wydrzycki czyli Niemen.

Po kilku dniach, kiedy byliśmy w komplecie na prozzonej herbatce i szarlotce i kiedy panowała rodzinna atmosfera, pani domu, zwracając się do Janka Czajki, zaczęła jak najdelikatniej można:

– Panie Janku, my obie z córką mamy do pana wielką prośbę.

Czy mógłby pan coś nam zaśpiewać? Nie musi to być wielki śpiew. Rozumiemy, że nie są po temu odpowiednie warunki, ale niech pan przynajmniej coś zanuci. Bardzo pana prosimy.

Janka zatkało, bo skąd u licha taki pomysł i prośba tej pani. I to właśnie kierowanej do niego, kiedy on nie ma ... i nigdy nie śpiewał dla publiczności. Miałby wydobyć głos przy paniach i kolegach? W życiu... nigdy! Chyba, że zwariowałem –pomyślał Janek.

Do próśb włączył się Morda.

–Dlaczego Janeczku nie chcesz śpiewać? Panie tak ładnie proszą. Ja ciebie nie poznaję. Zawsze tak chętnie śpiewasz innym paniom, a teraz nawet zanucić nie chcesz?!

Do chóru proszących dołączyli pozostali. A Janek tylko powtarzał:

–Wariaci proszę pani, wariaci. Bóg mi świadkiem– wariaci.

### ***Morda „Zapiewajło” i jego piosenka marszowa***

*(Fragment piosenki marszowej, którą śpiewaliśmy podczas Studium Wojskowego)*

- Chodził dziadzio chleba prosić
- Zaczął mu się.....głos podnosić
- Od chałupy, do chałupy
- Zamiast chleba prosił..... zupy
- Aż się jedna zlitowała
- Zamiast chleba.....zupy dała

*(Po malej przeróbce wykorzystał to po latach Wodecki i tak powstał szlagier „Chałupy”. Trochę inne słowa, ale chodzi o to samo)*

## *Caruso*

Odbywaliśmy drugą praktykę w Fabryce Obrabiarek w Pruszkowie– wspominał Olek.

Zebrano studentów ponad setkę, ale nie mieli pojęcia jak ich zatrudnić. Wszyscy „kisiliśmy się” w świetlicy.

Jedni grali w karty inni opowiadali kawały, a reszta spała.

Do świetlicy wpadł jakiś kierownik i zaproponował stworzyć chór „bo akurat zbliżało się Święto 22 lipca. Na estradę wbiegło około 40 „bezrobotnych” i zaczęliśmy śpiewać jakąś pieśń masową. Kierownik uważnie słuchał i co „lepszycy” prosił o zejście ze sceny. Na scenie pozostał kwartet, który usiłował wykonać numer popisowy.

Po chwili kierownik zwrócił się do mnie ze słowami:

–Panie , gdyby pan miał taki słuch jak głos, to byłby pan CARUSO– proszę zejść ze sceny!

Padł i chór i kwartet też.

## *Sposób*

Trzecią praktykę mieliśmy w Ursusie. Warszawa była pełna młodzieży ze wszystkich kontynentów. Odbywał się właśnie Światowy Zlot Młodzieży. W świeżo oddanym PeKiN -ie miał odbyć się koncert galowy. Nie mieliśmy żadnych szans, by się tam dostać. Tylko Rysiek Zambrzycki nie dał za wygraną. Ubrany w buciki zapaśnicze, krótkie spodenki i koszulkę polo – ruszył! Mocna opalenizna (wynik przebywania na basenie Legii) i białe zęby połyskujące spod czarnych wąsów przy około 2 m. wzrostu, mogły robić wrażenie.

Rysiek tylko poklepywał „bramkarzy” i wymawiał magiczne

słowo „Maroco! Maroco!”

W ten sposób pokonał cztery rzędy bramek i był na koncercie!

## *Wyciągi*

**Po życie** Lato, a my na żniwach w PGR Mokre.

Jedyną atrakcją w tej miejscowości było przepiękne i czyste jezioro. Codziennie po pracy pływaliśmy do woli. Jezioro było głębokie i obfite w ryby, a woda tak czysta, że widać było piaszczyste dno, nawet na kilku metrach głębokości.

Czasem dla zabawy łowiliśmy raki. Zapaleni wędkarze stale przesiadywali nad wodą. Z połowami było różnie.

Do naszej dyspozycji była również łódka. Mocno przeciekała, ale dało się nią pływać. Należało tylko na każdym rejsie, wyznaczyć jednego z załogi, który miał pracować w charakterze pompy i wylewać wiadrem wodę za burty.

Dzień był wolny od pracy – niedziela.

Na maszt wciągnęliśmy jak zwykle, naszą banderę korsarską i hajda na „morze”!

Do składu załogi przyjęliśmy jeszcze dwóch silnych, a...

Jeden z nich (wędkarz), prócz łowienia dużych ryb, miał być pompą okrętową. Taki był warunek przyjęcia do załogi.

Obraliśmy kurs na zatokę, po drugiej stronie rozległego jeziora.

Tam, jak twierdzili nowi w załodze – biorą największe sztuki.

Napęd działał sprawnie i stale posuwaliśmy się do przodu.

„Pompa”, skutecznie usuwała nadmiar wody, a reszta załogi wypoczywała, by w odpowiednim czasie ewentualnie zastąpić pracujących.

Tylko majtka „pompy” nikt nie może zastąpić. On, za przynależność do załogi, musi bez przerwy pracować solo.

Kapitan – główny herszt piratów, nigdy nie pracował.

On dowodził „okrętem”. Właśnie wydał rozkazy:



–majtek Ostryga– na dziób, bacznie wypatrywać i meldować!  
Majtek Pompa –zarzucić wędki.

Rozkazy zostały wykonane dokładnie. Kapitan leniwie przeciągnął się i pozostał w niedbałej pozycji na rufie łajby. Już byliśmy blisko celu naszej wyprawy kiedy...wzięło, a wędkarz zaciął!

Porządnie zakołysało naszą łodzią. Majtek „Pompa”, trzymając wędkę całkowicie zapomniał o swoim obowiązku wylewania wody.

Wszyscy, nie wyłączając kapitana, byliśmy podekscytowani sytuacją.

Ryba, musi być dużym i silnym okazem– wrzeszczeliśmy, jeden przez drugiego!

Żyłka napięta była jak struna, a nasza łajba, nie popychana przez wiosłujących, sunęła po tafli jeziora.

Krzyczeliśmy: –Trzymaj mocno! Nie daj sobie wyrwać wędziska! Odchyl się do tyłu!

Nikt już nie panował nad stanem łodzi, która systematycznie nabierała wody.

Nie pomógł nagły zryw załogi i wylewanie wody wszystkim czym się dało. Nasz okręt, dotychczas nawodny, przekształcił się w łódź podwodną, by w końcu zatonać i lec na dnie „oceanu”.

Część załogi –rozbitków, powróciła wpław do zbawczej przystani. A nasz „harpunnik” nadal walczył z okazem i uparcie dzierżył wędkę. Nie musiał wysilać się, płynął ciągniony w kierunku zatoczki, do której zmierzał nasz korsarski okręt.

Na pomoc pośpieszyli najlepsi pływacy.

Ryba– okaz robiła wszystko aby zgubić prześladowcę.

Zanurzała się tak, że nasz wędkarz musiał nurkować.

Nagle.. nic już nie ciągnęło. Wyścig po życie został zakończony.

Później w „tawernie portowej” przy „kufelku piwa” długo zastanawialiśmy się, jak wielki musiał być, ten „rekin” na

kotwicze?

Może był to szczupak, o którym mówili tubylcy? Ten którego nawet we dwóch nie mogli wyciągnąć i o mało co nie utonęli? Podobno ważył, tak na oko, ponad dwadzieścia kilo (?).

A może to był sum olbrzymi?

–Tutaj sumy są– twierdził pan Zdzisław, nasz brygadzysta i doskonały kłusownik (tak o nim mówili miejscowi).

Nigdy nie będziemy wiedzieli „kto” nas tak holował. Wiemy tylko, że nasz „okręt” spoczywa na znacznej głębokości (wg miejscowych na ponad 30 metrach) i oczekuje na przyszłe pokolenia by stać się okazem muzealnym.

***Kuba i Maciek*** Brak naszej łodzi wyraźnie odbił się na sposobie spędzania wolnego( poza pływaniem) czasu. Nie mogliśmy już wypływać do zacisznych zatoczek, by tam podziwiać przepiękne kobierce nenufarów, spotykać się „oko w oko” z łyskami, słuchać plusku ryb i śpiewu ptaków oraz wdychać „pachnące wodą i lasem” powietrze. Ten kto tego nie doznał, niczego nie zaznał.

Pewnego dnia, ktoś zaproponował byśmy zorganizowali wyścigi. Natychmiast zabraliśmy się do pracy: Wyznaczyliśmy trasę. Zawodników przygotowaliśmy, wyposażając w numery. Sprzęt także był gotowy. Sędziowie byli na miejscach. Kibice rozgrzani. Bukmacherzy przyjmowali zakłady.

Sędzia główny podniósł chorągiewkę i.. „Gotowi? Start!”.

Pooszyli!

Dopingujemy. Pomagamy. Dmuchamy w żagle.

Zawodnicy dostojnie dążyli do mety.

–Jest! Jest!– krzyczeliśmy. Trochę to trwało. Wygrał „Kubuś”! On był mniejszy ale zwawszy. Nawet jego czułki były jakby dłuższe i bardziej ruchliwe. Jego fani szaleli z uciechy. Oni też byli zwycięzcami. Wygrali kilka paczek papierosów.

Zwyczaj każe, że zwycięzcę w regatach należy wykapać,

wrzucając go do wody. My oczywiście tego nie robimy. Naszych „cugowych” zawodników (ślimaków winniczków) umieszczamy na wielkich liściach paproci, dziękując za wysiłek i wolę walki.

### *Jasio szamanem*

Trwała sesja egzaminacyjna. Każdy był albo przed , albo po egzaminie. Janek Praczyk zdał geometrię wykreślną i postanowił zrobić porządek z notatkami i innymi papierami, by powoli przygotować się do wyjazdu na wakacje.

Ostatni egzamin nie był zbyt trudny.

Niektóre papierki darł na kawałki, a listy postanowił spalić.

Oczywiście miał palić na talerzu, na środku pokoju.

Janek miał alergię i był uczulony nie tylko na pyłki traw i drzew, ale i na wszelkiego rodzaju kurz. Właśnie taki kurz wydzieliał darty papier. W tym czasie medycyna nie była taka mocna i na wszystko oferowała jedynie różne maści.

Lekarz Jankowi zaordynował maść szczególnie ciemnego koloru, po wysmarowaniu, której nasz bohater podobny był do szamana z afrykańskiego buszu.

Janek przed operacją– „walka z papierami” wysmarował całą twarz tym specyfikiem. I kiedy palił ostatni papierek, do pokoju wpadł Zdzisio Kostecki. Natychmiast zamknął drzwi i czym prędzej pobiegł do najbliższego pokoju kolegów, krzycząc:

–Szybciej panowie , ratujmy Janka Praczyka. On chyba zwariował. Wysmarował się na murzyna, rozpałił w pokoju ognisko i tańczy nad nim.

### ***Lajkonik jak słowik***

Byliśmy stałymi uczestnikami imprezy „Bawmy się razem”.

Impreza zawsze odbywała się w sali filharmonii przy pl. Dzierżyńskiego (*obecnie Armii Krajowej*).

Za każdym razem (nasz rok) braliśmy udział w różnych konkursach.

Tym razem do wygrania była porządna nagroda. Zadanie polegało na tym, że należało dokonać zakupu towarów spożywczych, śpiewając.

Melodię i tonację wybierał każdy sam.

Do konkursu przystąpił nasz kolega Andrzej Gryglaszewski.

Andrzej śpiewał trzynastym głosem w tonacji.... mniejsza o to w jakiej (fałszował niesamowicie).

Kiedy dokonał wszystkich zakupów, chwycił ekspedientkę za rękę i odśpiewał fragment arii z operetki „Wiktoria i Huzar”:

Na pożegnanie daj rączkę swą małą

Dobranoc... dobranoc... dobranoc.

Cała sala wyła z zachwytu, wijąc się w konwulsjach ze śmiechu.

Andrzej zwyciężył i wygrał rower.

### ***Marynarka fetyszem***

Tadzio Zieliński zdobył marynarkę jakiej ze świecą nie znalazłbyś w tamtych czasach w sklepie. Widocznie był to „zrzut amerykański” jak mawialiśmy wówczas.

Marynarkę polubili wszyscy. Każdy, na kogo tylko pasowała, chciał w niej zdawać egzamin. Miała ona szczególne właściwości: kto poszedł na egzamin ubrany w marynarkę – zdawał.

Przypadek czy magia? Nikt tego nie wiedział i nie wie do tej pory.

Właśnie jeden, z innego roku ( ktoś musiał zdradzić tajemnicę) wypożyczył i poszedł na ważny dla niego egzamin.

Zdał i to nawet z dobrym wynikiem. Radosny poszedł na obiad do stołówki studenckiej, ciasnej jak lichy. Usiadł tak niefortunnie, że przepychający się do stolika kolega, wylał całą zawartość talerza na plecy marynarki– fetysza.

I nie pomogła nagła pomoc chemików. Marynarka już nigdy nie była taka dostojna i magiczna

### ***Okręt we mgle***

Jednym z głębszych pytań na zebraniu ZMP było:

–Czy możecie kolega opowiedzieć nam swój życiorys?

Tak. Opowiadaliśmy i to często. Czasem ubarwialiśmy dla wywołania wrażenia, a czasem dla draki, pamiętając aby nie przeciągnąć struny.

Tym razem padło na Staszka Neumanna. Staszek wiedział dobrze jak może wykorzystać wadę lekkiego zacinań się . A do tego był to zgrywus, zaraz po Ryśku Zambrzyckim i paru innych.

Naśladując głos syreny okrętowej zaczynał...uuuuu..... uuuuuuu.....uuuuuuuu..... i tak kilka minut nie mógł się urodzić.

Na odpowiedź nikt nigdy nie mógł się doczekać.

Później takich pytań nie zadawano, a na pewno Staszskowi , bo to chłop duży i poród byłby trudny.

### ***Mistrz i szczołka***

Miecio Wróbel był w takim wieku, że jego młodość tańczyła raczej ze śmiercią i nie miała czasu na naukę tańca

salonowego. Poprosił zatem Janka Czajkę, by ten nauczył go tej trudnej ale bardzo potrzebnej sztuki.

Janek wiele razy pokazywał koledze podstawowe kroki walca, fokstrota i tanga, ale Miecio nie mógł zapamiętać i stale zwracał głowę, by mu powtórzyć. Janek zaproponował Mieciovowi, by ten zaczął ćwiczyć ze szczotką.

Pewnego dnia Janek wchodzi do pokoju, a Miecio cały spocony wywija hołubce, przyciskając do piersi... szczotkę.

– Mieciu przestań, bo zamęczysz partnerkę na śmierć.

Oddaj mi notatki z obrabiarek. Muszę zrobić ćwiczenia.

Miecio nic, tylko tańczył.

– Mieciu, czy ty mnie słyszysz? Co ci się stało? Przestań w końcu tańczyć!

– Nie mogę- powiada Miecio- obiecałem partnerce, że jak nam będzie dobrze szło, to będziemy tańczyć całą godzinę, a dopiero minęło 37 minut. Przyjdź za 23 minuty.

– Mieciu- ty chyba rzeczywiście zwariowałeś! Przyjdę za pół godziny- powiedział Janek i wyszedł.

Miecio był upartym uczniem. Nauczył się tańczyć i od tej pory zawsze był pierwszy na „kozim targu”.

### ***Zagadka***

Zebranie ZMP – zmora, trwa już kolejną godzinę.

Jak zwykle „biją pianę i młóć słomę”... – Powiedzcie kolego, jakie jest wasze pochodzenie społeczne?. A Jasio Humieja na to:

– Nie wiem!

– Jak to nie wiecie?!

– To może wam opowiem kawałek życiorysu, a wy na tej podstawie określicie moje pochodzenie.

Kiedy się urodziłem, ojciec posiadał 2 ha ziemi i ją uprawiał, był wtedy pewnie rolnikiem. Moje pochodzenie było wówczas chłopskie. Ale rodzina była duża i aby ją wyżywić,

ojciec nauczył się masarstwa, sprzedał ziemię i otworzył masarnię, to moje pochodzenie zmieniło się na rzemieślnicze. Po wojnie masarnię zamknięto i ojciec zaczął pracować w GS w transporcie– wówczas było– robotnicze, ale awansował i jest teraz kierownikiem , należy do inteligencji pracującej, to ja....

Jasio nigdy nie uzyskał odpowiedzi, do jakiej grupy społecznej należy.

### ***Romans nad romanse***

Po pokojach akademika krążył Zdzychu Kostecki i czytał fragmenty jakiegoś romansidła, a że miał bujną fantazję dodawał tekstowi pikanterii. Każdy chciał to dzieło przeczytać. Zdzych odsyłał do Józia Mijała, właściciela książki. Józio był człowiekiem bardzo skromnym i poczciwym. On tylko ślęczał nad skryptami, rozwiązywał zadania i opracowywał ćwiczenia. Jednym słowem cały czas poświęcał tylko nauce. Teraz do tego spokojnego studenta napływają chętni przeczytania romansu nad romanse. Józio na początku spokojnie tłumaczył, że to jakaś pomyłka, on nigdy nie czytał romansu i żadnego nie posiada. Jedni dają wiarę i ustępują . Ale są i tacy, którzy w to nie wierzą i nadal nachodzą Józia. Józek wpadł na pomysł, zawinął szczególnie jakąś książkę w gazetę i pożyczył namolnemu –Antkowi Goryckiemu, pod warunkiem, że będzie ją czytał tylko w nocy, kiedy inni pójdą spać. Antek był zdyscyplinowany i dał słowo. Wszyscy już spali, a on powoli rozwija gazetę i.... „ To drań! Dał mi WKP(b). Kto by się spodziewał, że z Józia taki kpiarz?!”– zaklął pod nosem Antek na powrót zawinął dokładnie dzieło w gazetę i położył na stole. Nad ranem, gromki śmiech Staszka Szmaji, obudził wszystkich w pokoju. Ten był następnym naiwnym, który dał się nabrać na doskonały żart Józia.

## *Chłopcy spod bulaja*

Siedmiu nas z Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, jak „Sześciu z Daru Pomorza” – wspomina Gienek Zdun – postanawiamy studiować na Politechnice Gdańskiej.

Egzamin maturalny zdaliśmy w maju.

Od czerwca wcielili nas do wojska na dwumiesięczne przeszkolenie. Na egzamin wstępny nie zdążyliśmy, bo dopiero 27 sierpnia przyjechała pani Kosińska z Warszawy na rozmowy kwalifikacyjne. Miała kwalifikować do dalszego pływania we flocie.

O tych którzy chcieli studiować, nikt się nie martwił.

Z grupy absolwentów, ponad trzydzieści osób otrzymało ... zakaz pływania. Powód? Powód był zawsze ten sam.

Kandydat niepewny politycznie. Rodzina inteligencka, albo ojciec był przed wojną w wojsku lub policji, w czasie wojny w AK. Albo ma kogoś za granicą, oczywiście zachodnią, albo.... powodów było wiele.

W Politechnice Gdańskiej zaproponowano nam byśmy pojechali do Szczecina.

Tam – w Szkole Inżynierskiej jutro tj. 28 sierpnia 1952 roku rozpoczyna się dodatkowy egzamin wstępny– oznajmiono nam.

Sadowimy się w przedziale i wiele godzin jedziemy w nieznane. Nikt z nas jeszcze nie był w Szczecinie.

Wiemy tylko tyle, że to miasto portowe. My w mundurach marynarskich, będziemy jak u siebie.

Wczesny poranek był piękny, tylko chłodny. Przy dworcu widać było zniszczenia wojenne.

Do uczelni z dworca szliśmy pieszo. Idąc stwierdziliśmy , że nie jest tak źle z tą zabudową. W tej części miasta była cała chociaż gdzieś niegdzie z ranami po wystrzałach.

Miasto zieleni– mówiliśmy. Tyle pięknych drzew nawet Gdynia takich nie posiada. Wreszcie dotarliśmy do miejsca



egzaminu, ale do jego rozpoczęcia mieliśmy jeszcze kilka godzin. Postanowiliśmy powtórzyć materiał. Głód częściowo zaspakajamy kilkoma bułkami, bo tylko na tyle było nas stać. Ten posiłek był jedyny na długie godziny. O godzinie 9 do egzaminu pisemnego z matematyki przystąpiło wielu spóźnialskich. Zadania nie były łatwe. Kilku z nas musiało zdawać jeszcze ustny. Egzaminy trwać miały trzy dni i dlatego musieliśmy zostać w Szczecinie. I kiedy tak staliśmy bezradnie zastanawiając się co tu począć, aby brać udział w egzaminach jutro, podszedł do nas sekretarz komisji rekrutacyjnej (student ze starszych lat). Zapytał, czy mamy gdzie spać? Oczywiście zaprzeczyliśmy. Ten człowiek o wielkiej wrażliwości dał nam skierowanie do akademika. I to był cud pierwszy! Idąc do akademika przechodziliśmy obok Szkoły Morskiej (mieściła się w obecnym budynku Wydziału Mechanicznego). Wpadliśmy na pomysł, by udać się do dyrektora i prosić go o pomoc w wyżywieniu. Ze względu na nasze mundury, wpuszczono nas do szkoły i dopuszczono przed oblicze dyrektora. Szkołą kierował kapitan żeglugi wielkiej –Konstanty Maciejewicz, słynny– „Macaj”. Nie musieliśmy długo tłumaczyć o co nam chodzi. Natychmiast zostaliśmy nakarmieni i otrzymaliśmy przydział stołówkowy na cały okres, aż do otrzymania kartek. I to był cud drugi! Egzaminy wstępne zdaliśmy wszyscy. Później studiowało nas tylko trzech: Zygmunt Ossowski, Witold Makowski i ja. Do końca wytrzymało tylko dwóch. Kolega Makowski, mąż naszej koleżanki Basi Goc jakoś nam się „urwał” po pierwszym roku.

## ***Prasa lokalna i studenci***

W *Kurierze Szczecińskim* w dniu 5.04.1955r. ukazał się artykuł pt. „O rzekomym wyjeździe aktorów– prozą i wierszem.”, w dwóch częściach:

### **Studencka proza w *Kurierze Szczecińskim***

W Łodzi usłyszałem pogłoskę, że Pietruski przenosi się do Łodzi, a Remiszewska do Warszawy. Podobno chce opuścić Szczecin również Fogiel?

Jako mieszkańca Szczecina pogłoska sprawiła mnie w dziwny nastrój.

Czytamy w prasie o „kaperowaniu” zawodników z jednego zrzeszenia do drugiego.

Zapytuję– kiedy się skończy „kaperowanie” szczecińskich artystów? Dlaczego (u licha) właśnie tych najlepszych chce mieć Łódź lub Warszawa? Czy Szczecin jest gorszy?

Jeżeli natomiast Remiszewska, Pietruski i Fogiel dobrowolnie chcieliby porzucić Szczecin, to bardzo zawiedliby nas– szczecinian.

Jest nam dobrze razem, o ile się można tak wyrazić.

Uprzejmie proszę o odpowiedź, gdyż wiadomość o opuszczeniu Szczecina przez ulubionych aktorów– spędza sen z powiek wielu studentom.

Student SI  
Zbigniew Gniewoszewski

### **Aktorska poezja**

*W odpowiedzi przesyłam Kol. Zbigniewowi Gniewoszewskiemu serdeczny uścisk dłoni.... i wiersz.*

**Właśnie** w platanach  
„westchnął” wiatr wiosenny  
kiedy podano mi  
list Panów z Redakcji.  
Przeciąłem błękit  
„służbowej” koperty  
po to- by ujrzeć  
„demonia sensacji”

**I przyznam** szczerze  
-po przejrzeniu listu-  
poczułem w ustach  
słodycz winogrona!  
- A więc jesteśmy  
potrzebni tu ludziom  
Śpiewa mi „wnętrze”  
-dusza rozmarzona,  
**I, że nas** dzieli,  
Tylko plusz kurtyny.  
Nie obojętność,  
Ani zapomnienie...  
**I, że tak** chętnie  
Nam tu wybaczącie  
Nasze, tak często  
„bolesne” tworzenie.  
**Widzisz** Zbigniewie  
-ukochany żaku,  
my mamy tutaj

*swoją Alma – Mater...*  
*-A tu nad Odrą budzi się przedwiośnie...*  
*Na scenie kwitnie:*  
*Schiller, Frycz i Chaber...*  
*Prawda, że chcą nas*  
*Zabrać do Stolicy,*  
*że świat przygodą*  
*tajemniczą nęci..*  
***Lecz jak tu rozstać się***  
***Z kochanym miastem?***  
***Tu żaden środek***  
***Celu nie uświęci.***  
***Pytałem Rysia***  
***Pytałem Irene-***  
***co ich wstrzymuje***  
***od chęci wyjazdu?***  
***„Zieleń i praca”-***  
***-odrzekła Irena-***  
***A Rysio szepnął:***  
***„ Olku- Szkoda czasu ”***  
***Naprawdę szkoda***  
***-kolego Zbigniewie,***  
***Wszak logarytmy***  
***zazdrosne czekają,***  
***My zostajemy***  
***-by zagrać w teatrze,***  
***którego plany***  
***z waszych serc powstają. Aleksander Fogiel***

### ***Przygoda***

Ubrani w najgorsze ciuchy gramolimy się na otwarte skrzynie samochodów i sadowimy na poprzecznych deskach..

Poranek jest mglisty, pewnie dzień będzie słoneczny – myślimy.

Jazda w nieznaną zawsze jest ekscytująca. Wieść niesła, że będziemy jechać, gdzieś w okolice Kołbaskowa, a więc nie daleko.

Samochody ruszyły i zamiast jechać na zachód, jechały na wschód. Zaczęliśmy bębnić po blaszanej kabinie i krzyżeć, że to nie ta droga! Kierowca wcale nie reagował i jechał nadal przez miasto w kierunku Poznania. Za miastem przyśpieszył. Pęd chłodnego powietrza uświadomił biednym studentom, że trzeba było założyć dodatkowy sweter. Ale wielu z nas, takowego nawet nie posiadało.

W Płoni skręciliśmy na Stargard. Po drodze samochodów było bardzo mało. Częściej mijaliśmy wozy zaprzęgnięte w siwki. Pocieszamy się, że może będziemy pracować niedaleko miasta. Zrobimy wtedy wypad na dziewczyny. Przed nami wolny wieczór. Pracować musimy tylko dwa dni, a dzisiaj jest sobota.

Mijamy Stargard i jedziemy dalej w nieznaną. Staramy się dowiedzieć dokąd ten tajemniczy kierowca nas wiezie? Nic z tego. Odpowiada, że za chwilę sami się dowiemy. Ta chwila trwała jednak długo. Słońce zaczynało już dobrze przygrzewać, a my wciąż mijaliśmy kolejne miejscowości. Wreszcie wjeżdżamy na dziedziniec gospodarstwa rolnego tzw. PGR-u w.....Żabinie, o ile dobrze pamiętam. Trochę zmarznięci i sztywni, wysiadamy, a właściwie wyskakujemy z tego luksusowego środka lokomocji wczesnego socjalizmu.

Witał nas sam dyrektor gospodarstwa. Pan, około pięćdziesiątki, w oficerkach z dobrej przedwojennej skóry, w bryczesach i kurtce do jazdy konnej. Gładko ogolony, wąsiki przycięte. Robił wrażenie i tak się odróżniał od otoczenia, że zaczynamy zastanawiać się czy dobrze trafiliśmy?

Dyrektor informuje nas, że jesteśmy w gospodarstwie eksperymentalnym, zajmującym się produkcją nowego

rodzaju ziemniaka. Przeprasza za tę niespodziankę, że akurat tu nas przywieziono. Kierowca miał zakaz informowania o celu podróży. Lecz on, tj. dyrektor, postara się nam to jakoś wynagrodzić.

Brakuje mu rąk do szybkiego i sprawnego zbioru płodów i prosi o pomoc nas studentów. Dodał, że jest gotowy zaopatrzyć akademik w ziemniaki na zimę.

Stoimy nieco zaskoczeni takim obrotem sprawy, a mieszkający poza akademikiem, pytają jaką to oni będą mieli korzyść?

Odpowiedź nie nadchodzi. Gospodarz zaprasza do jadalni.

–Najpierw, powiada– ciepły posiłek, a później do pracy.

Pracować będziecie do godziny szesnastej.

Posiłek rekreacyjny dostarczymy na pole. Obiad, dopiero wieczorem –zakończył powitanie.

Wchodzimy do dużej sali pałacyku, przed wojną balowej, jak mi się wydaje.

Stoły przykryte białymi, świeżo wykrochmalonymi obrusami. Obsługa uśmiechnięta zapraszała do zajmowania miejsc. Na stołach : wazy z gorącą zupą mleczną, obok półmiski wypełnione wędliną, stopy pachnącego, wiejskiego chleba i dzbany białej kawy.

Nas namawiać nie trzeba, my brać studencka, stale jesteśmy głodni.

W pośpiechu –bo może to tylko sen –wszystko w mig pochłaniamy.

Gospoia, pani przy tuszy, patrzyła tkliwie jak matka na wygłodniałą czeredę i mówi ,że kuchnia może jeszcze podać placki ziemniaczane, gdyby ktoś był jeszcze głodny.

Głośne hura, świadczy o aplauzie.

Placki również zjadamy w pośpiechu. Posileni i rozgrzani sadowimy się na skrzyniach tych samych samochodów, które nas przywiozły.

Wymieniamy poglądy. Bywaliśmy na „wykopkach”, ale nigdzie nie było tak jak tutaj. Zawsze byliśmy dowożeni

bezpośrednio na pole. Pierwszym posiłkiem, były pieczone kartofle i ewentualnie kanapki z margaryną lub buraczną marmoladą, przeważnie własne.

Dowożono najwyżej czarną lurę, zwaną kawą. Obiady, owszem serwowano, ale bywało, że nie były do jedzenia.. Tutaj natomiast... Ameryka!

Dają dobre jedzenie przed pracą , i to w takiej ilości!

– Panowie, trafiliśmy do innego świata- krzyczał Morda.

Zastanawiamy się, czy czasem nie jest to jakiś podstęp? Dojechaliśmy na pole, a tam już koparki kopały, a nieliczni zbieracze zbierali dorodne ziemniaki i usypywali długie przyzmy.

Każą nam wybierać i zakładać rękawice.

–W tym gospodarstwie pracuje się tylko w rękawicach – oznajmił brygadzysta.

Po krótkim instruktażu , jak należy: zbierać, usypywać przyzmy, zachowywać bezpieczną odległość od koparki i traktora itd. Itp., zabieraliśmy się do pracy .

Pracujemy w swojej grupie, czysto studenckiej.

Kilkadziesiąt metrów dalej pracowała jakaś grupa kobiet, pod ścisłym nadzorem paru mężczyzn. Kobiety zbierały, a mężczyźni tylko nadzorowali. Domyślamy się, że są to więźniarki, bowiem pozdrawiają nas rękami i natychmiast są upominane przez nadzorców.

Pracowaliśmy wydajnie, co widać było po przyzmach. Nas doglądała nasza władza ZMP.

Wyznaczeni do przyznowania , rozpalili nawet ognisko i zaczęli piec ziemniaki. Celował w tym Mirek Kononowicz. On najlepiej umiał to robić. –Na Syberii– powiedział – najsmaczniejsze piekłem „kartoszki.

Traktorem kierował Karol Iwański i popisowywał się swoimi umiejętnościami.

Około trzynastej , na pole wjechał samochód z dużym garnkiem i dwoma paniami w białych kitlach.

-Kuchnia przyjechała! – krzyczał brygadzysta – przerwa w pracy! Panie, kucharki będą wydawać!  
Kuchnia serwowała gorącą, gęstą i pyszną grochówkę na wędzonce. Kto chciał dostawał repetę.  
Chwila wytchnienia i dobry posiłek, były nam potrzebne. Niektórzy ułożyli się na łęczach i już drzemali. Tylko brydżyści pod wodzą „Bandyty”, rozdali karty i licytowali.  
Tych trudno będzie oderwać od tej zabawy i zmusić powtórnie do pracy. Szef „bandy” – Kazio Drozd oświadczył, że oni swoje nadrobią po rozegraniu jednego robra.  
Do końca pracy było jeszcze daleko!  
Po kilkunastu minutach, nadzorujący skutecznie zachęcił wszystkich do podjęcia pracy.  
Z wielkim ociąganiem się, znowu zaczęliśmy usypywać długie piramidki ziemniaków.  
Wydawało nam się, że koparki jakby przyśpieszyły.  
Uwijaliśmy się coraz szybciej. Pryzmy rosły.  
Poła zrytego przez maszyny, szybko przybywało. Zaczęliśmy krzyżeć na Karola, by nieco zwolnił! Bo jeżeli nie, to go zdejmujemy z traktora i „zaliczymy solidnego motylka”.  
Pod wieczór, słońko duże, pomarańczowe, powoli zaczynało kryć się za lasem i robiło się chłodniej. Zmęczenie dawało znać o sobie. Wsiadamy na przyczepy traktorowe i jedziemy do miejsca zakwaterowania.  
Nasz „szeryf” wykopkowy – Janek Czajka, chwalił się, że załatwił z dyrektorem iż spać będziemy w drugim pałacyku, który służy jako dom wypoczynkowy dla „tych”...z województwa.  
Istotnie, pokoje były ładne, wyposażone w prysznice i umywalki.  
Zakwaterowano nas po trzy – cztery osoby. Ładne czyste łóżka z dodatkowymi kocami i ręcznikiem.  
– Czy my jesteśmy na czasach? – zastanawiał się Józek Szczepaniak. Był na wielu wykopkach, ale takiego luksusu nigdy nie widział.



A może chcą nas zatrzymać na dłużej?– zauważył Błażej Daszyński.

–Nie mów tak! W poniedziałek mamy kolokwium z mechaniki –obruszył się, zawsze pilny Zenek Frąszczak.

– A kogo to obchodzi, huknął swoim basem Rysiek Zambrzycki– skoro już tutaj jesteśmy?

Dokładnie myjemy się i przebieramy, i tak odświeżeni wkraczamy do stołówki, a tam ?! O Chryste Panie, co ja widzę?! W najśmielszych marzeniach w ówczesnym czasie , nie mogło by to zdarzyć!

Stoliki zsunięto w jeden ogromny stół i nakryto jak, co najmniej dla gości weselnych.

Zupa w wazach , półmiski dymią wypełnione różnym mięsiwem w dużych ilościach. Kopiate misy ziemniaków, w sosjerkach sosy do wyboru, kompoty, chleb , ogórki, marynowane grzyby, a nawet lemoniada.

Gospodarz– dyrektor zapraszał byśmy zajmowali miejsca i mówi:

–Teraz proszę się posilić, bo zasłużyliście na dobry posiłek. Jesteśmy młodzi, głodni, a do tego zmęczeni pracą na świeżym powietrzu.

Rzuciliśmy się najadło jak stado wygłodniałych wilków.

Słysząc było tylko: nalewanie, stukanie i podzwanianie, lekkie spory, namawianie do brania tego czy tamtego, bo to smaczniejsze. Gwar robił się coraz większy. Ktoś nawet protestował, że mu sprzątnięto sprzed nosa lepszy kąsek.

To chyba Wicek Z.

Śmiech i lekka drwina, że taki gapa, uspokoiła smakosza.

Po kilkunastu minutach na stole nie pozostało nic co dałoby się zjeść. Gospodarz uważnie obserwował sytuację. Przysłał zaraz posiłki do zebrania naczyń i tajemniczo się uśmiechał. Po chwili , na stół wnoszone były ciasta.

Wiwatujemy i rzucaamy się na wypieki.

Jak się okazało, dzieło naszej „mamy” pani Stasi– szefowej kuchni.

Kuchnia ta, podobno była najlepsza w całym powiecie. Morda ( Henio Krenke) podbiegł do mistrzyni patelni i blaszki i zaczął ją obcałowywać w imieniu naszej pokaźnej grupy.

Zasypywał uszczęśliwioną i nieco speszoną p. Stasię komplementami, bo w tym, on był mistrzem.

Atmosfera była wspaniała. Nasyceni, powoli wstajemy od stołu, aby udać się do swoich pomieszczeń.

Jutro przecież, czekała nas praca.

Chwilowy „pryncypał”, jak nazwaliśmy gospodarza , przekrzykując zgłębł oznajmił ,że przygotował również niespodziankę. Ponieważ jest bardzo zadowolony z naszej pracy.

Prosił, byśmy się udali do świetlicy, która znajduje się w jednym z budynków gospodarczych, a zaprowadzi nas pan Włodek–(tajemniczy kierowca , a na czas świętowania– K.O czyli kulturalno- oświatowy).Nie wyjaśnił powodu.

Myśleliśmy, że może chce nam wygłosić jakiś wykład rolniczo- twórczy?

Zaczelśmy protestować, że jesteśmy zmęczeni i czas byłoby odpoczywać, o ile jutro mamy być wydajni.

Ktoś– chyba Jurek Burba– miał zamiar poznać tajemnicę niespodzianki i zaproponował byśmy poszli na chwilę do tej świetlicy.

Gospodarz i pan Włodek ,jakoś dziwnie popatrzyli na siebie. Do świetlicy weszliśmy przez drzwi dość wąskie.

Była wystrojona jak na bal strażacki. Pod ścianami siedziały młode dziewczyny i kilku facetów. Środek świetlicy był pusty.

Co to? Szykują nam bal? –zapytał Janek Adrian.

Odważniejsi szybko dokonali wyboru i przysiedli do bardziej pociągających dziewczyn. Zrobiło się gwarno i wesoło.

–To jest ta niespodzianka!?

„Pan domu” wszedł na scenę i oznajmił, że dzisiaj jest sobota i po pracy każdemu potrzebna jest rozrywka, by tym wydajniej mógł pracować w dniu ... następnym.

I tak zabawa nabierała obrotów. Jedni opanowali „blondynki” i nie dopuszczali konkurentów, inni już zastanawiali się jakich użyć forteli by wyrwać z rąk zaborców ten atrakcyjniejszy „materiał”, a inni brali co pozostało i wywijali hołubce. Atrakcyjnych dziewcząt nie było wiele, a i to niektóre miały już swoją obstawę.

Tańczącym przygrywał zespół: akordeonista, skrzypek, flecista i „bębniarz”. O tym ostatnim, można by było tylko tak się wyrazić, bo zagłuszał – bestia, całą orkiestrę.

Kilku z naszych chłopaków proponowało jemu, że sami będą „stukać” do taktu.

Nic z tego.

Ale im dłużej bawiliśmy się, tym mniej przeszkadzał nam ten dudniący instrument.

Być może sam doboz mniej siły wkładał w tłuczek.

Tańcząc, dowiedzieliśmy się, że PGR składa się z wielu gospodarstw, rozrzuconych w promieniu kilkunastu kilometrów. W każdym pracowały różne doraźne zespoły z różnych przedsiębiorstw, szkół, OHP (Ochotniczych Hufców Pracy). Pracowali też więźniowie. Tylko, że tych, każdego dnia, rano przywożą i przed zmrokiem odwożą do miejsca czasowego zamieszkania.

Grupa dziewczyn, z którymi tańczyliśmy była ze Stargardu i Łobza, z sieci handlowej PSS „Społem”. Oddelegowano je na cały tydzień, i za ten czas płacić im miała Spółdzielnia.

Takie to były czasy. Ktoś inny korzystał, a ktoś inny płacił.

Każdy w swoim zakresie mało. Prawdziwe zyski miało państwo.

Im bardziej się poznawaliśmy, tym luźniej robiło się na parkiecie. Co chwila jakaś para zniknęła w czeluściach drzwi.

–Idź z pewnikiem gwiazdy oglądać, krzyczał mi do ucha Andrzej Warski.

Trzeba przyznać, że niebo jesienią, na wsi „wisi” tak nisko, jak gdyby gwiazdy były tuż nad głową. Przecudna to czasa, skrzących się ogników!

Nagle w kącie zaczęła się jakaś szamotanina.

Krzyk dziewcząt, niczym spłoszonych gąsek potwierdził, że jest to zwyczajna draka. Po chwili zobaczyłem komiczny obrazek: Rysiek Zambrzycki trzymał za kołnierz jakiegoś konusa i prowadził do drzwi. Tylko, że ten szedł tak, jakby podłogi dotykał jedynie czubkami butów. Po prostu komicznie przebierał nogami. Okazało się, że ten którego „wynoszono” chciał udowodnić naszemu Marianowi Szuflińskiemu, że” to on tu rządzi i nikt nie będzie mu włożył w szkodę( podrywał dziewczynę)”, a że był silniejszy od Mariana, potrzebna była interwencja „Mocarza”. Zresztą sam widok Ryśka musiał działać paraliżująco na obcego.

Zabawa trwała do północy. Było fajowo. Kilku z naszych chłopaków „umawiało się” na dalszą część nocy.

Długo jeszcze nie mogliśmy zasnąć. Omawialiśmy wrażenia. Wyśmiewaliśmy tych co nie mieli szczęścia i trafili na gorszą część damskiego zastępu. Nie bardzo wiem kiedy w końcu zasnęliśmy.

Kiedy już mocno „dusiłem komara” poczułem szarpnięcie za ramię i wyczułem smród krowich odchodów.

Natychmiast, prawie, otrzeźwiałem.

Przed łóżkiem stał znany nasz Adonis...

–Czego chcesz– zasyczałem– i jakiego czorta mnie budzisz?!

–Ty, Mietek– szepnął „Amanto” – gdzie masz tą twoją wodę kwiatową? –Daj, bo wpadłem w...., wymyłem się, ale wciąż śmierdę.

– W co wpadłeś?

– W gówno chłopie, w krowie gówno– powtórzył jeszcze raz.

–Dawaj wodę, bo mnie wyrzucą z pokoju i gdzie będę spał?

Długo nie mogłem zasnąć.

Wyobrażałem sobie, jakie będą nazajutrz komentarze i kpiny. O tym, że to właśnie „on” wpadł, na pewno wie już nie jeden. Rano skręcaliśmy się ze śmiechu, kiedy nasz niedoszły topielec w gnojowicy, opowiadał w jakich to okolicznościach dostał się do tej „topieli”, jak mu pomagała dziewczyna

wypełznąć na grunt stały i jak niepyszny , bez pożegnania rwał do hotelu, zrzucając z siebie buty i spodnie.

Tak rozweseleni, wkroczyliśmy do jadalni.

Posiłek, jak zwykle, połknęliśmy ekspresowo.

Nikt nie wiedział ,dlaczego było nam tak spieszo. Już mieliśmy wstawać od stołów, kiedy nasz wczorajszy elegancki gospodarz oznajmił .... , że uczelnia wyraziła zgodę na to, byśmy pracowali jeszcze dwa dni.

Głośno wykrzyczeliśmy nasz protest. Niektórzy ,wyraźnie oceniali zagrywkę dyrektora PGR jako normalne świństwo.

– Mamy swoje plany, umówione spotkania, i w ogóle naukę, a nie jakieś tam zbieranie głupich kartofli– oznajmiamy!

– I nikt nas nie zmusi do pozostawiania!

Kilku chłopaków miało zamiar wyjechać natychmiast indywidualnie do Szczecina.

Gospodarz przeproszał. Myślał ,że będzie mógł na nas liczyć, bo ma nóż na gardle i nie ma wystarczającej ilości rąk do pracy , a prognozy pogody nie są optymistyczne. On nas bardzo prosi o wyrozumiałość i jest przekonany , że mu pomożemy (*tyle lat przed Gierkiem!*)!.....itd. itp.

Zebranie „związkowe” trwało, czas nieubłagane upływał. Jedni byli twardymi oponentami, inni już miękli .Tylko nieliczna grupa (jak zwykle) czekała na wynik „referendum”. Po upływie godziny, może trochę więcej i po wyrzuceniu całej żółci, zostaliśmy, bo żal nam było tego eleganta...

Na pole jechaliśmy prawie w milczeniu. Każdy miał jakiś powód. Jedno było pewne, my nie byliśmy zupełnie wolni.

Ten nasz protest to tylko młodzieńczy odruch.

I co z tego , że „pogadaliśmy i wygarnęliśmy”?

I tak byśmy musieli zostać. Byliśmy uzależnieni od systemu.

Dzisiaj pracowaliśmy gorzej niż wczoraj.

Traktorzyści zmuszeni byli zmniejszyć szybkość , by nie przysypywać wykopanych ziemniaków.

Po powrocie z pola zasiedliśmy do obiadu– kolacji bez entuzjazmu, ale z wilczym apetytem.

Obsługa nadal była miła i chętnie donosiła repete.  
Nikt jednak nie poruszał tematu „przedłużony czas pracy”.

Pan Władysław, nieśmiało zaproponował nam obejrzenie radzieckiego filmu wojennego. Tylko nieliczni poszli do świetlicy. Reszta, organizowała sobie odpoczynek według własnego pomysłu. Jedni siedzieli i „rżnęli” w brydża, a celowali w tym, oprócz Kazia Drozda: Zdzycho Zaleski, Andrzej Gryglaszewski i Józek Błachnio, Janusz Skibiński, Janek Praczyk, Kamil Grochowski, Antek Karczewski i rezerwowi: Wicek Zawidzki, Włodek Skorupa, Roman Niemczyk i wielu innych. Tylko Zygmunt Ossowski nigdy nie rozstawał się ze swoją gitarą. On nam stale śpiewał, ulubioną przez nas, melodię o lecącej białej mewie. Inni „dosypiali”. Ci zawsze na wszystko mieli czas. To grupa poważnych i dostojnych.

Zmontowaliśmy paczkę, poszukiwaczy przygód i wybraliśmy się do wsi na rekonesans. Wieś była zadbana. Domy duże, z czerwonej cegły. Mieszkańcy najwidoczniej przyzwyczajeni byli do obcych, idących od strony pegeeru. Nie byli zbyt zainteresowani. Tylko jakaś babina, śpiewną mową kresową, zapytała:

– Czy aby panowie ze Szczecina przyjechawszy?

To, że na wykopki do „kołchozu” to ona wie!

Przed sklepem, grupa tubylców „obalała” jakiś „zapas” i patrzyła na nas spode łba.

Weszliśmy do wnętrza wiejskich „delikatesów”. Za ladą stała ładna, czerstwa blondynka o prześlicznych białych zębach.

Na nasze „dobry wieczór”, jeszcze piękniej się uśmiechnęła i zaraz zapytała: – Co podać?

Na półkach stały lub leżały produkty żywnościowe, środki higieny, towary przemysłowe i alkohole.

Na ladzie –kaszanka(kawior PGRu) i pasztetowa.

Prócz wódek z czerwoną i niebieską kartką, były wina włoskie (zbyt drogie jak dla studentów), wina „patykiem pisane” (wino

owocowe, popularne), a wśród nich wino „TUR”!

Składamy się, i kupujemy kila butelek tego „specjału”.

Z „blondynką” Staszek Skrobisz chciał się umówić. Nic z tego. Albo się wstydziła, bo było nas tak wielu, albo miała narzeczonego.

Może nim był ten , stojący i pijący przed sklepem, który co chwila zaglądał do wnętrza sklepu?

Staszek nie rezygnował i zapewniał, że jutro ponowi propozycję.

Wino mieliśmy zamiar zanieść do” hotelu” i dopiero tam ....

Taki był zamiar, a życie? Stale płata figle.

Wyszliśmy ze sklepu, a było już prawie ciemno.

Osiłek, stojący przed „wódopojem”, powiedział:

–Panowie studenci, czy możemy panów zaprosić do stolika i pogadać?

„Stolik”, był to sklecony z desek stół z dwoma ławkami.

Jedni siedzieli , drudzy stali lub kucali, a na stole była duża, biała, z czerwoną kartką.

Propozycja nie do odrzucenia, tylko, że trafili na tych, którzy nie piją takiego alkoholu– przynajmniej tutaj we wsi.

I pewności nie mieliśmy czy zapraszają do picia, czy do....?

Kazik Spaliński wysunął się do przodu i oznajmił, że pięknie dziękujemy, ale my nie pijemy....

Nie zdążył wyjaśnić, jakiego alkoholu nie pijemy i w jakich okolicznościach i widocznie nie o to chodziło , bo nagle usłyszeliśmy!

–To co?! Jaśnie panowie, nie chcecie się bratać z klasą chłopską?! Myślicie, że jak jesteście z miasta, to jesteście lepsi?! Spier...cie na pegeer, bo tam wasze miejsce, a jak nie, to my wam tak wpier.....my, że was rodzona matka nawet po... nie pozna (tu wyraził się, po czym nie pozna)!

Nam, jak to mówią „skoczyła gula”, ale staraliśmy się wyperswadować, że są w błędzie, że jesteśmy nastawieni pokojowo i nie gardzimy nikim, a tym bardziej bracią chłopską, bo wielu z nas pochodzi ze wsi.

Nic z tego. Więjscy herosi wyraźnie szukali zaczepki. Oceniliśmy siły i straciliśmy cierpliwość.

Kątem oka obserwuję jak kilku jurnych chłopaków usiłuje zająć nas od tyłu. Odskokczyłem w bok, a w ręce trzymałem wybornego TUR-a. Nagle usłyszałem tylko... brzęk zbitego szkła i cała zawartość butelki z rozbryzgiem rozlała się po moim ubraniu i butach. Butelka uratowała mnie od porządnego guza. Nie uratował się natomiast „siarczysty, a właściwie siarczany, nektar”. Koledzy starli się w walce wręcz. Ja trzymałem w ręce szyjkę butelki z jej resztkami. To mnie, chroniło przed bezpośrednim atakiem.

Niemal natychmiast, niespodziewanie, nadeszły nasze posiłki. To następna grupa kolegów wyszła na spacer rozpoznawczy i byli już blisko kiedy usłyszeli odgłosy walki.

Oberwalibyśmy solidnie, gdyby nie to wsparcie.

Dotychczas nacierający, zaczęli coraz szybciej wycofywać się. Wojna na pięści(?) była zakończona.

W czasie tej krótkiej bitwy, dwie następne butelki, też uległy zagładzie. W ten sposób pozbyliśmy się wina TUR.

W drodze powrotnej liczyliśmy sińce i zadrapania na naszym ciele, i komentowaliśmy zaangażowanie w walce.

Jeszcze długo nie mogliśmy zasnąć, rozpamiętując:

–ni to porażkę, ni to zwycięstwo!

Rano okazało się, że nie byliśmy pierwsi. Podobne starcia z tubylcami– przeciwnikami „kołchozu”, miały inne grupy pracowników „społecznych”, podobnych do nas.

Od tej pory do sklepu chodziliśmy większą grupą i niechby ktoś chciał nas zaczepić!

Najzabawniejszym był powrót do Szczecina. Nasz dodatkowy trud, został częściowo wynagrodzony, w naturze. Każdy z nas otrzymał: dużą torbę owoców, kawałek wędzonego boczku i kilkanaście jajek. Wszystko w torbach papierowych (jeszcze nie znane były plastiki).



Posadowiliśmy się na samochodach, na ławkach i szczęśliwi jechaliśmy do domu. Każdy z nas uważał by nie utracić cennego towaru – jajek. Samochody jechały coraz szybciej i czasem podskakiwały na nierównej drodze. Głośny śpiew świadczył o tym, że byliśmy zadowoleni z życia i z tego, że spotkamy swoje sympatie i wreszcie będziemy w domu!

Nagle ktoś krzyknął:

–Moje jajka! – Cholera ! Wszystkie chyba popękały! Mam jajecznicę na spodniach!

Jak na komendę, rzuciliśmy się do przeglądania naszych jajek.

Był to potworny błąd!

W tym ścisku i wzajemnym poszturchiwaniu się, przy podskakujących samochodach, każdy z nas dokonywał totalnego spustoszenia. W przydrożnych rowach zaczęły lądować torby pełne jajecznicy.

Kilka z nich nie doleciało na zewnątrz. Zatrzymały się na głowach siedzących z brzegu. Rwetes jaki podnieśliśmy spowodował, że samochody zjechały na pobocze.

Wyskoczyliśmy jak oparzeni. Rwały się papierowe torby. Wysypywały się jabłka i gruszki .Pękały pozostałe jajka. Ręce kleiły się. Ubrania były wymazane, lepkiem płynem. Totalna klęska! Jedni kleli, inni wybuchali gromkim śmiechem, a jeszcze inni stali markotni, bo w drodze obmyślali : jaką to sobie zrobią jajecznicę na boczku?!

Do samego Szczecina jechaliśmy nie odzywając się do siebie.

Tylko nielicznym udało się cudem zachować w całości po kilka jajek. Ci byli szczęśliwi.

## ***Tęsknota do wielkiego świata***

„Grosza” zawsze było mało. Ale z okazji wypłaty stypendium organizowaliśmy „bankiet”, aby choć trochę poczuć się...wielkim. Rzecz nie warta by była wzmianki gdyby nie „formuła” takich bankietów. Na przyjęcie każdy przynosił to co lubił i tyle ile mógł spożyć. Nie było polewania na boki, ani przymusu picia. Nie było też „przepijania do siebie”, i w ogóle nie zdarzało się by ktoś pił na tzw. krzywy ryj. Wspólne były tylko TOASTY.

## ***Po bankiecie***

Wypiliśmy wszystko i już rozchodzimy się..., a mnie nosiło- wspomina Olek – i gdzieś mnie gnało. Pognało do „Bajki”, a że zrobiło mi się niedobrze na schodach puściłem ...pawia. Schody były już „wyhaftowane równym ściegiem”..... Miałem jednak wyrzuty sumienia i pietra, bo jeżeli ktoś mnie widział, będę miał się z pyszna. Po pewnym czasie, bo w „Bajce” zawsze było tłoczno, spotykam Jurka Burbę i mówię: „Chyba na...rozrabiałem na schodach”, a Jurek nato:  
– Nie martw się, byłem pierwszy i szybszy.

## ***Bajka***

Lokal nocny z kategorii „Dziwex” gdzie byli „chłopcy z obcych mórz”, były atrakcyjne „mewki”, ciuchy, drogie alkohole, dobre jedzenie, bogaty wystrój i... dolary. ( *W tym czasie w Bajce była już Europa i wolny rynek, i niech nikt nie wierzy, że wszystko było na kartki. W Bajce był świat inny niż na zewnątrz*). To wszystko przyciągało brać studencką. Taki lokal nie był dla studentów, bo byliśmy bez „miedzi”.

Zdarzało się jednak, że czasem bywaliśmy w tym... wielkim świecie.

Ekipę organizował Henio P., starszy od nas o jakieś 10 lat. Miał zaokrąglone kształty, pokaźną łysinę i trochę przypominał takiego ludzika z „Przekroju”, dlatego przed jego nazwiskiem stawialiśmy „Bęc”. Henio Bęc– P. odkrył, że ciężko pracujące dziewczyny w Bajce, na tzw. ”lekki kawałek chleba”, prócz zwykłej „prozy życia” potrzebują uczuć bardziej wzniosłych i w ogromnej większości kochały się (platonicznie) w.... jednym z naszych kolegów. Był to człowiek niepokaźny ale ogromnie sympatyczny, grzeczny i kulturalny, co w zetknięciu z powszechnym chamstwem i brutalnością stawiało go w roli idola.

Kiedy w Bajce pojawiał się „Brat”(Jurek Burba.) z kolegami, sala (mewki) szeptała:– Popatrz, „Brat przyszedł”!

Co bardziej inteligentny „bojek” zaczynał główkować: .....dziewczyna „napięta”, a tu ten brat przychodzi, da po ryju siostrze za to, że się szlaja i wyśle do domu. Brata trzeba „zblatować”. I „blatował”.

Zaraz na stole pojawiała się gorzała w dużej butelce i schabowy wielki jak kłapa od sedesu.

Pewnego razu na stole wylądował tort rozmiarów koła od wozu, który zamieniliśmy na płyny. Kelner zawsze uspakajał, że wszystko jest opłacone... w dolarach.

W Bajce brylowaliśmy jedynie w celach konsumpcyjnych.

Przyszła sroga zima. Tor wodny częściowo skuły lody.

Statków było coraz mniej. „Bojków” w Bajce było jak na lekarstwo. Czyli popyt na wdzięki –nikły , a podaż wysoka! Henio Bęc– P. przyholował jakiegoś „kaszalota” i potoczyła się rozmowa przy dobrze zastawionym stole.

– Brak „bojków”( marynarzy)?– zagaja Henio

– A no, brak– odpowiada zrezygnowane „dziewczę”.

– Sama chodzisz spać?

– Bywa.

- Jestem ciekawy, czy poszłabyś za pięćdziesiąt ? ( *taksa była 300 zł.* )
- Dobrze i pięćdziesiąt– odpowiada po chwili zagadnięta.  
Henio, wielce zakłopotany, bo skąd tu wziąć 50 zł., a chcąc zniechęcić „mewkę”, „ciągnął” dalej:
- Słuchaj, ale nas jest czterech.  
Wtedy dziewczę wpadło w zakłopotanie. Ale po chwili mówi.
- Nie! Nie zgadzam się! Może być... góra dwóch!

### ***Mareczek i maturzystka***

Nasz przyjaciel „chemik” przemycił do „Bajki” maturzystkę– dzisiaj znaną aktorkę\* ) ( jak on to zrobił?, bo obcych kobiet tam nie wpuszczano).  
Zaczęli tańczyć, a tańczyli „koncertowo”.  
Wszyscy opuścili parkiet , a oni tańczyli i tańczyli...  
Tu i ówdzie słyhać było komentarze „mewek”:  
–Fajnie tańczy ten Szwedzik ( *Marek był typem nordyckim*),  
ale skąd ta k...wa tutaj się wzięła?!

*\*Irena Kownas ( „Czarne Chmury”, „Lata 20-te, lata 30-te” )*

### ***„Bill”-budowlaniec, twórca mody***

Kupował w bajce szampana i oznajmiał, że otrzyma szampana ta, która ma najładniejsze piersi.  
Chodził , obmacywał i decydował, które panie będą brały udział w konkursie.  
Panie były ambitne, próżne i zazdrosne.  
Posądzały inne ,że mają piersi podciągnięte stanikiem i dlatego twardsze.  
Wtedy pomówione zaczynały obnażać się, by udowodnić....  
I tak powstał TOPLESS (zbiorowy).

## **Terapia**

Jeden z naszych kolegów mieszkał „na stacji”, a gospodarze hodowali białą myszkę.

Nasz inny kolega lubił wypić, ale najczęściej nie za swoje pieniądze, bo nigdy ich nie posiadał.

Tego kolegę zabrali, Janusz i Olek, ze sobą z myślą, że trochę zabawią się jego kosztem. Kiedy wypili butelkę wina, posłali kolegę kuchni, by przygotował herbatę. Po krótkiej chwili przybiegł on, był zmieniony, wystraszony i mówi:

– Wiecie? W kuchni widziałem białą myszkę.

– Andrzejku – odrzekli kolesie – białych myszek nie ma, chyba, że we młynie, albo jak ktoś ma „delirkę”.

Młyna tutaj niema, a ty wypileś dopiero parę szklaneczek wina.

– No to, chodźcie do kuchni, to sami zobaczycie!

Przychodzą do kuchni, a na stole siedzi myszka i coś wcina.

– O! Widzicie?! Widzicie?! – krzyczy Andrzejek S. – Tam na stole siedzi mysz.... i to biała!

– Janusz, czy ty coś widzisz? – pyta Olek, bo ja nic nie widzę.

– Ja też nic. Andrzejowi chyba coś się przewidziało.

– Co wy?! Tam na stole.... siedzi i coś żre!

– Andrzejku, ty już naprawdę masz dość i nie możesz więcej pić! Ty masz „delirkę”.

## **Dobry mąż**

Jechaliśmy do Szczecina. Pociąg włókł się niemiłosiernie. My dwaj, przykryci płaszczami usiłowaliśmy zasnąć, tylko Janka Humięję coś nosiło. Zachowywał się tak jakby miał jakieś zmartwienie.

W przedziale znajdowało się również młode małżeństwo. Pan był cichutki i prawie się nie odzywał.

Jego żona, odważniejsza starała się nawiązać rozmowę z Jankiem.

Janek był smukły, ładnie opalony z lekko falującą się kruczo–czarną czupryną i z dołkami na twarzy. Bardzo jej się podobał. Był przeciwieństwem jej... fajtłapowatego męża.

Janek nie mógł zagrzać miejsca. Wstawał, wychodził, znowu siadał, coś czytał ,by po chwili.... i tak w kółko jakby cała armia owsików go opanowała.

Młoda dama nabrała odwagi i zapytała:

Przepraszam pana. Co pana tak trapi, że jest pan taki niespokojny?

–A bo ja... , no, wie pani– odpowiada Janek– musiałem z kolegami wyjechać służbowo na kilka dni, a w domu zostawiłem żonę z malutkim dzieckiem przy piersi i martwię się czy sobie, biedactwo z tym radzi.

–Niech się pan uspokoi, kobiety są silne, mogą sobie poradzić z wieloma sprawami, a pan i tak nic nie może jej teraz pomóc.

– Bo żonę- mówi Janek- proszę pani bierze się na całe życie i takie prace jak: sprzątanie, pranie czy szorowanie podłóg, bardzo niszczą urodę, a żona powinna być zawsze wypoczęta, zadbana, piękna i młoda, więc te prace wykonuję osobiście.

Pani z podziwem popatrzyła na Janka, a zwracając się do swego małżonka powiedziała:

–Widzisz Januszk, jaki z pana dobry mąż?! A ty co?

Januszek , tylko zgrzytnął zębami i nadal siedział w swoim kąci.

Pani , by podtrzymać rozmowę, znowu zwróciła się do Janka:

–Żona pana, na pewno wszystko sama robi przy dziecku.

–Tylko karmi piersią. Karmienie butelką, bo musimy dziecko dokarmiać, dzieciak jest „żarty”, pranie pieluch i spacer , to moje zajęcie– odpowiedział Janek.

–Mój Boże! Pan jest bardzo dobrym mężem! Tyle pan ma zajęć? To z pewnością pana żona króluje w kuchni?!

–Skądże znowu- żywo zareagował Janek- Ona po prostu niema wstępu do kuchni. Kuchnia jest moim królestwem. Do gotowania, proszę pani, to ja mam talent. Pierogi ruskie,

kotlety po „ministersku” z jajkiem i garniturem, kotlety po nelsonsku, kaczka po pekińsku, torty, szarlotki, serniki z orzechami.... to tylko niektóre moje popisowe numery. Pani oniemiała. Patrzyła z tak wielkim uwielbieniem na Janka, że jej Januszek tego nie wytrzymał i wybiegł na korytarz, by czym prędzej.... zaciągnąć się dymem. Na korytarz wybiegliśmy i my porywając ze sobą Janka. Minęliśmy spienionego Januszka i dopiero w następnym wagonie.... „obsmialiśmy” całe zajście. Młode małżeństwo na szczęście wysiadło w Kole. Janek „długo jeszcze nie miał żony, ale był przygotowany do małżeństwa. No, nie?!

### ***Zaskoczony***

Kilka lat po studiach Olek – Zdzisiek Zaleski wracał pociągiem z Warszawy do Szczecina. W Warszawie do przedziału weszli: Dziekan Wydziału Mechanicznego– prof. Jerzy Ordega i dwaj asystentów . Olek znał dziekana, dziekana Olka– nie. Przez chwilę przybysze zastanawiali się jak mają zagrać w brydża, ponieważ jest ich tylko trzech? Profesor zaproponował, aby Olek zagrał jako czwarty. Olek zgodził się, ale w kieszeni miał tylko pięć złotych. Będzie „chryja jeśli przegra”– pomyślał. Grać mieli oczywiście na pieniądze. W Dąbiu podliczają rozgrywkę. Olek wygrał wysoko i zebrał niezłą sumkę. Przy wysiadaniu, dziekan komplementując Olka zapytał: –Przepraszam, gdzie pan tak dobrze nauczył się grać w brydża? –Zdziwi się pan, panie profesorze – odpowiedział Olek –na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Szczecińskiej.

–Doprawdy?! No to, sprawił nam pan niezłą niespodziankę i łaźnię – roześmiał się profesor.

### ***W górach rzadsze***

Po latach, Julek Kacprzak pojechał „SYRENA” w góry, by wraz z rodziną wypoczywać i jak najwięcej nawdychać się górskiego powietrza. W tym samym domu, na tym samym piętrze i w tym samym celu zamieszkała rodzina docenta R (służbowo pracownika Instytutu Ziemiaka w B.). Julek o wszystkim, dowiedział się od samego docenta, zaraz po przybyciu rodziny R. do Karpacza. Julek patrzył zazdrośnie na nowiutką Skodę i postanowił lekko zakpić z właściciela tego cuda.

Zapytał, czy on (tzn. docent) wie, że już w Jeleniej Górze należy zmieniać powietrze w oponach?

Potrzebę wymiany uzasadniał tym, że w górach powietrze jest rzadsze i może nastąpić przyrost ciśnienia, a to nie jest wskazane. Może być też niebezpieczne!

Wczesnym rankiem cała rodzina docenta zmieniała powietrze w kołach swojego nowego samochodu.

### ***Rozdział 3. STUDENT I WOJSKO***

#### ***Buława***

Młodziutki, ambitny „poruczniczyna”, który do niedawna, jeździł na traktorze w Spół- ni „Lepsze Jutro”, piskliwym głosem wydał komendę :



–Bateria na moją komendę. Baczość! Dzisiaj zajmiemy się historią Polski i będziemy wymieniać nazwiska wielkich dowódców Wojska Polskiego.

Wy! – wskazał palcem na najbliższej stojącego studenta–  
powiedzcie student, kto jest marszałkiem LWP ?”

Student regulaminowo wyprężył się i zameldował:

–Student Chmielecki.....

A oficer przerywa mu i powiada:

–Wy student, dopiero nosicie buławę w plecaku, a marszałkiem jest Konstanty Rokossowski. Rozumiecie?!

### ***Dupek***

Studium Wojskowe. Przy tablicy facet w mundurze, truje coś o tradycji oręża polskiego i o tym ,że Mickiewicz (!?) walczył w Ameryce o wolność waszą i naszą .. i tak dalej, a my na „zadku” gramy w brydża. Rozgrywa Wicek Zawidzki, ale kiepsko. Partner mówi , że tej rozgrywki nie zapisze do szczytowych osiągnięć Wicka. A Wicek jako człowiek impulsywny, na cały głos:

– A, bo ten dupek przy tablicy, pieprzy i pieprzy, a ja skupić się nie mogę!

### ***Na widelcu***

Kto nie pamięta wspaniałych doznań stania na warcie przed magazynkiem broni?!

Wraca Jasio Czajka z warty i mówi:

– Tragedia panowie, zepchnąłem kolbą ze schodów magazynku broni majora Jurkowskiego, który nie reagował na okrzyk wartownika. Stypendium diabli wzięli!

Na drugi dzień była następna afera, powierzona broń została użyta do wyciągania gwoźdza ze ściany i złamano

bagnet, tylko że winowajcy nie znaleziono (fama niosła, że to zrobił *Józio Mijał*). Atmosfera zageściła się.

W następnej warcie, dowódcą był Olek. Wszystkich wyczułał, by postępowali zgodnie z regulaminem wojskowym, bo szukają zaczepki i mogą być problemy.

Ostatnią wartę przy drzwiach pełnił Antonio (Antek Karczewski). Raniutko przyszedł mjr Jurkowski, sprawdzić wartę.

Antek majora wpuścił, zagnał do kąta i przyszpilił bagnetem tak, że ten nie mógł zrobić najmniejszego ruchu.

Jurkowski w krzyk:

– Co wy, swego dowódcy nie znacie!?

A, Antek:

– Wartownik kiedy pełni wartę nie zna nawet własnego brata!

Jurkowski zaczął wzywać dowódcę warty.

Olek udawał, że nie słyszy. Dopiero po dłuższej chwili Antek Jurkowskiego uwolnił od ucisku „szpikulca” i wypuścił na dwór.

Jurkowski krzyczał dalej:

– Dowódca warty do mnie! Dowódca warty, zdjąć wartownika!

Olek – dowódca warty, w końcu wartownika zdjął, a meldunki o przebiegu warty musiał składać kilkakrotnie.

### ***Nasza Morda!***

Heniek Krenke na rozpoczęcie każdego dnia Studium Wojskowego wydawał komendę:

– Całość, na moją komendę! Baczość! Otwieram, dzień humoru i satyry. Spocznij!

A na zakończenie dnia:

– Całość, baczość! Zamykam, kolejny dzień kabaretu wojskowego. Rozejść się!

### ***Zależy od rozkazu***

Andrzej Babula-Warski (Ba Wa) zdawał egzamin z „woja”:

- Co znajduje się w torbie na maskę P- GAZ ?– pyta egzaminator.
- Maską właściwą, pochłaniacz i rura łącząca– odpowiada Andrzej.
- I co jeszcze?
- Nic!
- A masło, może tam być?
- Może!
- Jak to?
- Jak będzie taki rozkaz, będziemy tam nosić również masło!

### ***Wiara***

Kazimierz O. melduje się oficerowi ,na Studium Wojskowym :

- Obywatelu Admirale...
- Ja jestem podpułkownikiem, a nie admirałem. Co wy student , nie znacie się na stopniach?
- Ja tam panu nie wierzę. Ja wierzę tylko kolegom, a oni twierdzą, że pan jest admirałem!

### ***Snajperzy***

Trwało strzelanie, na zaliczenie. Połowa studentów nie wykonała zadania. Ustawiono tych „snajperów” w szeregu. Mjr Jurkowski miotał się i koniecznie chciał przyczepić się do kogoś. Wszyscy mieli bezczelną minę, z wyjątkiem Jasia Czajki, którego twarz mówiła – przepraszam.

Major właśnie napadł na niego:

- A wam, to jak świadkowi Jehowy, gdyby karabin zawiesić na szyi, to i sam by strzelał i wyniki byłyby lepsze !

Stąd powstało powiedzenie..... „, nie przejmuj się swoją rolą ,  
bo cię i tak opier...lą

### *Żeby mi to było....*

Raport karny z powodu nieobecności na studium  
wojskowym... Karą jest: pozbawienie miesięcznego  
stypendium. Pierwszy tłumaczył się : –byłem chory, drugi-  
odbierałem stypendium, trzeci.. jedenasty– te same  
tłumaczenia i ta sama kara.

Wreszcie , tłumaczy się Jasio Humieja.

– A, wy?!

–Ja nie mogłem być , bo rodzice mieli srebrne wesele i  
musiałem być na uroczystości. Jurkowski zaniemówił! A po  
chwili.

– Wy jesteście usprawiedliwieni! Ale żeby mi to było ostatni  
raz ,to srebrne wesele! Jasne?!

### *Szwejkostwo*

Egzamin ze studium wojskowego. Pytanie dotyczy teorii  
zdarzenia. Ki diabeł?– myśli Bogdan zwany Czeski – Pleski  
(Pleskaczewski) i zaczyna kombinować, a kombinuje jak koń  
pod górę.. – Jeżeli dwa działa mają jednakowy kąt  
podniesienia i azymut przeciwstawny, to może się zdarzyć...  
że dwa pociski zderzą się.

– Co wy za głupstwa, pleciecie?

– Takie mam pytanie, na pasku (egzaminacyjnym)

– Mówcie o teorii zdarzenia!

– No to trzeba od razu o to pytać!

## **Praca**

(wg kpt Sułka)

.... co wtedy robi żołnierz ? Żołnierz prowadzi prace myślową!

## ***Dobre” gadane”***

Staszek Neumann – wysoki, o wspaniałym poczuciu humoru. Lekko zacina się, ale jak chce, robił to komicznie. Kiedy podpadaliśmy „na wojsku”, to do meldowania wysyłaliśmy Staszka.

– Stary, ty idź ,bo ty masz dobre gadane! I Staszek meldował.

–Oooooobywatelu poooooruczniku

–A idźcie, w jasną cholere! – zwykle mawiał zrezygnowany porucznik.

## ***Kpt Zaleski***

Na strzelnicy ( na Bezzeczu) ogłoszono ,że ten który trafi w dziesiątkę otrzyma bilet do kina.

Olek (Zdzisiek Zaleski) pierwszy trafił w 10 i poszedł do oficera po nagrodę.

– Trafiłeś w 10?

– Tak, trafiłem.

– A, razem ile?

– 15, tyle ile było potrzeba, by zaliczyć.

– Za mało! Biletu nie będzie.

– To, trzeba było od razu powiedzieć ,że trzeba wystrzelać 28. A w ogóle to mi wstyd za obywatela kapitana. Czy pan wie, że w naszej rodzinie słowo ważniejsze było i jest od pieniędzy!?

## **Oryginal**

Na pierwszym semestrze studiowało wielu, którzy trafili do uczelni technicznej z przypadku. Ci już po pierwszych egzaminach musieli szukać szczęścia gdzie indziej. Było wśród nich kilku wielkich oryginałów, np. Kazimierz O. W końcu listopada (30.11.52r.) do Szczecina przyjechał Prymas Polski Stefan Wyszyński. Całą młodzież akademicką w godzinach rannych, pod przymusem zgromadzono w uczelni i poprowadzono na kilka godzin w teren, w ramach ćwiczeń SW (studium wojskowego). W ten sposób uniemożliwiono Prymasowi spotkać się z młodzieżą, w kościele pw. św. Jana Chrzciciela. Prymas powiedział, że na młodzież poczeka i do spotkania dojdzie wówczas, kiedy młodzież będzie wolna. O godzinie 18-tej do kościoła, przy ul Bogurodzicy, przyszło tyle młodych ludzi (studentów), że nie było najmniejszego wolnego miejsca. Ksiądz Prymas stojąc na ambonie wygłosił płomienne kazanie, podnosząc nas na duchu. Pieśń- hymn „Boże coś Polskę” śpiewaliśmy tak, że cały kościół drżał w posadach.

W tym samym czasie kilku naszych kolegów było wyznaczonych do pełnienia warty przy magazynie broni (dziurawej jak licho). Wśród nich był Kazio O. Służba dla Kazia wypadła w czasie spotkania z Prymasem.

Nasz kolega na wartę wyszedł w mundurze wojskowym i uzbrojony w pistolet maszynowy. Dowódca warty Włodek Skorupa osobiście go tam zaprowadził. Po kilkunastu minutach do wartowni wpadł z wrzaskiem i bronią wartownika w ręce, podpułkownik Steś.

– „Warta!- krzyczał– Co do cholery u was dzieje się?! Wartę, broń sama trzyma?! A gdzie wartownik się podział?! Ja was pod sąd wojenny oddam!”

Koledzy stali na baczność, dowódca warty był błąd jak ściana i zapewniał, że osobiście obsadził stanowisko wartownicze studentem– Kazimierzem O. I nie ma pojęcia co się z wartownikiem stało? Nie wyglądał na chorego i nie

meldował, że musi nagle opuścić stanowisko. Obchodu jeszcze nie robił, bo nie minęło piętnaście minut.

Kolegę „dezertera” zastąpiono innym.

Pplk. Steś, człowiek frontowy trochę uspokoił się i rozpoczął długi monolog o obowiązku żołnierza –wartownika, tłumacząc co z tego może wyniknąć.

Studenta, który opuścił wartę już widzi w „kamaszach” i to w karnej kompanii. Tam go nauczą dyscypliny.

Z czasem nasz oficer rozkleił się, bo przypomniały mu się zdarzenia z frontu i chciał się wygadać.

Po około godzinie drzwi się otworzyły i wpadł rozanielony Kazio krzycząc:

–Koledzy nie macie pojęcia co tam było! Jakie to było kazanie! Ile tam było ludzi! Kiedy śpiewaliśmy to cały kościół drżał w...

Nie dokończył kwestii, bo właśnie przed nim stanął Steś z marsową miną i zapytał:

– Dlaczego opuściliście, student, stanowisko?! Gdzie byliście?! Wy jesteście zakałą studium wojskowego Szkoły Inżynierskiej. Was należy wcielić do wojska, byście poznali prawdziwą dyscyplinę!

Student, który nigdy nie mógł nauczyć się stopni wojskowych wypalił:

–Byłem na spotkaniu z Kardynałem Stefanem Wyszyńskim, obywatelu generale! Wszyscy zamarliśmy w oczekiwaniu na najgorsze.

Zamarł i pplk Steś. Popatrzył na studenta, mruknął coś pod nosem, odwrócił się i wyszedł.

Kazio z miną rozkosznego dziecka skwitował:

– Ale mu powiedziałem! No nie, chłopaki?

### ***But i „frajery”***

Któryś raz z rzędu wykradliśmy się z obozu nad Regę.

Tego dnia była nas większa grupa: Staszek Skrobisz (Doktorek), Janek Popielski (Jasiu), Andrzej Sobotko - (UCZAMP - z racji uczestnictwa w Akademickich Mistrzostwach Polski, w trójskoku), Kazio Kopczyński (Szczawik), Błażej Daszyński, Ludwik Zdanowicz- elektryk i piszący.

By dojść do brzegu Regi musieliśmy pokonać kilkaset metrów rozlewiska. Tego lata nie było wody, tylko gęste błoto porośnięte trzcina i kępami traw. Przeskakiwaliśmy z kępy na kępę tak, aby z niej nie spaść. Tuż obok kępy była toń lepkiej mazi i nie wiadomo o jakiej głębokości?

Już prawie dochodziliśmy do upragnionego miejsca „prażenia ciała”, kiedy rozległ się chłupot i siarczyste przekleństwo.

To Ludwik wpadł do błota! Na szczęście tylko jedną nogą, ale po samą pachwinę.

Ludwika wyciągnęliśmy i rozbawieni, szczęśliwi,

„dopadamy” naszego miejsca.

Piorunem rozbieramy się, aby jak najszybciej oddać się pieszcotom promieni słonecznych.

Opalać mamy tylko dolne części ciała, bo górne są już prawie ciemno brązowe. Andrzej zawsze rozbiera się do naga. On twierdzi, że musi mieć opalone wszystkie członki.

(Tym razem przepłacił to wielkimi mękami opalonego, a właściwie przysmażonego „interesu”).

Tylko Ludwik pracował, piorąc spodnie i myjąc dokładnie but wojskowy.

W tym zaciszu, wśród pachnących trzciny i brzęczących owadów, szybko nabieramy kolorów Czerwonych Braci. Spodnie Ludwika po chwili były suche. Tylko but, ustawiony do słońca, nadal był wilgotny!

Dlaczego o tym? Bo to właśnie jest najważniejsze! Zawsze kiedy docieraliśmy do „legowiska” –buty owijamy resztą wojskowego ubioru i dokładnie spinamy pasem, robiąc poręczny pakiecik na wypadek nagłej ewakuacji. Ten ochronny zabieg zrobiliśmy i teraz. Ludwik też wykonał



takie zawiniątko, ale bez jednego buta, który nadal „opalał się” solo.

W każdej chwili mogliśmy spodziewać się patrolu wojskowego. Patrol, takich maruderów ( bumelantów, na one czasy) zgarniał do Komendy Garnizonu i oddawał w łapy profosa (wojskowy kierownik więzienia).

Dlatego zawsze byliśmy gotowi do ...ucieczki. Kiedy byliśmy rozgrzani nieomal do „czerwoności” , nagle usłyszeliśmy , że ktoś już wpadł. Podniesiony głos, pewnie oficera dyżurnego– POWSTAŃ! DOŚĆ OPALANIA SIĘ, UBIERAC SIĘ! –świadczy o tym dobitnie.

Natychmiast skryliśmy się w rzece, dobrze maskując siebie i nasze ubiory w przybrzeżnych zaroślach. Tylko samotny but Ludwika pozostał na swoim miejscu. Z wywalonym jęzorem , wygrzewał się leniwie w słońcu.

Do naszego „obozu” wtargnął żołnierz ( żołdak, jak zwykliśmy nazywać poborowych) . O tym że był służbowo, świadczyła: opaska i pistolet gotowy do .... Chwilę się rozglądał. On wiedział doskonale, że przed chwilą byli tutaj studenci. Poznał to po wygniecionej trawie i zapachu „prażonych” ciał. Przez dłuższą chwilę stał i przypatrywał się szuwarom na rzece. Może nawet coś zauważył, ale nic nie mógł zrobić. Był nie zdecydowany, zastanawiał się. Nagle zauważył samotny but. Już zrobił ruch, jakby chciał kopnąć go do rzeki, ale jeszcze raz popatrzył na szuwały.... tam gdzie byliśmy ukryci, wyjął.... i dokładnie nasikał do buta , wypełniając go po brzegi .Roześmiał się, i ze słowami:” No to cześć frajery!” –poszedł .

Długo jeszcze, z oniemiaenia i dla pewności, siedzieliśmy w wodzie. Ludwik, but musiał dokładnie „prać”, a przy tym siarczyście kłął. Do obozu przybiegł w mokrym obuwiu!

### ***Dziewczyna szpiegiem***

Na obozie, politruk opowiadał o dziewczynie, która chodząc z żołnierzem, wyciągała od niego różne wiadomości wojskowe. Została złapana, oskarżona o szpiegostwo i skazana.

Na koniec pogadanki oficer użył mocnego akcentu .

– Nie myślcie ,że ona poleciała na jego żołnierskiego kutasa !  
O, nie! Ona leciała na tajemnice wojskowe! Rozumiecie?!

### ***Zanik pamięci***

Czy pamiętacie Włodka jak deklamował w amfiteatrze wojskowym w Mrzeżynie? A deklamował bo chciał się zrehabilitować za areszt ścisły. Recytował wiersz Majakowskiego, I kiedy doszedł do słowa „rewolucjo” wyrzucił ręce do góry ... i tak zmarł.....

Stał z tymi rękami wzniesionymi do nieba, jak ksiądz Skarga albo Mojżesz schodzący z góry Synaj i nic nie mógł wydobyć ze swojej pamięci. Stałby zmarły w bezruchu jeszcze długo gdybyśmy go nie ściągnęli ze sceny.

### ***Czołem telu...(na poligonie)***

Fragment kabaretu „Pimpuś”? Taka parodia wojska.....  
Przed szeregiem stoi kapral i krzyczy: –pułkownik z wami się wita! „Czołem żołnierze!” , A wojsko: HAU, HAU, HAU!  
Śmiesznie było dopiero nazajutrz, kiedy wszystkie pododdziały ćwiczyły powitanie.

Kapral: – Generał z wami się wita „ Czołem żołnierze!” i natychmiast krzychał – Ale ja wam dam ! HAU, HAU , HAU!

### ***Brydź to..?***

Jednokomórkowiec – politruk, w czasie wstępnej rozmowy na obozie nas ostrzegął:

- I żadnego mi tu kartograjstwa!
- To w brydża też nie można? –zapytaliśmy.
- W brydża ? W brydża , można!

Po dwóch dniach zostajemy nakryci na grze w pokera. Gramy na papierosy.

- Mówiłem, żadnego kartograjstwa.
- Ja się pytałem czy można grać w brydża, obywatelu poruczniku i wyście zezwolili! –mówi Olek.
- A brydź, to gra w karty?
- Nie ! To gra, przy pomocy kart!
- A dlaczego?
- Tego nie wiem. Tak wymyślili, inaczej się nie da.
- Aha!?

### ***Porucznik- „ Kurska Gubernia”***

Bateria była w terenie , a my mieliśmy służbę w rejonie zakwaterowania.

A „ten”(politruk) pętał się po namiotach i marudził.

– Ładnie– mówił– wizytówki na łózkach są , ale gdzie jest imię ojca, no, OTCZESTWO?

Tłumaczyliśmy, że uzupełnimy jak wojsko wróci z ćwiczeń.

A ”ten” się upierał, że muszą być natychmiast.

–Za godzinę, ma to być uzupełnione!- rozkazał.

Wpadliśmy na szatański pomysł i dorabialiśmy imię ojca .

Był: Kalasanty, Epifaniusz, Eustachy, Euzebiusz, Filozof, Bonawentura, Ksawery.

Jasio Karaś był nawet synem– Tylizjusza.

Imion było 120, a żadne nie powtarzało się!

Po godzinie przyszedł politruk, popatrzył i.....

–No i co? Sami widzicie. Wam jak się popędzi kota, to i zrobić potraficie!  
Wojsko po powrocie z ćwiczeń , tarzało się z uciechy.

### ***Śpiew nad śpiewy***

Zygmunt Ossowski nauczył nas pięknej piosenki – „chłopcy ahaj” Często ją śpiewaliśmy w marszu, ale szczególnie pięknie wychodziła nam ona.... kiedy przechodziliśmy koło tak zwanego pierdła. U profosa „staż mieli” nasi koledzy: Kazik Drozd i Włodek Kryński. Odbywali karę za opalenie się nad Regą i łowienie ryb, no i dali się złapać. Twierdzili, że w czasie pobytu w pierdłu, uczyli innych grać w brydża i wtedy ( kiedy nas słyszeli) mówili im: Słuchajcie aresztanci, tak! śpiewa nasze wojsko!

### ***Biegnijta, biegnijta!***

Na pierwszy obóz wojskowy do Mrzeżyna jechaliśmy kilkanaście godzin, chociaż odległość od Szczecina nie była wielka. Tak trzeba- mówili nasi oficerowie. Wojsko musi przyzwyczajać się do trudu żołnierskiego. Jechaliśmy w wagonach bydłowych, częściowo przygotowanych dla takich pasażerów jak my. Ławki i miejsce do leżenia wykonano z desek, oczywiście nie struganych , aby było jeszcze trudniej znieść podróż. Do Trzebiatowa przybyliśmy rano. Dalszą podróż do obozu, po kamienistej drodze, około jedenaście kilometrów, odbywaliśmy samochodami ZIS. Trzęsło jak cholera, a my i tak byliśmy porządnie zmęczeni , nieogoleni i głodni. Widok zamykanych za nami rogatek obozu , nie był przyjemny, ale byliśmy młodzi i pełni radości wewnętrznej. Nic nas nie mogło złamać. Nawet wojsko!...

W magazynie otrzymaliśmy worki do których wkładaliśmy po kolei ; buty, mundur , pasy, raportówkę , koszulę i „ dynamówki”, onuce , rogatywkę, płaszcz sukieny ( mimo lata), manierkę, menażkę z niezbędnikiem, chusteczki, pastę i coś w rodzaju szczotki, ręcznik, a właściwie ścierkę i getry. Tak wyposażeni szliśmy w szyku do łaźni. Tam czynne były tylko, dwa „sitka” i jedna rura bez prysznic, a nas było ponad stu. Szybsi już rozebrani i namydleni, stali pod strumieniem. Inni, też nadzy, usiłowali dopchnąć się do wody, lecz to... było niemożliwe. Najpierw popłynął wrzątek. Wszyscy odskoczyli oparzeni. Krzyczeliśmy, że woda jest za gorąca! Popłynęła natychmiast zimna. Znowu krzyczymy, że zimna! I w tej chwili wody zabrakło. Namydleni staliśmy bezradni i żądaliśmy wody. Inni, dopiero rozpoczęli mycie, a jeszcze inni nawet kropli wody nie złapali. Tumult, krzyki, przekleństwa i... bezsilność. Nagle, jak spod ziemi wyrosli „bogowie wojny” – kaprale. Chyba specjalnie wybierano ich z gromady najgorszych sadystów, aby mogli dać wycisk zarozumiałym studentom. Oni to, wypędzili nas wszystkich na zewnątrz, uformowali kolumnę marszową, wydali komendę: –Kierunek morze, biegiem marsz! Zaczęliśmy biec! A musiał to być widok wspaniały i komiczny! Biegnące, namydłone golasy, które trzymały w jednej ręce worek z ciuchami wojskowymi, a w drugiej ubiory cywilne wraz tobołkami oraz walizkami.... i pokonujący nadmorski las z ostrą ściółką. Biegliliśmy, a suche szyszki wbijały się nam w nagie stopy, gubiliśmy worki, buty cywilne. Komuś nawet otworzyła się waliza i wyleciała wałówka. Ktoś się potknął i leżał, a innemu rozsypało się po igliwiu wszystko co posiadał !

Kaprale tylko śmieli się i krzyczeli– Naprzód! Biegnijta!  
Biegnijta ! My będziemy za wami wszystko zbierać!  
Już widzieliśmy morze! Już niedługo. Zaraz będziemy mogli  
zanurzyć się i popływać!  
Wreszcie dobiegamy. Wszystko pozostawiamy w nieładzie na  
plaży , a sami ... wpadamy do morza, które było spokojne.  
Kaprale „wydzierają się” , że nam nie wolno daleko, wolno  
tylko do pępka!  
Pada rozkaz: „ Siad– powstań!”, „Siad –powstań!”. Tak kilka  
razy.  
Zaraz po tym kaprale uznali, że wojsko było wystarczająco  
umyte i może przystąpić do nakładania wojskowego ubioru.  
Dodawali:  
– Za pięć minut każdy jest ubrany i staje w szeregu, a kto nie  
zdąży, ten nas popamięta.  
Sceny dantejskie, to „pryszcz” w porównaniu z tym co tam się  
działo.  
Wszyscy biegali i krzyczeli, wymieniali mundury, buty  
rogatywki. A trzeba dodać, że nic a nic, nie pasowało.  
Wszystko musieliśmy dopasowywać i kilkakrotnie wymieniał  
z innymi kolegami. Buty były z tak zwanego demobilu.  
Mocno sfatygowane, noszone już przez wojsko. Nie wiadomo  
na jakich nogach siedziały? Nikt się tym nie przejmował.  
Wielu z nas nie umiało poradzić sobie z onucami. Nigdy  
czegoś takiego nie nakładali. Owijali je tak ,że później stopy  
nie mogli wsunąć do buta.  
Koledzy o dużych stopach, pozostali bez butów. Wojskowe  
buty nie pasowały i musieli pozostać w tenisówkach lub  
„pepegach”.  
Kaprale, widząc , że ich rozkazy były na nic , stali bezradnie i  
dziwili się ,że ci uczeni studenci, to takie zasrane fajtlapy!  
Ubieranie trwało znacznie dłużej niż zapowiadali kaprale.  
W końcu po „ubraniu” wojska, które wyglądało żałośnie,  
uformowano kolumnę i ze śpiewem poprowadzono w rejon  
zakwaterowania, do namiotów. Tam nas podzielono i

przydzielono do namiotu. Łóżko każdy mógł wybrać sobie sam. Dobieraliśmy się według przyjaźni lub sympatii. Udzielono też wszelkich instrukcji: siania łóżek, pobudki, capstrzyku i innych zachowań w obozowisku i poprowadzono do stołówki na obiad. Później, aż do kolacji mieliśmy zajęcia wyłącznie w miejscu zakwaterowania. Przygotowywaliśmy obóz do miesięcznego pobytu. Po kolacji i apelu każdy z nas chętnie położył głowę na twardej poduszce wojskowej. Byliśmy mocno zmęczeni i.... przerażeni. Rano skoro świt, ostre krzyki „Pobudka!”, „Pobudka”, postawiły nas na równe nogi. Jak się okazało spaliśmy „twardo”. W nocy biednych studentów ograbiono! Zginęło: kilka płaszczy, kilka par butów, rogatywki i inny sprzęt wojskowy. Za braki wówczas trzeba było płacić i to znaczne kwoty. W ten idiotyczny, nieludzki sposób, stare wojsko idące do cywila lub wracające z poligonu, uzupełniało swoje braki w wyposażeniu. Potwierdziło się również porzekadło, że nieszczęścia zawsze chodzą parami. Okazało się, że wielu naszych kolegów miało otarte stopy i musieli złożyć wizytę lekarzowi wojskowemu. Oni to właśnie, tak nieumiejętnie owijali onuce, że zawinęli je razem z piaskiem plaży. Przez kilka kolejnych dni przedstawialiśmy żalosne wojsko. Dziwnie ubrani w niedopasowane mundury i z... pepegami na nogach. Bywało, że student-wojak, na jednej nodze miał but wojskowy, a na drugiej tenisówkę (but tekstylny-gumowy). Medycyna wojskowa w tym czasie wszelkie otarcia zalepiła plastrem i twierdziła, że żadne zarazki tam nie wejdą. Czy wyobrażacie sobie jak to „wojsko” szło krokiem defiladowym?! Widok musiał być arcy-komiczny! Dopiero, po kilku dniach wojsko wyglądało jak wojsko. Nigdy nie przypuszczałem, że zmiana ubioru cywilnego na wojskowy może być dodatkową atrakcją. Po nałożeniu

mundurów, poszukiwałem kolegi i wołałem na cały głos –  
Janek! Janek!

–Nie drzyj się–tutaj jestem. Jasio stał przy mnie.

Szybko nabieraliśmy wojskowej „ogłady”. Po miesięcznym pobycie ,wśród kilkunastu tysięcy wojska, byliśmy tak dobrze wyszkoleni , że w czasie zdawaniu wyposażenia wojskowego do magazynu, przynieśliśmy dodatkowe wyposażenie dla co najmniej plutonu, a nasz szef baterii był oszołomiony naszą zapobiegliwością i powtarzał; „Chłopaki, gdybym ja miał cały czas takie wojsko, to...”  
Wojsko i życie, wszystkiego nauczą każdego.

*Julek Kacprzak opisał to zdarzenie przyjazdu do Trzebiatowa wierszem, ale zachował się ( szkoda) tylko fragment:*

*A w Trzebiatowie na prześlicznej łące  
Niczym turyści, obóz rozłożyli  
I tylko ranne widziało ich słońce  
Jak w brydża grali, w strumyku się myli.....*

## **Żarcie**

Byliśmy wyjątkowo żarłoczną „bandą”. Po całodziennym obcowaniu z przyrodą i po długim marszu lub ćwiczeniach, każdy z nas mógłby zjeść konia z kopytami. Posiłki na obozie były raczej skromne, wydawane w wyznaczonych porach. Smakowało wszystko, oczywiście dopiero po paru dniach. Nawet robaki pływające po powierzchni zupy nie były takie straszne. Zupy gotowane były z różnych składników i chyba na takiej zasadzie: co zepsute, to do kotła. Dlatego nigdy nie można było określić rodzaju zupy, bo była z: makaronem, kaszą, grochem nie łuskanym, fasolą ziemniakami i kapustą. Czasem pływał jakiś kawałek wołu. Przed zjedzeniem tej gęstej „pački”, należało pozbyć się „kożucha” robactwa. Później, można było jeść to danie.



Drugie dania były przywiązane do poszczególnych dni tygodnia.

Prócz ziemniaków i kaszy, śledzie były w poniedziałki i piątki. We wtorek był gotowany boczek. W środę serwowano „sztukę mięsa”.

To dopiero była sztuka kulinarna kuchni żołnierskiej. Czasem trudno było ją zjeść, a najtrudniej, najeść się tą ilością. Była bardzo mała.

W czwartek ( dzień konia), na talerzu (blaszanym i mytym tylko zimną wodą) lądował „ kawał!” kielbasy, tak krojony, że wydawało się iż jest duży. W rzeczywistości był to prawie listek ,o mocno zaniżonej wadze.

No, cóż ktoś musiał żyć przy wojsku.

Sobota była pod znakiem jajek na twardo w sosie musztardowym.

Tylko niedziela dostarczała nam doznań smakowych i świątecznych. W niedzielę niezmiennie podawano kotlet mielony( przegląd tygodnia) z pulpą czerwonych buraczków. Był nawet sos lub skwarki. To było święto!

Na nadejście niedzieli oczekiwaliśmy z utęsknieniem. Nie tylko z uwagi na kotlet mielony! Obok upragnionego kotleta, na pierwsze danie podawano, zupę pomidorową.

Byli tacy , którzy ją uwielbiali i mogli nawet poświęcić dla niej zdrowie!

Właśnie pewnej niedzieli podano taką zupę, a jeden: z Wydziału Elektrycznego założył się z grupą kolegów, że za kilkanaście paczek papierosów („Wczasowe”), zje cztery miski tego specjału. Trzeba wyjaśnić, że pojemność miski wynosiła ponad półtora litra. Zawodnik siadł na murku, na zewnątrz stołówki, przed nim piętrzył się pokaźny stosik papierosów, a on jadł zupę przy dopingu całej baterii.

Umyślni tylko donosili następne miski, wypełnione po sam brzeg.

Nasz bohater jadł coraz wolniej, a gawiedź dopingowała coraz głośniej.

Kiedy kończył opróżniać czwartą miskę, nagle ją odstawił ,  
chwycił stos papierosów i umknął do lasu.

Zakład wygrał, ze zdrowiem było gorzej.

Nigdy więcej nie jadł –pomidorowej!

Śniadania i kolacje były standardowe. Rano, czarna słodzona  
lura zwana kawą, chleb „komiśniak– dźwiękowiec”, lepki jak  
gлина i czarny jak ziemia.

*Dla wyjaśnienia: Dźwiękowiec to: masa podobna do chleba,  
wytwarzająca w organizmie ogromne ilości gazu. Gaz ten  
uchodząc z ... wydaje charakterystyczny dźwięk, stąd nazwa .  
Gaz ów może być używany jako bojowy. Przy sprzyjającym  
wietrze, gwarantował, że nieprzyjaciel (npel) natychmiast  
umknąłby do trzeciego rzędu transzei.*

Chleb ten, po pewnym czasie, noszony w raportówce,  
pomiędzy posiłkami był smaczniejszy od najprzedniejszej  
czekolady.

Chleb smarowaliśmy niby masłem, a może po prostu  
margaryną. Rzadko serwowano twaróg lub ser żółty .

Kolacje były podobne. Zdarzało się ,że na kolację podawano  
bigos. Wtedy w nocy, namioty się unosiły!

Wracając do śledzi, wspominam to wydarzenie, bo jest  
niebywałe.

Na obiad serwowali śledzie duże z głowami i tłuste ale nie  
oczyszczone. Mirek Kononowicz aby oczyścić śledzia uderzał  
zawsze nim o stół. –Tak robiono w Krasnojarskim Kraju –  
mówił.

Nie wszyscy ten przysmak chcieli jeść i oddawali go innym.  
Mirek najadł się do syta, a resztę śledzi zgarnął do menażki i  
zaniósł do obozu. Lodówek na wyposażeniu wówczas nie  
było, a temperatura była wysoka (lato).

Nie zdążył wszystkich śledzi zjeść, bo były zajęcia, wobec  
czego resztę zakopał w namiocie pod swoim łóżkiem,  
uważając by nikt tego nie widział.

Po powrocie, mieszkańców namiotu uderzył potworny, trupi

smród. Zaczęto szukać przyczyny, wymyślając przy tym najpotworniejsze historie. Wyobraźnię, to myśmy mieli! Szukano by długo, gdyby Mirek nie przyznał się do zakopanej menażki. To śledzie wydawały ten niemiły zapach. Sprawcę, pogoniono wraz ze śmierdzącą przyczyną do lasu. Później sprawiono mu porządnego „motyłka”. Biedak cały czas tłumaczył się, że życie na Syberii nauczyło go szacunku dla każdego pokarmu, a dla śledzi szczególnie. W namiocie nie można było wytrzymać i dlatego przez całą noc namiot miał podwinięte boki.

### ***Wszechobecny brud***

Z obozu wojskowego w Mrzeżynie w 1956r pisałem do żony: „Kochana Alu, nie masz pojęcia jaka tutaj panuje „czystość”. Stoły, przy których siadamy do posiłku, kleją się od brudu. „Robale” pływają w zupie, tłuste blaszane miski myjemy w zimnej wodzie, a ręce wycieramy w ..... drelichy (spodnie). Kontrolerzy z SANEPIDU padliby martwi z wrażenia”.

Po wielu latach, zazwyczaj spokojny Gienek Zdun, kiedy wspominaliśmy wojsko, nie wytrzymał i zapytał mnie: –Czy pamiętasz jak byliśmy w drużynie gospodarczej i kazano mi myć kotły ścierką, którą myto podłogę? I jak rzucał się ten gruby sierżant? Groził, że mnie posadzi na kilka dni do pierdła za nie wykonanie rozkazu? Zagroziliśmy jemu, że napiszemy do gazety o braku podstawowej higieny w jego kuchni, bo jeden z nas jest reporterem dziennika, nie mówiąc jakiego? Było zabawnie, kiedy ten worek tłuszczu „wypuścił

powietrze” i polecił wydać nowe ścierki. Prosił także, byśmy niczego nie opisywali?

Od tej pory było trochę czyściej w tej wojskowej kuchni.

### ***Odporny***

Na praktyczne ćwiczenia, strzelania do celów naziemnych (czołgów) zaprowadzono cały nasz skład( ponad setka studentów ), na poligon czołgowy.

Trzy działa artylerii przeciwlotniczej ( kaliber 85mm), osadzone były w działobitniach. Załoga na stanowiskach. Nas rozmieszczono z tyłu dział, w dość bliskiej odległości, byśmy mogli dobrze obserwować jak się strzela do makiet– czołgów, które kilkaset metrów dalej przemieszczały się po terenie.

My, jak to my. Jedni stali za blisko i tym kazali odsunąć się , inni stali za daleko i tych napominali, że na pewno nic nie skorzystają z nauki. Nauka strzelania dla przyszłych oficerów to tylko..... przyglądanie się!

Nasz najbardziej spokojny kolega – śpioch, Kazio Drozd, położył się tuż obok dział na wrzosach i usnął.

Nie budziliśmy go, aby w chwili oddania salwy armatniej, być świadkami nagłego przebudzenia,

Padła komenda Ładuj!”, a po chwili: – Cel, czołg z prawa. Ognia! Rozległ się potężny huk!

Salwa trzech luf armatnich tego kalibru jest imponująca.

Lufy odskoczyły do tyłu z takim impetem, że gdyby nie oporopowrotniki, poleciałyby z podobną prędkością w kierunku przeciwnym do pocisków. Gazy wyrzucane przez otwarte komory zamkowe, wrywały trawę, a porywając ją wraz z gałązkami, ciskały na nas.

Kilku kolegów , stojących zbyt blisko , musiało poszukiwać rogatywek w zagajniku.

Patrzemy na Kazia, a ten.... w najlepsze śpi! Budzimy go przy pomocy kuksańców, a Kazio na to:

– Co?! Już po strzelaniu?!

### ***Kto wypuścił?!***

Nasz oddział zwany baterią, wracał z ćwiczeń. Zajęcia były wyczerpujące. My byliśmy głodni i nic nam nie pasowało. Rozkaz porucznika: „Bateria śpiewa!” wyraźnie zignorowaliśmy. Nawet nasz etatowy „zapiewajło” – Włodek Kryński nie zareagował! Była cisza, nikt nie rozmawiał. Każdy był myślami gdzieś daleko. Słysząc było jedynie miarowy krok podkutych butów. Droga wiła się wśród pięknego, wyrastającego z wrzosów, nadmorskiego lasu. Powietrze czyste, pachniało igliwem i żywicą! Lekki wiaterek – przyjaciel, popychał nas do obozu. Nagle... kolumna od ostatniej czwórki, aż do pierwszej rozpięzcha się do lasu, a uciekając zlorzeczyła sprawcy zajścia. Ktoś wypuścił okropnego „tchórza” czyli nadmiar dwukapuścianu – grochu. Sprawcą był – mówili: „Szufla”, bo tylko on pozostał na drodze.

### ***Cisza! Podaj dalej..***

Lato było cudowne. Humory nam dopisywały. Szliśmy w kolumnie marszowej do amfiteatru. My – „artyści” mieliśmy ćwiczyć, przed występami z okazji Święta Lipcowego. Głośno śpiewaliśmy – „szumi dokoła las” i nagle... śpiew się urwał. Słysząc było, podawane od czoła: – „cisza, podaj dalej, Bandyta śpi!” Zapada cisza i tylko gwoździe zelówek stukały o bruk. Bruk, z kostki granitowej, ułożony był na podłożu piaszczystym w taki sposób, że jego pobocza były miękkie. Kazio Drozd (Bandyta) szedł w pierwszej czwórce jako prawoskrzydłowy. Kolumna łagodnie skręcała w lewo, a Kazio idzie prosto.

Idzie przez dłuższą chwilę samotnie, aż... noga wpadła mu w miękki piach i Kazio... zbudził się! Wszyscy, tylko na to czekaliśmy!

Wybuchamy gromkim śmiechem. Już nie tworzymy oddziału, tylko kłębowisko ciał, zanoszących się od śmiechu.

Drogą podążał Komendant Zgrupowania (podpułkownik na etacie generała).

Kazał zatrzymać swego „gazika”, chwilę przyglądał się scenie tarzającego się wojska.

Groźnie krzyknął i kazał zaprowadzić porządek.

Przemknął obok nas, z miną rzucającą pioruny gromowładnego Zeusa!

### ***Studenci to nie żołdacy***

Do obozu przyjechał Zespół Domu Wojska Polskiego. Występ miał odbyć się w amfiteatrze polowym. Jak zwykle całym składem szliśmy w zwartej kolumnie. Podeszliśmy do wejścia głównego, a tam tłok, harmider i brak elementarnej organizacji. Żołdactwo wchodziło „na hura”, a my grzecznie staliśmy i czekaliśmy. Nagle jakiś żołnierz potrącił oficera wyższego stopnia, a ten popatrzył groźnie na nas i zapytał innego oficera:

– Co to za wojsko!? I kiedy usłyszał, że są to studenci, zaczął krzyczeć, że: – To banda, nie wojsko! Należy ich natychmiast odesłać do miejsca zakwaterowania!

Byliśmy oburzeni niesprawiedliwością osądu, bo doskonale widzieliśmy kto był przyczyną takiego rozgardiaszu.

Któryś z naszych, stojący bliżej, chciał wyjaśnić, że ten incydent nas nie dotyczy.

Obrażony oficer jeszcze bardziej zaczął krzyczeć i grozić.

Z naszej strony najpierw było nieśmiało– uuuuu... ze stu gardeł.

Oficer coraz głośniej krzyczał.

Wówczas myśmy zaczęli gwizdać i posyłać pod jego adresem słowa... znacznie mocniejsze.

Zrobił się tumult! Staliśmy w zwartej kolumnie , a dookoła nas biegali pobledli oficerowie i coś jeden przez drugiego, krzyczeli.

Znalazł się nawet jakiś pułkownik , który wrzeszczał:

–Czy wy wiecie, na kogo gwizdacie?! Na Dowódcę Zgrupowania! Daję wam słowo, Włodarka was nie minie! (Włodarka –ćwiczenia nocne na mokradłach).

Nagle ktoś przytomny wydał rozkaz:

– Bateria w tył zwrot, kierunek namioty , marsz!

Z chwilą przybycia do namiotów rozpetęła się potężna burza z wyładowaniami. Występy zostały odwołane.

Włodarka nas ominęła!

Widocznie Komendant doszedł do wniosku, że na gwizdy i epitety, podwójnie zasłużył.

### ***Bombardier i żaba***

W naszej baterii studenckiej różnica wieku była ogromna– 8 lat ( najstarszy z 28r., najmłodszy z 36r.). Jedni to poważni mężczyźni z doświadczeniem, a drudzy– jeszcze dzieci, których trzymają się różne psikusy.

Wśród nas był kolega , który dopiero na obozie przyznał się i udokumentował, że ma stopień wojskowy– bombardiera (st. strzelca). Jemu kazali założyć pasek i od tej pory wchodził w skład kadry podoficerskiej.

Kaprale mieli wygodę. Często jemu, czyli „bombowcowi” jak zwykliśmy nazywać naszego kolegę, powierzali nadzór nad baterią.

Wszystko byłoby OK. gdyby nie to, że „władzy” zawsze trzeba dokuczyć.

Na zajęciach w terenie, czasem były przerwy. Wtedy opalaliśmy się(jedynie do połowy), spaliliśmy, bo snu mieliśmy

wyraźnie za mało. Zasnął wtedy i nasz „dowódca” – bombardier.

Leżeliśmy na trawie nieopodal mokradeł przy Redze i małe żabki, których było zatrzęsienie, wskakiwały na nasze zielone mundury, biorąc je za trawę.

Jedna taka „piękna żaba” wpadła w sidła jakiegoś żartownisia (chyba Motorka– Bogusia Jaworskiego), który wcześniej odkręcił korek od manierki bombardiera i puścił żabkę do środka.

Kiedy później, nasz bombardier chciał się napić czarnej lury z manierki, do ust z lurą wpłynęła... żaba. Szczęście, że się nie zakrztusił. Żart był sztubacki. Śmiechu było wiele. Kolega już nigdy nie chciał dowodzić baterią.

### ***Cowboy i oficer***

Pawce ( Pawłowi Topolińskiemu) oficer podczas strzelania z broni krótkiej– pistoletu TT, zwracał uwagę, że nie jest kowbojem i powinien strzelać z wyciągniętej ręki, oczywiście celując!

Paweł w tym czasie strzelał... z biodra, a usłyszawszy, że ktoś coś mówi, odwrócił się trzymając pistolet wycelowany w oficera i zapytał: – O co chodzi?!

Rozkaz „Rzuć broń! Rzuć broń!”, słyszał z wysokości swoich butów. Oficer, jak długi ,leżał u jego stóp!

### ***Nie matura, lecz chęć.....***

Najzabawniejszą była nauka własna, połączona z pogadankami oficera politruka. Oficer był z tej kategorii oficerów, co to: „Nie matura ,lecz chęć szczerą, zrobi z ciebie oficera” My do tego dorobiliśmy zakończenie: „ Nie pomogą szczerą chęć z gówna gwiazdki nie ukręcisz!”.



Ta ostatnia sentencja pasowała do niego jak ulał!  
Ten dopiero, dawał się studentom zrobić w tzw. "konia" i wpuszczać w maliny!  
Siedzieliśmy w namiocie specjalnie przeznaczonym do nauki własnej. Zeszyty ( notatki – „przesnurowane” i zalakowane) leżały przed nami. Zespół dyskusyjny (kilku studentów do prowadzenia dialogu z oficerem) był przez nas wyznaczony i gotowy do zadawania pytań.  
Reszta wojska zajmowała się własnymi sprawami: pisanie listów, czytaniem książek, grą w brydża lub... spaniem.  
Oficer „trzymał” temat: Bohaterstwo, patriotyzm i konieczność oddania życia dla słusznej sprawy.  
Jako przykładem posłużył się znaną sprawą Matrosowa, bohatera radzieckiego, który rzucił się na gniazdo karabinu maszynowego, aby uchronić współtowarzyszy przed niechybną śmiercią i wygrać potyczkę. Jednocześnie dodał:  
– Czy wy, studenci wiecie, że mundur Matrosowa jest w muzeum, a on sam jest nadal na stanie tej jednostki w której walczył ?!  
Jeden z naszych kolegów, z zespołu dyżurnego natychmiast zadał politrukowi pytanie.  
– Obywatelu poruczniku , wyjaśnijcie nam problem pozostawienia Matrosowa na stanie jednostki. Czy to znaczy , że on otrzymuje przydział wojskowy tak jak każdy inny żołnierz? A jeżeli tak, to znaczy, że otrzymuje również wyżywienie. Wobec tego gdzie to jedzenie codziennie jemu noszą?”  
–Jak to, gdzie? –odpowiedział porucznik– Oczywiście ,że do muzeum ! Tam gdzie jest jego mundur!  
Nasz „dociekliwy” tylko na to czekał i pytał dalej.  
– Co z tym robią? Może posiłki te ktoś zjada? A może zlewają do... jakiejś beczki?  
Porucznik nie zorientował się , że popełnił gafę i ciągnął dalej.  
– No, chyba zlewają do beczki.

– A co później z tym robią –drażył dalej „dociekliwy” – kiedy beczka jest już pełna?

– Jak to co!?! -krzyknął, zniecierpliwiony porucznik- Wy student, wydawałoby się człowiek wykształcony i nie wiecie, że jedzenie się psuje i trzeba go wylać świniom?!

### ***Tylko komary....***

W obozie była inspekcja Dowództwa Wojsk Obrony Kraju. Wizytował obóz jakiś kapitan, przy którym nawet pułkownicy byli mali.

My – wojsko– studenci mieliśmy to gdzieś.

Dla nas to tylko jeszcze jedno nieważne wydarzenie.

Staliśmy obok namiotów, paliliśmy papierosy i opędzaliśmy się od komarów , które latały całymi chmurami, a były tak krwiożercze i natrętne, że nie pomagał nawet gęsty dym „Wczasowych”. Dlatego postawiliśmy kołnierze drelichów , by choć trochę osłonić nie zasłonięte szyje.

Delegacja oficerów chodziła od namiotu do namiotu i oglądała, coś komentowała, zadawała pytania i oczekiwała odpowiedzi.

Inspektorzy podeszli również i do nas, a kapitan– wizytator zapytał:

– Co wam żołnierze zimno, że macie poniesione kołnierze?

– Nie, nie jest zimno– odpowiedział nasz olbrzymi Rysio Zambrzycki– tylko komary jak byki, nas rypią, obywatelu kapitanie!

### ***Daleko, a nie sami***

Pewnej lipcowej niedzieli kąpaliśmy się w morzu. Wiała piątka, a my staraliśmy się wchodzić na taką głębokość,

by można było trochę popływać. Jednak było to niemożliwe. Po plaży chodził, całkowicie ubrany nasz kapral– ratownik, dla którego głębokość po pępek to już głębokość wystarczająca. Stale to powtarzał i egzekwował. My, oczywiście hasaliśmy nago, bo kto by nakładał „wyfasowane” spodnie o bardzo długich nogawkach, koloru brudno – niebieskiego, zwane „dynamówkami”. (Nie wiecie co to takiego? Zapytajcie starszych, oni wiedzą). Zabawa była przednia. Antek Karczewski i Rysiek Zambrzycki udawali korsarzy– rozbitków. Wysocy, barczyści o czarnych zwichrzonych czuprynach, ubrani w długie postrzępione koszule wojskowe, w rękach trzymali, na kształt maczug, jakieś wyrzucone przez morze konary i zapędzali do wody klękających przed nimi „piętaszków”. Zdjęcia robił nasz fotograf –Tadzio Krawczuk, zwany „Foto –Takra”

Myśleliśmy, że plaża aż po horyzont jest nasza . Nie wiedzieliśmy się, że jesteśmy dokładnie oglądani i nawet komentowane są nasze „ wdzięki”.

Oglądani byliśmy z odległej plaży: „ damskiej załogi zgrupowania”( żony i narzeczone i dzieci kadry oficerskiej). „Załoga” ta wyposażona w dobre lornetki plot (przeciwlotnicze), miała wyraźną przewagę nad nami.

Po paru dniach, na apelu odczytano nam rozkaz specjalny komendanta Zgrupowania Wojsk Plot:

–Rozkazuję, aby wojsko w czasie kąpieli było ubrane i nie hasało z gołymi pałami po plaży.

### ***Prawdziwa integracja***

Lokalizacja obozu wojskowego dla studentów obok mokradeł, to jeszcze jeden dowód na to, że nie byliśmy lubiani przez kadrę. Stale nam udowodniano, że wojsko nie jest dla inteligencji.

Lato było bardzo ciepłe i mokre. Roje komarów krążyły nad obozowiskiem, przysłaniając słońce. A komary były, jak mawialiśmy: „okazowe”. One to potrafiły przebić swoim rykiem : dwa koce i „płaszcz– pałatkę”, którą dodatkowo przykrywamy się w nocy, bo noc na odmianę były chłodne i wilgotne. Przed snem, dokładnie zamykaliśmy namioty, by te krwiożercze owady nie mogły nas pożerać na żywo. Szczelne sznurowanie namiotów miało też swoje złe strony. Wojsko karmiło nas „ materiałem gazo–pędnym”, a przede wszystkim kapustą, grochem i ciemnym razowcem. Ten zestaw dopiero wzdymał! Namioty szybowwały by, gdyby nie to, że były przytwierdzone do podłoża. Pomimo tego, że w namiocie był stężony „ dwukapuścian grochu i komiśniaku”, komary, a właściwie ich samice harcowały, bucząc niemiłosiernie, wzbudzały strach przed ukłuciem. Poranna pobudka była wybawieniem i zarazem zgrozą, bo oto trzeba było odsłonić tą część ciała, którą w języku północno-morawskim „zowią zadnicą”, a która dla komarów była najsmaczniejsza. Wydalanie zatem było największą torturą dla biednego żołnierza– studenta. By wspiąć się na drągi tzw. latryny, musiał jedną ręką trzymać spodnie , a druga osłaniać „klejnoty rodzinne”. One to, były atakowane natychmiast i to bardzo skutecznie! Odsłonięta część ciała, zwisająca nad dołem kloacznym ,była całkowicie bezbronna. Na pomoc czasem przychodził przyjaciel i gałązką odpędzał te natrętne owady. Później była zmiana. W ten sposób umacniały się przyjaźnie , które trwają po dzień dzisiejszy. A inni dziwią się, że my jesteśmy tacy, zżyci!

### ***Uszczęśliwiony!***

Niedziela, czas odpoczynku i załatwiania swoich spraw. Słońce było już nad koronami drzew, a mimo to, panował poranny chłodek. Mieszały się zapachy cudnego

nadmorskiego lasu z charakterystycznym smrodem żołnierskich przeпоonych butów , skórzanych pasów i starych , stęchłych namiotów. Tylko od strony latryny, od czasu do czasu zalatywało kloaką.

Jedni czyścili buty po wczorajszym brodzeniu po mokradłach, używając pasty zwanej „szuwaks”. Zaradni i regulaminowi uzupełniali gwoździe w zelówkach. Stęsknieni pisali kolejny list, lub dziesiąty raz czytali ten, który wczoraj otrzymali.

„Banda”, Kazika Drozda, siedziała we wrzosach i zawzięcie licytowała. Zygmunt Ossowski grał na gitarze i śpiewał „Marice serce”.

Stojąc pod „ grzybkiem”, bo miałem służbę w obozie, zobaczyłem jak od strony latryny idzie nasz człowiek – olbrzym, Rysiek Zambrzycki.

Jego wygląd daleki był od wyglądu regulaminowego.

Zamiast butów wojskowych, na nogach miał tenisówki (we wszystkich magazynach takiego rozmiaru butów wojskowych nie znaleziono), spodnie były o wiele za krótkie , bluza była mocno opięta i zapięta jedynie na jeden guzik, pod wydatnym brzuszkiem , pas wisiał na szyi, a rogatywkę niósł w ręce, bo i ona była za mała i stale „zjeżdżała” z głowy.

Sam wygląd był komiczny, a co dopiero sytuacja!

Służbę oficera dyżurnego miał malutki chorąży –Sawa.

Wzrostem sięgał trochę powyżej pasa Rysiowi, ale wielki to był służbista. Nie znosił żadnych uchybień regulaminowych. Właśnie dostrzegł studenta. Podbiegł do niego, stanął przed nim i krzyknął: „STUDENT!”. Rysiek wyprężył się.

–Co, wy student!? Co wy robicie...? Z pewnością chciał zapytać ”co wy robicie błazna z siebie?”, a Rysiek, stojąc w postawie zasadniczej, odpalił:

–Wracam!

Skąd wracacie, student?– zapytał groźniej Sawa.

– Z latryny , obywatelu chorąży!– odpowiedział student.

– A jak, student powinien wracać z latryny?!- ze złością zapytał chorąży, a wiadomo , że chodziło mu o wygląd regulaminowy.

– USZCZEŚLIWIONY!!!- huknął jak z armaty nad głową chorążego Rysio.

– Co wy student? Durnia ze mnie robicie?!-zaperzył się chorąży.

Tak jest! – było tylko przejęzyczeniem, bo zaraz Rysio poprawił się:

– Nie! Nie, obywatelu chorąży!

Później były jeszcze jakieś dalsze utarczki słowne, lecz ja ich nie byłem w stanie słyszeć ponieważ padłem w piach i tarzałem się ze śmiechu.

Fama szybko rozniosła to „widowisko” po Zgrupowaniu, czyli obozie.

Zdarzenie było komentowane wśród Kadry Oficerskiej.

Chorąży nagle, gdzieś nam się zapodział!

### ***Mydło***

Już kolejny raz, my konspiratorzy, wybieraliśmy się nad Regę, aby opalać to, czego nie możemy „opiec” podczas przerw pomiędzy zajęciami. Pogoda bezchmurna była tylko nad morzem. O tym zjawisku donosili nasi najbliżsi, którzy do nas pisali, klnąc na zimno i deszcz w głębi kraju.

Nad Regą opalała się duża ilość maruderów.

I trudno by było, aby ktoś nie wpadł w łapy żandarmerii.

Właśnie dowiedzieliśmy się, że nasi koledzy (Kazik Drozd, Włodek Kryński i jeszcze czterech innych) wpadli i zostali aresztowani.

W tym czasie, nad Krajem Rad, latały amerykańskie samoloty szpiegowskie U2. Atmosfera w wojsku była napięta.

A napięcie było jeszcze bardziej potęgowane przez różnych politruków.

Fakt wpadki naszych kolegów został wykorzystany dla celów propagandowych.

Z naszej baterii utworzono czworobok i kazano usiąść na trawie.

Złowionych kolegów posadzono w środku. Nad nimi, prócz naszych dowódców stanął major –politruk , który swój monolog rozpoczął od nazwania aresztantów „mydłem”.

Tak właśnie wyraził się o naszych kolegach.

Patrzyliśmy na tego oficera z wielkim politowaniem.

Major grzmiał, że „oni zamiast być czujni, kiedy amerykański imperialista lata nad bratnim krajem, bumelują. Oni , to mydło, zasługują na areszt ścisły– zakończył swoją mowę oficer polityczny.

W areszcie nasi koledzy(tylko dwaj, reszta miała odbywać karę po obozie) uczyli współwięźniów gry w brydża. Grali na betonowej posadzce , tylko w przerwach, pomiędzy jednym i drugim zlewaniem jej wodą przez złośliwych „klawiszów”.

Prycze w czasie dnia były przytwierdzone do ściany.

Nasi skazani od tej pory chodzili z czołem uniesionym wysoko i każdemu oznajmiali, że tylko oni są prawdziwymi żołnierzami, bo tylko oni przeszli chrzest bojowy, czyli siedzieli w pierdłu.

### ***Alarm***

O trzeciej rano alarm! Zrywamy się i pośpiesznie ubieramy. Załadunek na samochody odbywał się w pełnym oporządzeniu z bronią w rękę. Działa były już przypięte do ZIS'ów, a my sadowimy się na skrzyniach z amunicją. Noc była deszczowa. Ołowiane chmurzy wisiały tuż nad naszymi głowami. Jedziemy w nieznane. Nagle... padła komenda:

– Z wozu! Czołgi z lewej! Do boju!”

Zeskakujemy. Broń wyraźnie nam przeszkadza. Odczepiamy

działa sadowimy je na „kociach łbach”. Po obu stronach drogi rozpościerają się szerokie mokradła. Ktoś zameldował:

– Gotowe! Działon na swoich miejscach, armaty załadowane!

Padła komenda:

–Cel, czołg z prawa! Ognia!

Odpalamy, cel zniszczony. „Odbój”. Już świta.

Wysłany zwiad organizuje WPO ( wysunięty punkt obserwacyjny) i melduje: „W kwadracie X ściernisko, dobre miejsce do zorganizowania stanowisk bojowych baterii”.

Zajeżdżają wozy z działami. Ściernisko maksymalnie nasiąknięte wodą. Wozy i działa grzęzną po osie. Zaczynamy kopać działobitnie. Obfity deszcz pada ciągle.

Plaszcz-pałatki już nie chronią przed deszczem, są tylko utrapieniem, ciężkim od wody. Stoimy w kałużach.

W butach chłupie. Działa do działobitni wnosimy , bo nie sposób ich wepchnąć– grzęzną.

W tym bojowym zapale, koło od działu (4,5 tony) przygniata studentowi nogę. Potwornie krzyczy! Natychmiast podnosimy działo i wyciągamy poszkodowanego. Sanitariuszy na tej wojnie nie ma. Nie przewidziano służby sanitarnej.

Dowódca pozostawia wojsko pod opieką kaprali, a sam gazikiem pędzi z rannym do szpitala, do Trzebiatowa!

My pod dowództwem zniechędzonych kaprali nadał walczymy.

Ze stanowiska dalmierza i przyrządu centralnego stale podają dane i komendy.

Wróg jest cholernie perfidny. Posiada wszystkie rodzaje broni.

Czołgi i samoloty ukazują się niemal z każdej strony.

Uwijamy się jak w ukropie. Niszczymy cele naziemne i jednocześnie walczymy z samolotami.

Piechotę, która atakuje od lasu, przyciskamy do ziemi.

Walczymy już tak kilkadziesiąt minut .

Z WPO nadają przez radiostację, że z kierunku północnego, dotychczas spokojnego naciera zagon czołgów ciężkich,



z zachodniego, atakują samoloty , a środkiem ....gna pluton długonogich i cycatych dziewcząt– dodaje dowcipnie meldujący (Kazio Kubiak).

Kaprała odbierającego meldunek zamurowało.

– Przerwać łączność! - krzyczy.

– Kto wam pozwolił na nadawanie meldunków pełnym tekstem?! To jest niezgodne z regulaminem! Podajcie swoje nazwisko student. Staniecie do raportu karnego!

– Co wy kapralu, czy nie wiecie , że to, jest niezgodne z regulaminem?! – odpowiada nadający.

Ta dyskusja , tym razem pełnym tekstem, trwałaby znacznie dłużej , ale studenci na WPO postanowili zakpić sobie z namolnego kaprała.

Kiedy ten wywoływał radiostację na WPO i powtarzał :

– Odra, Odra... Słyszysz mnie? Słyszysz mnie!?

I pada odpowiedź:

–Wisła, Wisła, nie słyszę ciebie, nie słyszę ... ale widzę... nawet dobrze ciebie widzę!

### ***Wolny krok, wolny krok!***

Każdy dzień na obozie wojskowym obfitował w jakieś wydarzenie, a one były różne. Czasem bardzo poważne, o których nie warto wspominać. Czasem mniej poważne i głupio „podane”. Te znajdują miejsce w naszych wspomnieniach.

Były też „tragicznie” śmieszne, które najchętniej wspominamy, bo one oddają atmosferę tamtych lat.

Poglądy na wojsko były wówczas różne. Inne mieli ci, którzy służyli w wojsku , a inne mieli studenci. Studenci traktowali wojsko poważnie na swój sposób. To co zasługiwało na powagę, było poważanie traktowane, ale każdą głupotę i wszelkie braki, wyśmiewaliśmy w tylko sobie znany sposób. I biada temu ,który dawał robić się w „bambuko”!

Pewnego razu nasza bateria lekceważąco wykonywała rozkazy wyjątkowo złośliwego kaprała. Kaprał miał z pewnością trudne dzieciństwo i wyżywał się na nas. Miał jakiś uraz do studentów i miał... władzę. Stale powtarzał, że „on nam pokaże, co to jest wojsko!”

Zaprowadził nas na wysoki brzeg morski, stanął na jego szczycie i zarządził zbiórkę na plaży, i kiedy tam byliśmy ustawieni w dwuszeregu, rozkazał wykonać to samo na wydmie. Kilkakrotnie zbiegaliśmy po stromiźnie na dół, by po chwili gramolić się na szczyt. Piasku w butach mieliśmy pod dostatkiem.

Porządnie nas męczył, ale ćwiczenia wykonywaliśmy w idealnej ciszy, nie licząc głośnego sapania. Kaprała ten spokój, jeszcze bardziej podniecał i jeszcze szybciej wydawał rozkazy.

W końcu i on był zmęczony. Uformował oddział i ruszyliśmy do obozu. Do pokonania mieliśmy kilka kilometrów brukowanej drogi. Ktoś zaproponował kapralowi chwilowy odpoczynek, dla wysypania piasku z butów i przewinięcia onuc. Kaprał jakby tego nie usłyszał, wydał rozkaz „Bateria śpiewa!”. Rozkaz ten powtarzał kilkakrotnie. A nie doczekawszy się jego realizacji, krzyknął:

–Bateria, biegiem marsz!”

Najpierw biegliśmy miarowo. Kaprał szedł z tyłu, a odległość między nami rosła. Kaprał krzyknął:

– Wolny krok!

My w tym momencie, przyspieszyliśmy bieg.

Biegliśmy coraz szybciej.

Kaprał wrzeszczał: –Wolny krok! Wolny krok!

A my biegliśmy coraz szybciej.

Dopiero po około kilometrze powaliliśmy się na trawie, zdejmując buty.

Kaprał, po dłuższej chwili przybiegł zziąjany i nic nie mówiąc, położył się obok nas głęboko dysząc.

Od tej pory , był to nie ten sam kapral. Mocno pracował nad sobą. Zmienił się i wydawał rozkazy tylko potrzebne.

### ***Sinus i wojna***

Na wykład z teorii strzelania z armat przeciwlotniczych, kaliber 85 mm, do celów powietrznych i naziemnych, przyszedł młody podporucznik. Był w naszym wieku. Szkołę oficerską skończył dwa miesiące temu– tak nam oznajmił tuż przed wykładem. Traktowaliśmy go sympatycznie i nawet przyjaźnie.

Wykład musiał być poparty prostymi wyliczeniami kąta wzniosu (lufy działa) i odległości trafienia celu. Nasz młody wykładowca tak się zagalopował, że obliczona przez niego wartość sinusa wyszła większa od jedności.

Ktoś z pierwszego rzędu zwrócił mu uwagę, że sinus może mieć najwyżej wartość– jeden. Oficer najpierw spojrzął do konspektu, później na tablicę i znowu do konspektu i nie znajdując wytłumaczenia pomyłki, powiedział:

– Studenci, wy z pewnością macie rację, że sinus powinien mieć wartość – jeden, ale tylko w czasie pokoju.

Bo podczas wojny, kiedy trwa zażarta walka, to on, nawet do pięciu dochodzi!

### ***Trajektoria***

Oficer tłumaczy co to jest tor lotu pocisku, ale używa terminu– trajektoria. Tak ma napisane w regulaminie wojskowym i tego się twardo trzyma. Siedzący w pierwszej ławce (chyba Zbyszek Gniewoszewski) kilkakrotnie poprawiał wykładowcę i mówił, że po polsku , jest to– tor lotu pocisku.

– Co wy mi tu z tym torem lotu?- zachnął się porucznik.

Tor lotu może mieć wrona, albo inny ptak, a pocisk leci po trajektorii! Rozumiecie student?! Po tra..jek..to..rii!”

Kpiarz Morda , kiedy to usłyszał, zapytał oficera, czy trajektorię widać?

– Co, wy student?! Ona jest ale jej nie widać. Widzieliście jaja u komara? On je ma, ale ich nie widać. Prawda? Trajektorია jest, ale jej oczywiście nie widać! Czy teraz rozumiecie co to jest trajektoria?!

O, tak!– odpowiedział Morda. Obywatel porucznik doskonale nam wytłumaczył pojęcie trajektorii.

### ***Suflerka***

Egzamin z „woja” w sesji letniej, zdawaliśmy na boisku . W tym celu zgromadzono sprzęt „wojenny”: działo, kaliber 85mm, przyrząd centralny, dalmierz, lornetkę TZK i kilka innych .

Ten cały złom rozmieszczono w ten sposób, by do każdego sprzętu był dostęp i można było z niego korzystać, przygotowując się do odpowiedzi . Stoliki dla egzaminujących ustawiono z boku, a dla studentów tak, że koniec lufy prawie dotykał ucha zdającego. Ta dogodność, natychmiast została przez nas wykorzystana. Student wyciągał bilet egzaminacyjny z pytaniami i szedł do stolika, gdzie miał przygotowywać się do odpowiedzi. Ustawiał kartkę z pytaniami w pozycji dogodnej dla kolegi stojącego przy lornetce plot (TZK), który mógł pytania odczytać i przekazać do „zespołu pomocy”. Zespół szybko precyzował odpowiedź i dostarczał do „suflera” siedzącego na krzeselku celowniczego armaty. Ten z kolei, przy otwartej komorze zamkowej , przez lufę dyktował zdającemu prawidłowe odpowiedzi.

Zdający, dla kamuflażu, chwilę pozostawał na „stanowisku”. Później wstawał i szedł odpowiadać. Wszyscy zdający, z wykorzystaniem techniki wojennej, zdali z wynikiem doskonałym.

Dopiero znacznie później, kierownictwo Studium wpadło na trop „sposobu” zdawania na piątki. Nas oczywiście to już nie dotyczyło. System sprzedaliśmy innym, ale nie umieli z niego korzystać.

### ***Trening przed atakiem***

My konusy, których Bozia nie obdarzyła wzrostem, chodziliśmy w ogonie kolumny i stanowiliśmy swoisty tłumik wyziewów wojskowych. Często o sobie mówiliśmy, że „robimy” za pochłaniacze i gdyby było Ministerstwo Świeżego Powietrza to mielibyśmy gwarantowane zajęcie. Jesteśmy wystarczająco doświadczeni.

Nasi koledzy, z pierwszych czwórek, nie zawsze mieli zawory szczelne i zmuszali nas do szukania ratunku w lesie.

Dlatego, my „pochłaniacze” z naszego namiotu, przygotowywaliśmy się do odparcia ataku.

Trening prowadziliśmy (na nieszczęście) w namiocie.

A wśród nas byli i tacy którzy nie ustępują Szufli. Oni mieli zamiar przystąpić do pobicia wszelkich rekordów.

Dla przypomnienia powiem, że w namiocie spali: *Józio Mijał (Antalek)*, *Staszek Skrobisz (Doktorek)*, *Boguś Jaworski (Motorek)*, *Zygmunt Lenartowicz (Bema)*, *Paweł Topoliński (Pawka)*, *Andrzej Sobotko (UCZAMP)*, *Włodek Kryński (Dawidek)*, *Jurek Burba (Brat)*, *Rysiek Dziemianowicz (Gruby)*, *Tadek Krawczuk (Foto-Takra)*, *piszący (Mietek) i paru z innych Wydziałów.*

Trenowaliśmy ładunek skumulowany. Zaczynał Jurek. Ocena była słaba. Za głośno. Następne oceny były lepsze, ale nikt nie osiągnąłżądanego efektu. Józio Mijał w ogóle wzbraniał się i mówił, że on jeszcze nie jest gotowy do takich popisów. Bo u nich tam gdzie mieszka, puszczanie wiatrów w towarzystwie nie jest mile widziane.

Dzisiaj rezygnujemy z dalszych popisów. Wietrzymy namiot, wpuszczamy rój głodnych „komarzyc” ( im smród nie przeszkadza) i przykrywając się dokładnie, zasypiamy. W nocy robi się jakiś ruch. Ktoś pośpiesznie rozpiną namiot i „wyparowuje” na zewnątrz. Inni też się budzą i umykają. Dochodzi i do mnie... smród nad smrody– piorun kulisty, coś obrzydliwego! Zrywam się i też pierzcham na świeże powietrze.

– Ten z pewnością powaliłby nie tylko naszą baterię , ale wszystkie wojska nieprzyjacielskie- stwierdzamy niemal jednogłośnie.

Nikt jednak nie chciał przyznać się do tego „ dzieła”.

Podejrzeń było wiele. Posądzaliśmy nawet Józia. On pierwszy był na zewnątrz namiotu.

### ***Dzida p - panc***

Amfiteatr wojskowy w Mrzeżynie wypełniony był po brzegi. W pierwszym rzędzie siedzieli sami oficerowie. Na scenie, a występowali studenci– wojowie.

Repertuar był bogaty: pieśni chóralne, występy solowe, deklamacje i skecze. Jednym z nich była satyra na żargon wojskowy.

Studenci przebrani za rycerzy stali w szeregu i słuchali instruktażu dowódcy drużyny, a wygląd mieli raczej ciurów.

Rycerze! –To jest dzida ppanc typ Grunwald–1410.

Dzida służy do walki wręcz i na odległość.

Dzida przebija każdy wraży pancierz, znacznej grubości.

Dzida, składa się z części dolnej, środkowej i górnej.

Część środkowa służy do łączenia części górnej z dolną.

Część górna jest częścią przednią, część dolna jest częścią końcową, albo tylnią. Środkowa służy do trzymania.

–Rozumiecie, barany?!

### ***Dawidek i Ślązacy***

Włodek Kryński na obóz wojskowy w Mrzeżynie zabrał mandolinę. Każdego wolnego popołudnia lub przed snem „robił” za radio „DAWID”.

Najczęściej wyśpiewywał o „Hrabinie”, Czarnej Mańce lub Pepicie , której nawet słoń... Piosenek zarezerwowanych dla Zygmunta Ossowskiego nie „nadawał”.

Szanował konkurencję, bo był to już inny kanał, lub program jak powiedzieliby współcześni.

Instrument przyciągał różnych, chcących trochę pograć. Szczególnie zabawni byli Ślązacy. Przychodzili we dwóch i kiedy jeden grał drugi śpiewał.

Śpiewali piosenki frywolne, ludowe, w oryginalnej gwarze śląskiej. Dla nas były wyśmienite.

My oczywiście mieliśmy doskonałą rozrywkę, a Ślązacy do woli mogli sobie pobrzdakać.

Kiedy już mieli dość szarpania strun , opowiadali śląskie kawały „nie do wyjęcia”! Których cytować nie przystoi.

### ***Kapral Kowara i jego drużyna***

Kapral przekonał się, że nie warto zadzierać ze studentami, bo można wyjść tylko na dumnia. Zaprzyjaźnić się? –to jest to!

Kapral zorganizował drużynę myśliwych. Wędkował z Gienkiem Zdunem, a złowione węgorze razem wędzili i „degustowali” z dowódcą armat, które były osadzone nad brzegiem morza.

Degustacje podlewane były zawsze obficie okowitą z kartką słusznego koloru.

Z Julkiem Kacprzakiem , Staszkiem Jardziochem i Jankiem Adrianem , łowił – zawołany myśliwy– żmije.

Żmij w okolicznych lasach było mnóstwo.

Kapral podobno miał okazałą kolekcję skórek( około 200 szt.). Osobliwe!

### ***Oficerski przymus***

Najlepszy student, Rysio Wianecki nie chciał być oficerem.

Ostatnie egzaminy przed przysięgą wyraźnie „olewał”.

Uparł się i nie odpowiadał na żadne pytanie.

A pytany dlaczego?– mówił, że nie umie i nie chce być oficerem.

Zaczęli go straszyć, później prosić, aby cokolwiek odpowiedział, a Rysio mówił– nie!

Wtedy wydali werdykt:

„ My wiemy, że wy wiecie, tylko nie chcecie odpowiadać, ale oficerem i tak zostanieie, bo nim zostać musicie”!

Rysio słowa nie złamał. Komisja też była konsekwentna i zrobiła z niego oficera.

### ***Ten szmatławiec?***

Po skończonych studiach jechaliśmy na obóz wojskowy do Mrzeżyna. Tu nas mieli szkolić i tu mieliśmy zdawać ostatni egzamin z wojska.

Bez zaliczenia tego egzaminu , nie wydadzą dyplomu.

Zdaję egzaminy końcowe z wojska– wspominał Zbyszek Ługin. –Wiele przedmiotów zaliczyłem i pozostał tylko jeden egzamin – wychowanie polityczne. Na kilka pytań, z wylosowanej kartki, odpowiedziałem dobrze, a pułkownik, przewodniczący komisji, zadał pytanie dodatkowe:

–Jakie tygodniki czytacie, student?

Wymieniłem parę i w tym „Przekrój”.



– Co wy czytacie!? A gdzie jest „Trybuna Ludu!?- niemal krzyknął egzaminator

Trybuna Ludu, to dziennik, a nie tygodnik– wyjaśniłem, a jeżeli chodzi o dzienniki, to czytam „Głos Szczeciński”.

Pułkownik poczerwieniał i ryknął!

– A, co to za szmatławiec!?

– Organ Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Szczecinie, odpowiedziałem.

Tego, dla pułkownika było za dużo. Wyleciałem ze świetlicy jak z procy, z pałą od politruka.

Wszyscy ogłosili, że dyplomu nie otrzymam.

Koledzy „związkwowi” natychmiast przystąpili do załagodzenia przykrej dla mnie sytuacji i jakoś (tylko im znanymi sposobami) ugłaskali przewodniczącego.

Otrzymałem tróję i mogłem odebrać dyplom.

### ***Sztorm***

To była ostatnia noc w obozie. Cywilne ciuchy mieliśmy już w namiotach. Jutro pojedziemy do domu, do bliskich za którymi mocno tęsknimy. Atmosfera podniosła i radosna. Tylko przyroda niezbyt łaskawa. Na morzu szalał sztorm. Morze demonstrowało swoją potęgę. Spienione fale z ogromną siłą uderzały o klif, a ich ryk słyhać było w obozie bardzo wyraźnie, chociaż obóz oddalony był od brzegu o kilkaset metrów. Przez nieboskłon przewalały się ciężkie chmury gnane wiatrem od morza.

Było tak ciemno, że aż nieswojo!

Leżeliśmy w łózkach, ale nikt nie spał. Trwały rozmowy, przerywane salwą młodzieńczego śmiechu.

Po obozowisku krążył jak duch, oficer dyżurny-porucznik, zwany „Kurska Gubernia”.

Porucznik był doprowadzony do wściekłości, ponieważ nikt nie reagował na jego ciągłe rozkazy:

– Nie gadać! Spokój w namiotach! Wojsko – śpi!

Powoli jakby się uciszało. Rozmowy prowadzone były nadal, ale półgłosem. I wtem:

– Alarm! Zbiórka na placu!

To zdenerwowany porucznik wrzeszczał, trzymając za marynarkę któregoś z naszych kolegów.

Pośpiesznie w ciemności naciągamy nasze cywilne ubrania i udajemy się biegiem na plac apelowy.

Tam kaprale sformowali z nas, czworobok.

Było tak ciemno, że nie widzieliśmy twarzy kolegów stojących po przeciwnej stronie czworoboku.

Na środku majaczyły jakieś dwie sylwetki. Jedna to oficer, a druga – student, bo miał jasną marynarkę.

Oficer krzyczał co sił w płucach, przekrzykując sztorm, że:

– Tego studenta, który źle wyraża się o wojsku, pozostawi na obozie na dalsze dwa tygodnie i będzie go gnębił tak, że go rodzona matka nie pozna. Nauczy go szacunku dla żołnierskiego trudu i....

Tak się zaperzył, że na ułamek sekundy zwolnił uścisk.

Na to tylko czekał student. Natychmiast ulotnił się, korzystając z ciemności.

Oficer jak oparzony biegał w kółko, dotykał prawie każdej twarzy i darł się:

– Iwanowski, wystąp!

Zapamiętał takie nazwisko złapanego studenta.

Miotał się i obiecywał, że będzie nas trzymał aż do rana.

Nikt jednak nie występował..

Sądzę, że każdy sobie pomyślał podobnie jak ja :

– Kij ci oko!, do świtu już niedaleko. Zapomniałeś „wale”, że jest lato?

Staliśmy, a oficer nadal wywoływał Iwanowskiego.

W końcu ktoś zaczął wyjaśniać porucznikowi, że w naszej baterii jest tylko Iwański.

– Iwański , wystąp!” , ryknął oficer. Wystąpił Karol Iwański . Oficer podskoczył do niego i wyrzeszczał:

– To wy, tutaj byliście?!

A wrzask kończył już niższym głosem , bo nie pasowała mu sylwetka i marynarka.

Tamten był niższy i miał inną marynarkę.

–Nie obywatelu poruczniku!- odpowiedział Karol.

–No to wstąpcie. Ale ja tego Iwanowskiego, no tego, który podał takie nazwisko, jutro odnajdę i wtedy wlepię mu wszystko co mam! Do namiotów , rozejść się! - zrezygnowanym głosem zarządził porucznik.

Wiatr wzmógł się. Morze jęczało, jakby wszystkie potępione duchy błagały o litość. My komentując zajście, wracaliśmy do łóżek. Do pobudki nie zmrużyliśmy oka. Oczekiwaliśmy na poranny, ostatni apel na obozie w Mrzeżynie.

Rano porucznikowi przeszło i już nie szukał tego , który o wojsku wyrażał się jak Honore de Balzac.

### ***OSA-plot w „ Kozulinie”***

Po kilku miesiącach pracy zawodowej powołano nas do wojska.

Zima była łagodna, ale pora kiepska do służenia w kamaszach. Do Oficerskiej Szkoły Artylerii przeciwlotniczej w Kozulinie, z całej Polski przyjechało około 130 absolwentów wyższych uczelni.

Zostaliśmy zakwaterowani na strychu (!), starego gmaszyska szkoły. Zamiast ścianek działowych ustawiono szafy wojskowe. W ten nietypowy sposób podzielono to ogromne pomieszczenie na sektory. Było zimno, bo strychu nie można było ogrzać, ani dobrze przewietrzyć.

Dodatkową uciążliwością było-głośne chrapanie i niemilknący kaszel . W pierwszych dniach nie można było tego wytrzymać. Stale byliśmy nie wyspani i zestresowani. Nasze wyrażne

niezadowolenie, dowództwo szkoły całkowicie ignorowało. A komendant szkoły, który na samym początku otrzymał ksywę „KON” zachowywał się, zgodnie z ... ksywą. Jest to pełny obraz warunków w jakich przyszło nam spać i przebywać w chwilach wolnych, w ciągu trzech miesięcy. Każdego dnia rano musieliśmy wychodzić na gimnastykę poranną. Na początku wychodziło nas wielu, prawie komplet, ale każdego następnego, coraz mniej. Pewnego dnia na gimnastykę wyszło tylko kilku. Natychmiast zarządono kontrolę, by poznać przyczynę. I co się okazało? „Poważni” inżynierowie, ekonomiści i nauczyciele, poukrywali się w: ubikacji, pod łózkami, w szafach i w różnych zakamarkach. Wyciągani przez oficera dyżurnego, tłumaczyli się, że czegoś tam szukali przed pójściem na wykłady. Śmiechu było co nie miara, a „bumelanci” ćwiczyli później z wielkim animuszem.

### ***Wojsko Królowej Jadwigi***

Bohdana Tomaszewskiego oraz kilku innych kolegów, z innego Wydziału PS, powołano na przeszkolenie wojskowe do Wacisławia k/ Trzebiatowa. Jako pracownik Fabryki Motocykli „Junak” zabrał ze sobą motocykl z przyczepą. Każdej soboty zabierał dwóch kolegów i jechali do Szczecina. Była późna jesień, pora licha, a do tego dżdżysta i zimna. Do domu było daleko. Jadący naciągnęli uszanki i zawiązali pod brodą, płaszcze zapięli szczelnie, a nogi..... obłożyli gazetami. Tak opatuleni musieli wyglądać dziwnie, bowiem w Płotach zatrzymał ich jakiś major i długo im się przyglądał. –Co to za dziwaczne wojsko?- głośno mruczał. Mundury polskie. Orzełki przepisowe, szynele też regulaminowe, ale reszta? Reszta, to nawet do czorta nie podobna! Kiedy po wielu tłumaczeniach dowiedział się, że ma przed sobą świeżo upieczonych chorążych, którzy niedawno byli

studentami, kazał doprowadzić się do „porządku” i jechać dalej jak wojsko. Kiedy oddalali się od służbisty, on krzyżąc, powtarzał, śpiewną mową –kresową:  
–Tylko wyglądajcie mi jak Polskie Wojsko, a nie jakieś tam wojsko królowej Jadwigi!

#### **Rozdział 4. WSZYSTKIEGO PO TROCHU.**

##### ***Julek i jego wynalazki***

Julek Kacprzak, przypadkowo trafił na Wydział Mechaniczny. Pociągała go bardziej elektrotechnika, a właściwie radiotechnika. Budował w akademiku różne nadajniki, wzmacniacze, radia i patefony. Dla współmieszkańców był trochę uciążliwy, bo jego lampy, oporniki, kondensatory znaleźć można było nawet w słoiku na cukier.

Patefon, który ostatnio zrobił umiał obsługiwać tylko on sam i dlatego medyczki wypożyczały to urządzenie razem z jego twórcą.

Po wielu dniach pracy, nareszcie mógł wypróbować nowy wzmacniacz– dzieło nad dziełami.

Było bardzo późno, radiowęzeł dawno zakończył nadawanie. Koledzy – współmieszkańcy, też byli ciekawi efektu pracy Julka.

Któryś z nich zaproponował, aby podłączyć się do sieci radiowęzła.

Julek połączył radio i wzmacniacz z siecią radiowęzła.

Radio w tym czasie ustawione było... na „Wolną Europę”.

Nagle program został rozpowszechniony w całym akademiku. Eksperyment powiódł się. W akademiku nazajutrz, wydarzenie mocno komentowano.

Wywiad UB z pewnością szukał sprawcy, i gdyby go znalazł to Julek studiów by nie skończył.

### ***Bal na „Wys-Rolu”***

Skończył się bal inauguracyjno – integracyjny. Wychodziliśmy i w holu zobaczyliśmy jakieś zbiegowisko. Bohaterem incydentu był nasz kolega. W pijanym widzie , stojąc na najwyższym piętrze klatki schodowej (klatka z tzw. duszą) „bombardował” wychodzących doniczkami. Po chwili został przez porządkowych unieszkodliwiony, porządnie obity i sprowadzony na parter do portierni. Powiadomiono także UB i oczekiwano na przybycie funkcjonariuszy.

Ponuro szliśmy do postoju taksówek, a Henio Bęc- P. –mówi: – To, że dostał po ryju, to dobrze, bo mu się należało, ale zaraz dzwonić do UB? To już przesada! Trzeba coś z tym zrobić, przecież to nasz kolega. Czy masz swoją legitymację klubową?– zapytał Olka (*legitymacja Polonii W-wa, miała kolor modny-bordowy*).

– Mam

–No to dawaj i szybko bierzemy taksówkę.

Do portierni weszli we dwóch zdecydowanie , na szczęście mieli jednakowe zielone płaszczyki i brązowe kapelusze.

Henio mignął kartonikiem i powiedział :

–Dzwoniliście po nas. Gdzie jest ten obywatel?

A do przestraszonego kolegi:

– Idziecie z nami.

Wsadziliśmy „denata” do taksówki i szybko pojechaliśmy do akademika. Po przejechaniu kilkuset metrów minął nas charakterystyczny wówczas „citroen”.

Na drugi dzień doniesiono nam, że na portierni stoi dwóch smutnych panów i kogoś pilnie wypatruje. Dopiero po dwóch dniach ich zdjęto, a myśmy odetchnęli.

Kolegę „bombardiera” trzymaliśmy w ukryciu tak długo, aż zagoiły się wszystkie rany i skóra nabrała właściwych kolorów.

### ***Powód***

Po latach spotykam Andrzeja Sobotkę („Uczampa”), a ten na pytanie:

–Jak ci idzie?- odpowiada:

– Słuchaj! Przez całe studia „jak wiesz, żyłem jak mnich, ciężko trenowałem i nie mogłem skoczyć 14 metrów ( w *trójskoku -przyp. MW*). Teraz trenuję na pół gwizdka, używam życia: papierosy, wódeczka, dziewczynki i w każdej chwili mogę skoczyć 14m, a nawet trochę więcej. Czy masz na to jakieś wytłumaczenie?

– Mam tylko jedno– odpowiedziałem.

Jaja masz lepsze!

### ***Przyzwyczajenie to .....***

Zbyszek Strzałkowski, podobno, przed studiami miał coś wspólnego z marynarką. Podobno, bo miał spodnie o kloszowych nogawkach i nawyki. Zawsze, kiedy ubierał się, najpierw nakładał buty, a dopiero później spodnie. Współmieszkańcy ten dziwny nawyk, postanowili wykorzystać.

Pewnego zimowego dnia, przestawili zegarki o kilkanaście minut do przodu i pozwolili Zbyszkowi trochę pospać. W tym dniu były bardzo ważne zajęcia i nikt nie mógł się spóźnić. Nagle przebudzonemu Zbyszkowi podawali ubiór w takiej kolejności do jakiej był przyzwyczajony. Nie podali spodni, tylko od razu płaszcz. Z pokoju wybiegli na dziedziniec

akademika, a następnie na ulicę. Studenci i studentki (medyczki) oraz przechodnie, a nawet pasażerowie tramwajów, ze zdumieniem patrzyli na migające między połami granatowego płaszcza– białe kalessony i gumy podtrzymujące skarpetki.

O tym, że był bez spodni, Zbyszek odkrył dopiero w szatni. Śmiechu było co niemiara, bo nasz bohater musiał wracać po spodnie do akademika.

Przyzwyczajenia nie zmienił, przynajmniej na studiach.

### ***Zaliczyć nie wypada***

Po egzaminie pisemnym z zagadnień BHP, inż. Żabicki jedno opracowanie zwrócił i powiedział, że wprawdzie temat został wyczerpany, ale z uwagi na dużą ilość błędów ortograficznych(136), nie może zaliczyć– nie wypada.

Koniecznien trzeba poprawić.

Opracowanie zostało poprawione i było znacznie lepiej.

Błędów pozostało tylko 29.

### ***Mimo wielkiego zapatu***

Zaraz po studiach otrzymywaliśmy nakazy pracy do zakładów, fabryk i instytucji, które wcześniej coś obiecywały. Jednym mieszkania, innym dobre pieniądze, a jeszcze innym wszystko razem. Z praktyki wiemy, że były to tylko obietniczki– cacanki, a naiwnym radość.

Najczęściej nakazy te zmienialiśmy. Jak to robiliśmy? –To by było długie opowiadanie. Poszukajcie w moich wspomnieniach o „pracy” i szliśmy do tych zakładów gdzie coś ciekawego już „robiono”, albo zaczynała się nowa produkcja.

W FAMABUDZIE, przy ul. Dubois w Szczecinie rozpoczynano produkcję żurawi budowlanych.

Do fabryki przyszli pracować: Gienek Bielakowski, Julek



Kacprzak, Tadek Krawczuk, Zdzicho Kostecki. Produkcja „szła” na trzy zmiany i dlatego każdy inżynier musiał pełnić dyżur, na trzeciej zmianie.

Podczas dyżuru odpowiadał za wszystko.

Była zima, hale produkcyjne były nie dogrzane, bo ciepło fabryka pobierała ze Stoczni, która sama miała kłopoty z ogrzewaniem.

Stocznia ustawiła na środku zakładu dwie lokomotywy i palacze „hajcowali” non-stop.

Każdy dzień w fabryce rozpoczynał się od narady produkcyjnej. Zapoznawano się również z raportem dyżurnego.

Zdzisiek w raporcie napisał: ” Mimo gorących serc i wielkiego zapału załogi, na trzeciej zmianie, na halach produkcyjnych, nie udało się podnieść temperatury powyżej 8 stopni Celsjusza”.

### ***Atrapa***

„Famabud” został zobowiązany do wysłania na Międzynarodowe Targi do Poznania, dźwig ŻB-45. Nie pomagały protesty, że prototyp nie jest jeszcze gotowy. Zjednoczenie nakazało wyrób wystawić i dobrze wyeksponować.

Na MTP dumnie stał dźwig i unosił wysoko ciężar sześciu ton. Blok betonowy, na którym wyrysowano ogromny napis: „ 6 TON”, był dobrze zamaskowaną atrapą. Wszyscy byli zadowoleni, a twórcy prototypu mieli czas na poprawki.

### ***Obrona***

Dyrektor K. ( ojciec Miss- Polonia) składał sprawozdanie z wykonania budów dyrektorowi Zjednoczenia Budownictwa Ogólnego – inż. Jerzemu Kuczyńskiemu (późniejszemu

województwie szczecińskiemu). Jednej budowy nie mógł zakończyć, twierdził, ponieważ dyrektor Julian Kacprzak (SPISiE) nie wykonał montażu instalacji.

Julek dawno nie był na tej budowie i nic o niej nie wiedział. Otrzymał porządny „opieprz” od szefa i nie mógł obronić się. Natychmiast po naradzie, zamiast do domu, powiedział kierowcy, aby jechał do Trzebiatowa.

Kierowca obiecał rodzinie, że będzie w domu o właściwej porze, ale jak szef każe, niema rady.

Była zima, jazda po nie odśnieżonych drogach przedłużała się.

Do celu dotarli na krótko przed zmierzchem. Julek oczom nie wierzył, bo to co zastał na budowie świadczyło o tym, że K. jest najlepszym „picerem” świata.

Rano, Julek napisał teleks do dyrektora K. o treści: „Szanowny Dyrektorze K. Spieszę pana powiadomić, że wczoraj wizytowałem budowę nr 17 w Trzebiatowie i stwierdziłem, że rozebrano panu budynek od dachu do pierwszej kondygnacji. Z poważaniem J. Kacprzak– SPISiE.” Kopię teleksu wysłał do dyrektora Zjednoczenia.

Od tej pory Julek nie był przepytywany z tej budowy, a treść teleksu służyła za przykład jak należy się bronić.

### ***Ferajna bawi się***

Podczas spisywania wspomnień przypomniałem sobie przygodę z pierwszego roku studiów.

Po wielu poszukiwaniach dobrego „ubawu”, a bawiliśmy się wszędzie: w „Pobożniaku” u „Szczerskiej”, w „Pegeerach”, „Ruchu”, „Pocztylionie”, „Ryskiej” i wielu innych miejscach, Rysiek Wianecki odkrył, że tanio i dobrze można bawić się w Małym Teatrze przy ul. Korzeniowskiego (*obecnie DK „Słowianin”*).

– Tam, koledzy– zapewniał –dziewczyn chmara, bufet obficie zaopatrzony, orkiestra gra bez ustanku, a zabawa ma charakter ludowy (*Uwaga dla młodych: jak chcecie wiedzieć, co to takiego, zapytajcie starszych, wyjaśnią.*)

Pokaźna grupa studentów zaczęła uczęszczać na te zabawy. W Małym Teatrze bawili się wszyscy: młodzież robotnicza, „biuraliści”, wojsko, studenci i Bóg wie kto jeszcze. Sala ogromna, wystrój surowy( gołe belki wiązań dachowych), stoły i ławy tkwiły w niszach, podłoga była „zapuszczona pyłochłonom” (mikstura ropopochodna, ciemna i śmierdząca). Stan –przed pożarem.

Po takiej zabawie, nogi pań, aż do pachwin były szare, a panowie, spodnie musieli oddawać do pralni.

Panowały tam zwyczaje wiejskie. Np. dziewczyna nie mogła odmówić tańca żołnierzowi, bo byłaby natychmiast ukarana– pobita pasami.

Bywało też, że walczyli pomiędzy sobą młodzi zadziory. Wojny te tylko na chwilę zakłócały bieg zabawy. Orkiestra natychmiast „rznąła” od ucha do ucha ulubione kawałki, walka przenosiła się na ulicę i wszystko wracało do normy.

Zbliżał się „Sylwester”, Rysiek oznajmił, że zrobił rozeznanie i możemy być na tym „balu”, za bardzo małą opłatą.

Decydujemy się i idziemy do Małego Teatru.

Do naszego stolika – samych chłopców , bo samotne dziewczyny tylko czekały na takich singlowych, organizator „dołożył” parę: ona– w wieku balzakowskim, w pół futerku z nutrii lub innej zwierzyny, a on –około czterdziestki w nowiutkim płaszczu z samodziału (wtedy najmodniejszy strój- pożądanie) i w takiej że czapce. Szatni nie było. Wierzchnie ubiory ułożyliśmy na ławce , w kącie niszy tak, aby te wartościowsze leżały pod spodem. Wiedzieliśmy, że tutaj wszystko może się zdarzyć. Któryś z nas zwrócił uwagę modnisiom, że do Małego Teatru należy przychodzić w starym paltociku. Pan od „samodziału” tylko ręką machnął. Jak się

okazało, miał forsę jak lodu. Zamówił porządne jedło i trunki. Był zadowolony, że mogą bawić się w towarzystwie studentów, a nie jakiejś tam hołoty. Tak określał resztę.

Bilety na bal kupił w ostatniej chwili.

Bawiliśmy się do białego rana. Z panem i panią wypiliśmy nie jeden bruderszaft .

„Nowi” twierdzili, że nigdy nie byli na takiej szampańskiej zabawie. Szczerze dziękowali za towarzystwo i prosili byśmy o nich pamiętali kiedy będziemy iść na bal w karnawale.

Ubiorę, które leżały na górze, nałożyliśmy, a Rysiek poszukiwał i nie mógł znaleźć swojej „kanadyjki” (modna wówczas kurtka). Mówił, że była już trochę podniszczona. Szukać zaczął swojego płaszcza– samodziąłu również nasz znajomy. Szukaliśmy wszyscy, po wszystkich zakamarkach sali. Ślad po ubiorach zaginął. Były właściciel pięknego „samodziąłu” pojechał w mroźny ranek do domu tylko w szaliku, bo czapkę też mu ukradziono.

Tani i wspaniały „Bal Sylwestrowy” drogo go kosztował.

Było nam przykro i głupio, że nie mogliśmy upilnować naszych ubiorów.

Rysiek nadal chodził na zabawy do Małego Teatru i miał nadzieję, że kiedyś złapie złodzieja.

### ***Wojskowe przyśpiewki***

Na zajęciach w „parku artyleryjskim” śpiewaliśmy ułożone piosenki, w których wyśmiewaliśmy wojsko i przywary kolegów np.:

Przyrząd Centralny

drucików kupa

przy nim Jan Wolski

stoi jak d.....!

*(Staszek Neumann stawia koniak temu, który pierwszy dostarczy pełny tekst tych przyśpiewek– mam to na piśmie przyp. MW)*

### *Uśpić czujność mamy*

Na pierwszym roku wszyscy gdzieś bawiliśmy się. Tylko Bożenka (Ania Zięba) nigdzie nie mogła wyjść – mama nie pozwalała.

Janek Popielski postanowił pomóc koleżance.

Powiedział do Bożenki, że musi go zaprosić do domu.

Janek, na mamie zrobił tak dobre wrażenie, że od tej chwili Bożenka mogła wrócić nawet nad ranem, pod warunkiem, że Janek przychodził po nią i przyprowadzał ją do domu.

Zawsze bawili się osobno. Janek miał zaufanie do koleżanki.

### *Rejs do Międzyzdrojów*

Płaskodenną „Dianę” – statek białej floty wypełniła brać studencka po brzegi. Wśród zaprzyjaźnionej młodzieży ze wszystkich uczelni i wydziałów, brylował nasz „rok”.

Z nami było dużo studentek z Pomorskiej Akademii Medycznej.

Pogoda była bezchmurna, a my mieliśmy gorące serca i byliśmy pełni werwy i humoru.

Jedni na górnych pokładach poddawali się promieniom słonecznym i podmuchom przyjemnej bryzy, a inni na dolnym pokładzie okupowali bar serwujący zimne i gorące napoje. Po drodze mijaliśmy ogromne statki, które podążały do portu. Pozdrawialiśmy ich załogi, a każdy statek witał nas swoją syreną.

Dla tych, którzy byli po raz pierwszy „na wodzie” było to wielkie przeżycie.

Po kilku godzinach dobiliśmy do kei w Wicku (do samych Międzyzdrojów wówczas nie można było dopłynąć) i parę kilometrów musieliśmy pokonać pieszo.

Kurort przez kilka godzin był wesoły i pełen gwaru młodych ludzi (byliśmy poza sezonem).

Pod wieczór wróciliśmy na łajbę, która miała nas dostarczyć do dworca morskiego w Szczecinie.

Trochę zmęczeni i porządnie przewietrzeni, szukaliśmy zacisznych miejsc na drzemkę. Tylko nieliczni stali na dziobie i udawali prawdziwych marynarzy(*Ja na pewno- przyp MW*). „Kiwało” coraz mocniej, bo zbliżał się wieczór i wzrastał wiatr. Do jedynej na statku toalety ustawiła się pokaźna kolejka. Każdy chciał oddać to co zjadł na obiad , bo na chorobę morską nie ma rady.

Po pewnym czasie burta „na zawietrznej” była szczelnie obsadzona, a porządkowi tylko odprowadzali błądzących i zielonych w ustronne miejsca, pod opiekę odporniejszych. Już widzieliśmy światła portowe kiedy uderzył o statek wiatr o sile sztormu. Łajbą rzuciło jak skorupą orzecha.

Kapitan pobladł i siarczyście zaklął, bo załoga była mocno „ścięta”. Ster utrzymał i kazał zwiększyć moc silników.

Najodważniejszych pasażerów, dotychczas stojących na dziobie, „zapędzono” pod pokład górny. Sztormowaliśmy przez najdłuższe minuty w życiu.

„Diana ” tańczyła szalony taniec, a myśmy mieli miny nietęgę. Wreszcie dotarliśmy do portu wystraszeni, zziębnięci, ale szczęśliwi, że to już bliski twardy, zbawczy ląd. Z prawdziwego niebezpieczeństwa zdawali sobie sprawę tylko ci , którzy „na wodzie” bywali.

### ***Wypadek przy pracy***

Trwał wiec potępiający „czangajszekowców”, za zabranie nam statków „Pokój” i „Praca” .

Przemawiał Rektor T. Rosner

– Obywatele Profesorowie, studenci i aaaasystenci.....

No i, szlak trafił cały poważny i potępiający nastrój wiecowy.

## ***Znać Daniella***

Z Ludwikiem Taluniewiczem zdawałem fizykę u Władysława Nowaka. Ja stałem po lewej stronie tablicy, a Ludwik po prawej– wspominał Olek. Przy trzecim pytaniu, profesor coś pogrzebał w papierach i zadał ostatnie pytania. Ja miałem opisać– ogniwo Daniella, a Ludwik – neonówkę. Staliśmy obaj z głupimi minami, a ja na temat ogniwa miałem zerowe pojęcie. Nieśmiało zadałem profesorowi pytanie ratunkowe:

- Czy to z zakresu ćwiczeń?
- Tak– odpowiada, zdziwiony bezczelnością, Nowak.
- Mój kolega bliżej zna się z Daniellem, a moje ścieżki jakoś się z jego ścieżkami nie krzyżowały.
- Czy pan zna Daniella?– zapytał Nowak Ludwika.
- Osobiście nie, ale mogę o nim trochę opowiedzieć.
- Wobec tego, proszę opowiadać.

Szczęście, że pozwolił profesor na zamianę pytań. Egzamin zdaliśmy.

## ***Samobójczyni***

....on na imię ma Jan, a ona Tereska.... Tak było w piosence, a w rzeczywistości?

Wybuchła wielka miłość, huknęło i było po wszystkim. Aż kiedyś, do pokoju wpadają dwie zapłakane chemiczki i błagają:

- Chodźcie szybko do nas , bo Tereska otruła się!
- Biegniemy – opowiada Olek- z Mietkiem (Walków), na złamanie karku. W pokoju stała dookoła łóżka gromada wystraszonych i zapłakanych koleżanek, a na nim, niczym na katafalku, tylko bez świec, leżała sprawczyni– Tereska.
- Coś ty kretynko zrobiła?– zapytałem.

–O...otrułam się ( głosem umierającej łabędzicy) oznajmiła  
Tereska.  
–Czym się truliś?  
–O...o c t e m.  
Jakim?  
–Ta.. taakim z grzy..bków.  
– A gdzie są te grzybki?  
– Tam..., w słoiku..., w szafce.  
– Grzybki rekwirujemy, a tobie nic nie będzie. Najwyżej  
trochę schudniesz.  
Milczący i zatroskany dotąd Mietek– wycedził:  
–Zobacz co za idiotki, chemię studiują, a nie wiedzą czym się  
otruć można.

### *Team (opowiadanie Gabriela Sępiewskiego)*

Najwięcej rozrywkowych godzin spędziłem u Henryka Wysockiego i Henryka Ciesielskiego, którzy od samego początku studiów mieszkali na prywatnej kwaterze w wielkim mieszkaniu starego kawalera w kamienicy czynszowej przy ulicy Mariana Buczka ( obecnie Józefa Piłsudskiego).

Henryka Wysockiego znacie i pamiętacie, natomiast Henryk Ciesielski wymknął się z naszej pamięci, ponieważ nie przystąpił do egzaminów końcowych i nie figuruje na listach absolwentów.

Nie znam wszystkich przyczyn jego „dezercji”, ale pewne przesłanki wyłonią się w dalsze części wspomnień.

Dwaj Henrycy tworzyli zgodny i zgrany team. Wysocki dla odróżnienia nazwany został Piotrem. Imię to nosił jak własne, bo był zgodnym, spokojnym i zrównoważonym człowiekiem, a Ciesielski- żywiołowy, wesoły oraz przystojny, pozostał przy swoim.

Ich kwatery przy Buczka była oazą swobody, bo właściciel mieszkania nie wtrącał się w życie lokatorów i ich gości.



Wielu z naszej grupy odwiedzało to mieszkanie, chcąc na przykład oderwać się od wścibskich oczu akademika lub uniknąć innej kurateli. A że panował tam idealny spokój, wielka gościnność i miła atmosfera, którą stwarzali gospodarze- Henryk i „Piotruś”, chętnie tam chodziłem. Bywał tam również Rysiek Zambrzycki i bywali inni koledzy. Już wtedy Rysiek – czynny zawodnik zapasów wagi ciężkiej, swoją siłą i postawą gladiatora budził mój podziw i uznanie, jako moje przeciwieństwo, gdyż byłem raczej mikrej postury. Z tajemniczą miną opowiadał nam, że przed każdą walką zjadał tuzin krwawych końskich befsztyków. Brzmiało to prawdopodobnie, no bo od czego miał mieć tak ogromną siłę?

Na kwaterze u Heniów nie było kulinarnych szaleństw. Nie przychodziło się tam na wyzerkę. Czasem na popołudniowe, sobotnie spotkanie kupowało się flaszczykę popularnej wówczas, słodkiej pomarańczówki zwanej „Quraso”, która jakby dziś powiedziano była dla nas „dwa w jednym” – trunek i zagrycha. Tak podbudowani we czwórkę udawaliśmy się „w miasto”. Czasem chodziliśmy do „tancbudy”, która nazywała się „Mały Teatr” –wśród ruin w okolicy Dworca PKP.

Ponura sala z ławami po bokach w jakichś wykuszach strychu, z gołymi wiązaniami konstrukcji dachowej. Do tańca grała orkiestra z wiodącą harmonią i bębniem. Złą sławę miała ta „mordownia”, ale idąc tam z Ryśkiem niczego nie obawialiśmy się, szczególnie kiedy był świeżo po koninie. Potężna postać Ryska budziła respekt nawet u największych żulików.

Jako mikrus, z obawy o swoją skórę starałem się być na sali zawsze blisko Ryśka, co musiało sprawiać komiczne wrażenie. Dowcipniś Rysiek wyczuwał moją obecność pod swoimi skrzydłami i pewnego razu gdy zabawa nie miała wigoru, przewrotnie zaproponował dosłownie:

– Chodź Gabrys objemy kogoś, bo tutaj tak nudno.

Dla mnie wówczas nie zabrzmiało to wcale jak żart!  
Już widziałem siebie w walce wręcz gdzie „ ręka noga, mózg  
na ścianie”.

O nie! Ja nie nadaje się do żadnej bójki! Jak tylko mogłem  
staralem się wraz z kolegami wyprowadzić Ryśka z sali na  
świeże powietrze, bo w gruncie rzeczy człek to potężny, ale  
sercem miał dobrotliwe.

Mimo częstego odwiedzania „Małego Teatru”, zabawy tam  
nie zażywaliśmy, ale na pewno bywaliśmy tam gdzie było  
„samo życie „ powojennego Szczecina.

Może tylko nasz kolega Henio Ciesielski– przystojny  
młodzian miał więcej radości z zabaw, bo był zawsze  
oblegany przez panienki.

Aż pewnego razu, gdzieś na początku 1956r. Henio zakochał  
się w Krysi. Bardzo miła i sympatyczna dziewczyna przydała  
ich kwaterze wdzięku i szybko zaskarbiła sobie naszą  
przyjaźń. Bywałem wśród nich i chyba lubiliśmy się  
wzajemnie.

Na moje imieniny 24 marca 1956r, otrzymałem prezent od  
zaprzyjaźnionej trójki– dwa tomy „ Komedii Ludzkiej” H.  
Balzaka z miłą dedykacją.

To taka miła mi pamiątka, dowód przyjaźni, tym bardziej , że  
w treści dedykacji jest żarliwe wezwanie– „abyś zawsze o nas  
pamiętał”.

Książka ta jest dla mnie jedyną materialną i sympatyczną  
pamiątką naszej przyjaźni.

*Na zakończenie wspomnień z najcudowniejszych lat młodości.*

### ***Kiedy mężczyzna jest szczęśliwy?***

- *jak ma 4 lata i przestaje sikać w majtki i jest kochany*

- *jak ma 8 lat i ma już przyjaciół, swoje tajemnice i pierwszą sympatię*
- *jak ma 16 lat i ma pierwsze doznania seksualne*
- *jak ma 20 lat i ma pierwsze pieniądze na własne wydatki*
- *jak ma 40 lat i ma władzę i pieniądze na wydatki żony*
- *jak ma 65lat i ma jeszcze jakieś pieniądze, lub dobrą emeryturę*
- *jak ma 70 lat i ma jeszcze jakieś doznania seksualne i dobre oczy i nie potrzebuje viagry*
- *jak ma 75 lat i ma jeszcze przyjaciół, dobre oczy, dobry słuch i dobrą pamięć i może zacząć wspominać, a także przelewać wspomnienia na papier*
- *jak ma 80 lat i jeszcze nie sika w spodnie, ma dobrą opiekę lekarską i może dalej pisać wspomnienia i...*



